© 2013 adidas AG. adidas, the 3-Bars logo and the 3-Stripes mark are registered trademarks of adidas AG.

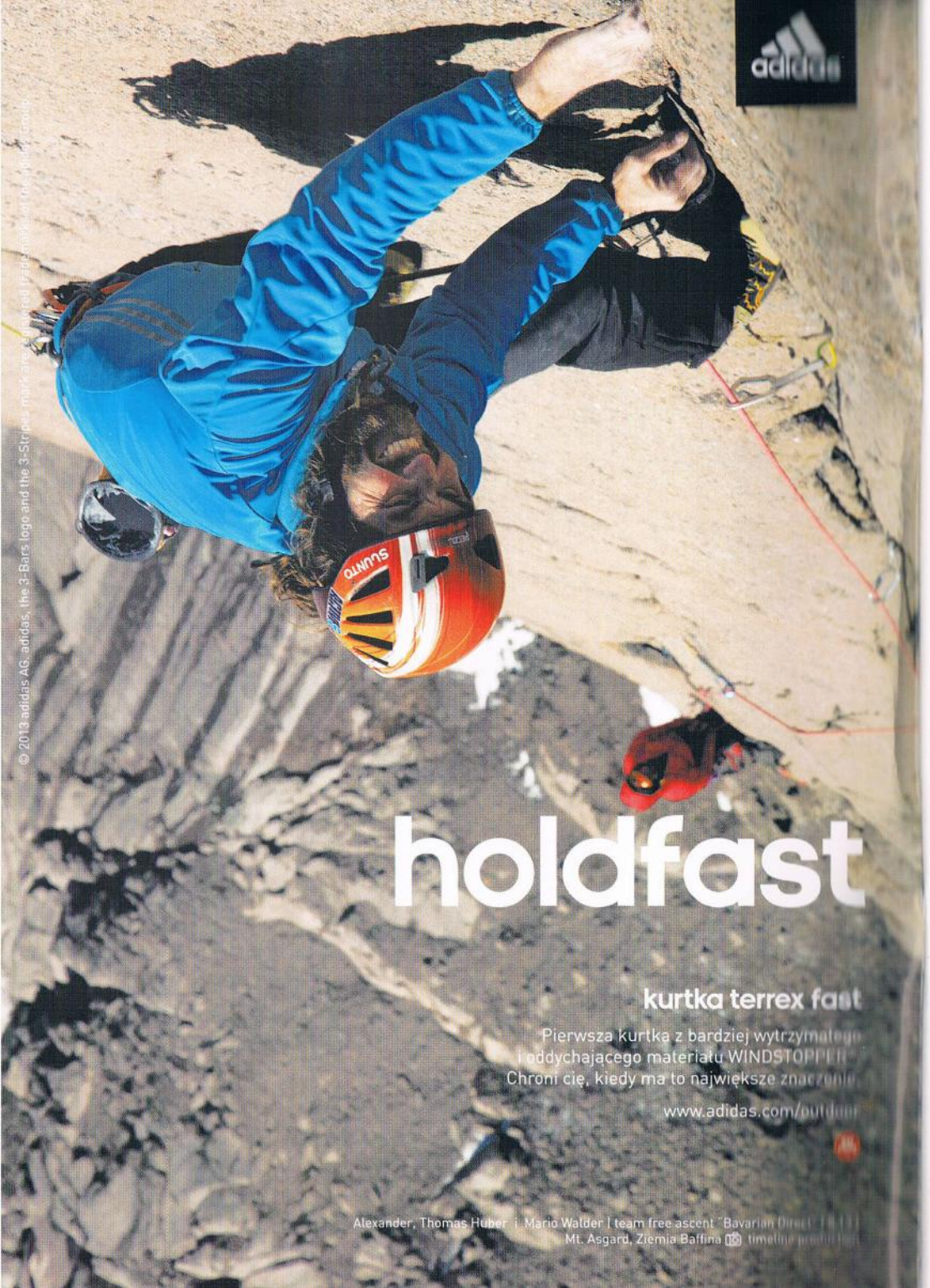

Książka wyjść

Słowo Prezesa (Marcin Miotk) • 2
Peruwiańskie ognie (Tomasz Klimczak) • 6
Przeklęty wspin: Prokletije 2012 (Jacek Kierzkowski) • 14
Patagońska rozgrzewka (Robert Drynda) • 22
We climb 'cause it's fun (Mariusz Egert) • 30
Jak zdobywałem koronę ziemi. Cyfra (Maciek Kubera „Pastor") • 34
Nie kupujcie biletów do El Chorro (Agnieszka Kochaniak, Rafał Kochaniak) • 42
Jak to się robi z dziećmi (Marcin Chmieliński) • 50
W kupie raźniej – Dolomity (Piotr Juszkiewicz) • 58
Tydzień w Szkocji (Alek Barszczewski) • 64
Omówienie sezonu zimowego 2012 w Tatrach (Marek Grądzki) • 70
Obóz zimowy KW 2012 – wykaz przejść (Mariusz Wilanowski) • 77
Omówienie sezonu letniego 2012 w Tatrach (Mariusz Wilanowski, Krzysztof Miler) • 80
TOPO – opracowania monograficzne ścian tatrzańskich (Artur Paszczak) • 88
Konfrontacja (Jan Gondowicz) • 106
Lago di Orta Ultra Trail, czyli „Rzeźnik" po włosku (Marcin Miotk) • 108
Before and After. Odc. 1 – siła biegowa (Alicja Paszczak) • 112
Pożegnania • 114
Recenzje • 116
Po-Słowie Po-Prezesa (Zbigniew Skierski) • 120
Info klubowe i zniżki • 122

A/ZERO – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy KW Warszawa; Nr 1(21)/2013
ISSN: 1641-9359
Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Joanna Cybulska, Olgierd Cybulski, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski.
Kontakt z Redakcją: artur.paszczak@gmail.com, marysia029@o2.pl

Do powstania numeru poza autorami tekstów przyczynili się: Kacper Gradoń, Marek Grądzki, Wojtek Nowicki, Jerzy Rostafiński, Paweł Strzelecki, Piotr Wolski, Tomek Wysocki, Sylwia Zarzycka.

W A/ZERO piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiekolwiek wypadki powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/ZERO. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/ZERO nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu.
Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za pisemną zgodą redakcji A/ZERO.

I str. okładki: Uczestnicy obozu wracają po skończonej drodze. Dolina Złomisk. Fot.: Maciej Ostrowski.

IV str. okładki: Maciek Ostrowski i Tomek Klimczak nad brzegiem jeziora Laguna 69 lustrują ścianę Chacraraju Este z widoczną na niej *Drogą Jaegera*. Fot.: Maciej Janczar.

SŁOWO PREZESA

Biegiem ku górom!

Co ma wspólnego bieganie ze wspinaniem? Czy bieganie po górach ma sens? Co wspinacz może zyskać dzięki bieganiu? Te i podobne pytania przewijają się od jakiegoś czasu w moich towarzyskich rozmowach.

Z pewnością wielu z Was zauważyło niepodważalny boom na bieganie. Już prawie nikogo nie dziwi zdyszany biegacz na polskich ulicach, w parkach, na stadionach. Mnie popularność biegania wręcz oszałamia, tym bardziej kiedy przypomnę sobie mój pierwszy maraton 10 lat temu w Białymstoku, który ukończyło... 85 osób. Tylko kwestią czasu są programy typu „Jak oni biegają", „Taniec z biegaczami" lub podobne.

Ktoś zapyta: „Ale co ta wrzawa z bieganiem ma wspólnego z moim ukochanym wspinaniem?". Ma i to całkiem sporo, nie tylko teoretycznie. Na wielu zawodach biegowych można spotkać wspinaczy, dla których bieganie to przyjemność oraz w dużym stopniu element treningu wspinaczkowego. Wiem, że trenerzy wspinania sportowego pukają się teraz w czoło, bo długie bieganie w dużej mierze rozwija mięśnie, które przy wspinaniu sportowym wykorzystujemy rzadko. Ale jeśli naszym głównym poligonem wspinaczkowym są Tatry, Alpy lub góry wysokie, to wpływ biegania będzie zbawienny na naszą ogólną wspinaczkową formę, na szybkość, a tym samym na bezpieczeństwo. Jeśli dodatkowo nasze biegowe doświadczenia zdobywamy w terenie górskim (polecam gorąco Dolinę Białej Wody), to zysk jest jeszcze większy: mamy polepszoną ogólną wytrzymałość oraz łatwiej (nie łatwo!) się aklimatyzujemy. Tak przygotowani możemy niemal z marszu ruszać na alpejskie ściany.

A co może zyskać biegacz dzięki wspinaniu, wyprawom górskim? Wiele, bardzo wiele. Zresztą nasze klubowe obozy w Tatrach czy letnie w Alpach to swego rodzaju wysokogórskie obozy kondycyjne. Ten sposób łapania formy ostatnimi laty stał się niezwykle popularny wśród europejskich biegaczy próbujących naśladować trening Kenijczyków czy Etiopczyków. Wielokrotnie, nawet po krótkim pobycie w Tatrach, wydawało mi się, że mam większe płuca. Bieganie przychodziło mi łatwiej, męczyłem się mniej, a wyniki były lepsze niż się spodziewałem. Po prostu góry oddały bieganiu.

Zakładajmy więc biegowe buty i ruszajmy na szlaki, najlepiej górskie!

Marcin Miotk

SALEWA yeti Nestlé

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi podzielających Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn A/ZERO przyślemy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejść,
- ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udajesz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których udoskonalisz lub poznasz nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć w pokazach slajdów i filmów w klubowej siedzibie oraz je współorganizować – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych na Obozowej oraz Nowowiejskiej (wtorek od godz. 20.00 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16.00–22.00, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi („Alp Extreme", „W Pionie", „Planet Sports", „Warszawska Szkoła Alpinizmu", „Go Up", „Pionowy Świat"), uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.

Orły KW
za 2012 rok przyznane!

W tym roku faceci nie mieli żadnych szans. Oba Orły, zarówno w kategorii górskiej, jak i sportowej, przypadły przy dużej przewadze głosów naszym koleżankom. Orła **w kategorii górskiej** otrzymała **Kinga Baranowska** za wejście na Lhotse bez tlenu. **W kategorii sportowej** zwyciężyła **Janina Gmiter**, która pokonała w stylu RP drogę *Geminis* 8b+ i trzy drogi 8b/8b+ w Rodellar.

Kinga Baranowska. Fot. arch. Kinga Baranowska.

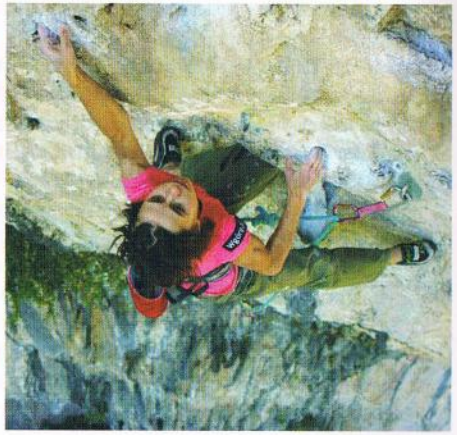

Nina Gmiter. Fot.: Aleksandra Taistra.

A oto pełna lista tegorocznych kandydatur:

Janina Gmiter – wykaz sportowy obejmujący drogę *Geminis* 8b+ RP
Janek Sokołowski – wykaz sportowy obejmujący drogę *Pijane Trójkąty* VI.7 RP
Kinga Baranowska – wejście na Lhotse bez tlenu
Alek Barszczewski i Marcin Księżak – nowa droga na Grenlandii – *Snake from Aappilattoq* VIII/VIII+
Marcin Księżak – pierwsze powtórzenie i zarazem pierwsze przejście zimowe drogi *Vzpomínka na Eiger* (latem VI+, A3, 700 m, zimą M7, A3), z Jaśkiem Kuczerą
Łukasz Wolf – wykaz sportowy obejmujący m.in. drogi do stopnia VI.6+ RP na Jurze, sportowe drogi w Tatrach do stopnia IX+ i w Labaku do stopnia Xb RP
Alek Barszczewski – droga *Bonatti – Oggioni* na Pilier Rouge de Brouillard, z wyjściem na szczyt Mont Blanc – wspólnie z Rafałem Burczyńskim
Olek Romanowski – mistrzostwo Polski w bulderingu

Jan Żurawski, „Kazalnica. Drogi zebrane"

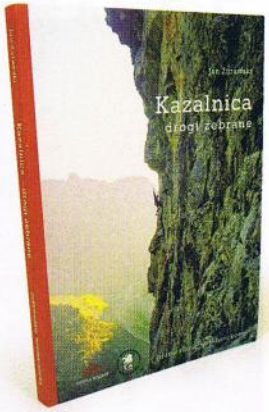

Pod patronatem naszego klubu ukazał się przewodnik wspinaczkowy po Kazalnicy, jednej z najciekawszych ścian polskich Tatr. To pierwsze od bardzo dawna całościowe i bardzo szczegółowe opracowanie Kazalnicy. W przewodniku znajdziemy opis 70 dróg biegnących od progu Wyżniego Czarnostawiańskiego Kotła do północnych stoków Kazalnicy. Każda droga oprócz informacji o trudnościach i standardowym czasie przejścia otrzymała opis charakteru wspinania oraz dodatkowe informacje o jej przebiegu.

Na 192 stronach przewodnika zawarto wstęp i informacje o ścianach (10 stron), opisy dróg (38 stron), schematy i wrysowania dróg (108 stron) oraz indeks około 460 nazwisk.

Przewodnik można kupić za pośrednictwem naszej strony internetowej.

Koszt dla klubowiczów: 30 zł. Jedna osoba może nabyć maksymalnie dwa egzemplarze.

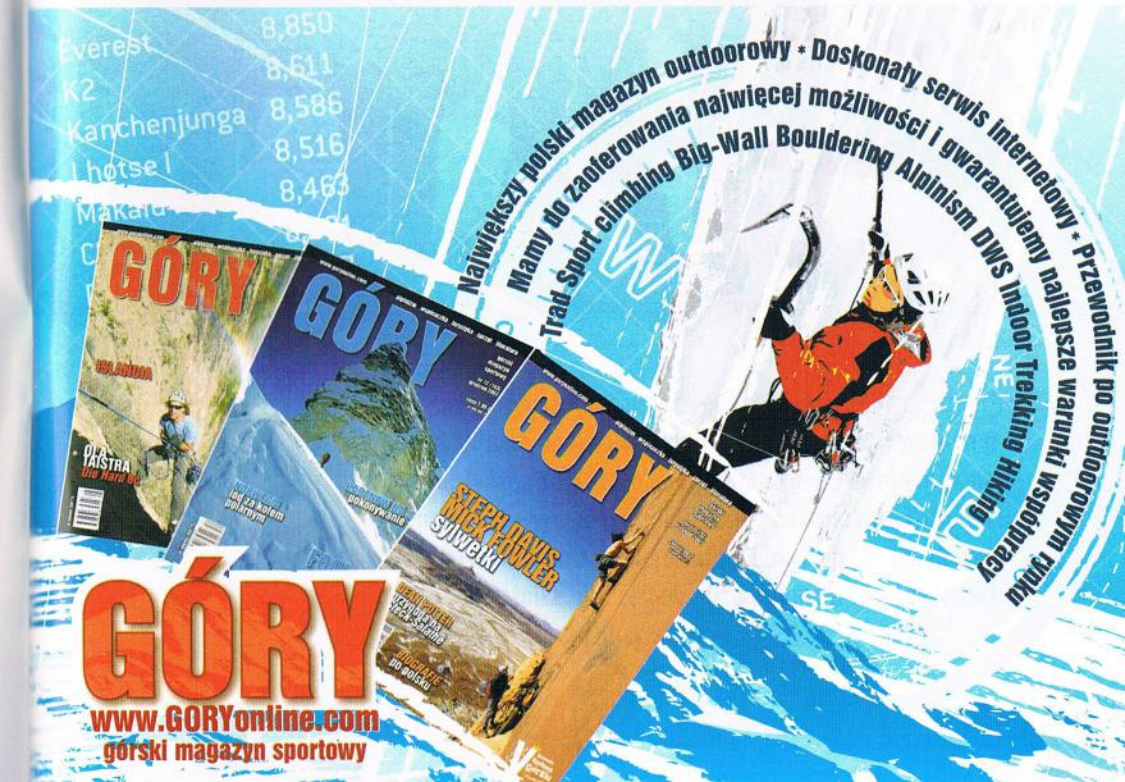

Tomasz Klimczak

PERUWIAŃSKIE OGNIE

Nasza wesoła czwórka na szczycie Pisco.
Fot.: Maciej Ostrowski.

Pomysł wyprawy wspinaczkowo-wypoczynkowej do Peru wpadł nam do głowy już rok temu. Początkowo miałem jechać tylko z Kaśką Skłodowską i Maćkiem Janczarem (Kolą). Tuż przed wyjazdem przyłączył się do nas Maciek Ostrowski. Natychmiast po zakupie biletów lotniczych Maciek pobiegł do Podróżnika po zestaw przewodników po masywach Cordillera Blanca i Huayhuash.

Podczas posiedzenia przy piwku w Warszawie, mocno podekscytowany klepał ręką w papier, wykrzykując:

– Paaaaaatrz, stary, jakie tam są ściany! Południowa Caraz, Chacraraju, Ocshapalca, no i Siula Grande. Łojenia cała masa, a wszystko po 1000 m.

– Południowe ściany? Chcesz się ubić? Tam cały dzień przygrzewa słońce i śmigają seraki – skwitowałem.

– Na drugiej półkuli południe to północ, kumasz?

24 czerwca 2012 roku, już po dłużącej się podróży, całą wesołą czwórką drombo (Kaśka, Maciek, Kola i ja) siedzieliśmy przy piwku w miasteczku Huaraz, znajdującym się u podnóża Cordillera Blanca. Miejscowość jest położona na wysokości 3052 m n.p.m. Na horyzoncie dumnie wzbijały się w niebo gigantyczne sześciotysięczniki. Od razu zrobiło się jasne, że będzie dużo dymania z worami. Podekscytowani nadchodzącymi sukcesami i naszą przezajebistością, uznaliśmy, że jeden dzień spędzony w Huaraz wystarczająco nas zaaklimatyzuje i siekniemy sobie na dzień dobry jakiś skromny pięciotysięcznik. Doświadczona w Himalajach Kaśka pomrukiwała coś o aklimatyzacyjnych spacerach nad pobliskie jeziorka, ale nie przemówiło nam to specjalnie do rozumu.

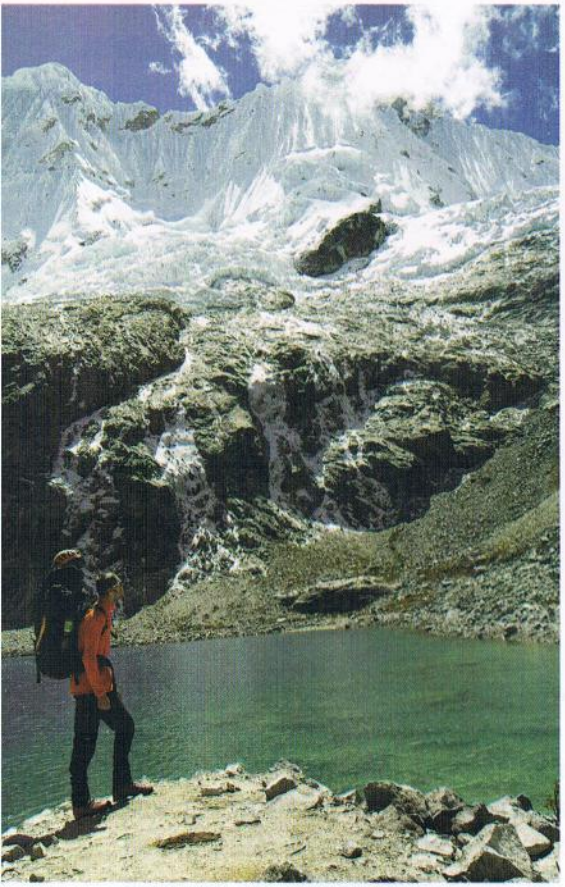

Droga Jeagera na Chacraraju widziana znad jeziora 69.
Fot.: Maciej Ostrowski.

Pisco 5752 m n.p.m., droga normalna, PD

Kolejnego dnia ruszyliśmy na łatwy szczyt Pisco, aby się zaaklimatyzować przed prawdziwym łojeniem. Po południu siedzieliśmy już w obozie na 4650 m. Dzień następny przyniósł tylko ból głowy i dalsze siedzenie w obozie. W kolejnym, mimo nieustającego bólu głowy, niechętnie ruszyliśmy się do obozu wysuniętego na 4900 m, gdzie dodatkowo dostałem mdłości i musiałem położyć się w namiocie. Kasia, która jest lekarzem ginekologiem, podawała mi leki znieczulające w zatrważających ilościach. Po jakimś czasie, lekko zdezorientowany, wyszedłem z namiotu i usiadłem na kamieniu. Rano zmobilizowaliśmy się i poszliśmy do góry. Kiedy doczłapaliśmy wreszcie do przełęczy, oślepił nas wspaniały widok lśniąco białych szczytów otaczających po drugiej stronie sąsiednią dolinę Paron. Przez chwilę przestało się liczyć nasze podłe samopoczucie oraz to wszystko, co zostało na dole. Szliśmy łagodną granią i tylko w jednym miejscu musieliśmy użyć dziabek do wspinania. Dla zasady wszyscy się związaliśmy. Ewidentnie brakowało nam właściwej aklimatyzacji, bo pokonanie stu metrów po prawie płaskim terenie trwało godzinę. Na wierzchołku położyłem się na śniegu, nie bardzo już zainteresowany panoramą. Maciek natomiast kręcił się w kółko z aparatem.

– Ee..., przestań się tak kręcić, bo poplączesz linę – wymamrotałem.

– Wlazłem tu po to, żeby robić zdjęcia, więc się ode mnie odpie... – padła szybka riposta.

W takiej to radosnej atmosferze delektowaliśmy się szczytem. Po zejściu do namiotu powróciły mdłości i ból głowy tak silne, że nie potrafiłem już zawiązać buta. Kasia zaserwowała mi na to podwójną dawkę paracetamolu, ibupromu max i ketonalu. Podczas schodzenia po morenie chwiejnym krokiem i z tępawym uśmiechem na twarzy, przypomniała mi się piosenka „Walking on the moon".

Kasia i Kola wchodzą o świcie w ścianę Artesonraju.
Fot.: Maciej Ostrowski.

Artesonraju 6025 m n.p.m, wariant słoweński, TD+

Po powrocie do Huaraz, kiedy już odpuściły znieczulacze, ze zgrozą stwierdziłem, że lewy migdałek spuchł mi do niewiarygodnych rozmiarów. Kasia, Maciek i Kola po jednym dniu restowania w mieście ruszyli zdobywać Artesonraju. A trzeba wiedzieć, że jest to sławetna góra figurująca w logo wytwórni filmów Paramount Pictures. W Huaraz poszedłem do lokalnego znachora, który okazał się całkiem kompetentnym lekarzem. Po dwóch dniach kuracji końskimi antybiotykami poczułem się już znacznie lepiej i ruszyłem w ślad za resztą, z nadzieją, że będą mieli obsuw i załapię się jeszcze na atak szczytowy. W górach bowiem nie ma zasięgu telefonicznego. Rozważałem też możliwość przesolowania drogi normalnej. Nad ranem z base campu zobaczyłem trzy czołówki na podejściu w ścianę Artesonraju pod wariant słoweński. To byli oni – a zatem mój wspaniały pomysł dołączenia prysł. Podszedłem pod ścianę przez lodowiec i na około 5000 m n.p.m. rozbiłem namiot w miejscu, gdzie spodziewałem się, że będą schodzić. Około godziny 1.00 nad ranem coś mnie tknęło i wyjrzałem z namiotu. Trzy czołówki. Są! To oni! Prędko chwyciłem przygotowany wcześniej pełen termos i pobiegłem w ich stronę. Byłem pewien, że ucieszą się na mój widok.

– Niespodzianka! – krzyknąłem.

Tylko Maciek coś odpowiedział. Reszta zdawała się mnie w ogóle nie znać.

– O herbata, poproszę – wybełkotała Kasia, nie odwracając nawet w moją stronę głowy.

Siedzieli tępo wpatrzeni w dal. Widziałem, że dostali mocno po dupie. Tylko Maciek miał coś do powiedzenia.

– Mówię ci, Klimas, przeje...ne. Lodowiec pełen szczelin, ściana długa i raczej trzeba się asekurować, a na końcu jeszcze kilka wyciągów mega twardego lodu. Lepiej się tam nie pchaj solo.

Posłuchałem i kolejnego dnia, mocno wkurzony, zszedłem z nimi na dół. Kasia, Kola i Maciek pokonali drogę w czasie około 24 h tent to tent.

Chacraraju Wschodnie 6001 m n.p.m, *Droga Jaegera*, ED1
Ranrapalca 6162 m n.p.m, droga normalna, D

Po jednym dniu odpoczynku w Huaraz Maciek, Kola i ja zdecydowaliśmy się naprzeć na *Drogę Jaegera* na południowej ścianie Chacraraju. Chcieliśmy spróbować swoich sił w trudniejszym terenie. Kasia postanowiła wybrać się na nieco łatwiejszy szczyt Ranrapalca z przewodnikiem. W przeddzień wyjścia w góry pojechaliśmy wszyscy zażyć relaksu w gorących źródłach Chancos, kilkanaście kilometrów od Huaraz. Tam również Kola i ja skonsumowaliśmy pyszną peruwiańską kukurydzę, z tym że Kola połakomił się jeszcze na podejrzanie wyglądający ser od lokalnej baby. Następnego dnia nasz bohater był na wpół żywy. Nie zbiło go to jednak z pantałyku i nadal twardo jechał z nami w góry. Na podjeździe nasza taksówka zatrzymywała się, a Kola puszczał pawie w okoliczne rowy. Spoglądaliśmy na siebie z Maćkiem zaniepokojeni. Po dwugodzinnej podróży taksówką ruszyliśmy pieszo w stronę obozu, który znajdował się na wysokości około 4600 m i był położony przy malowniczym jeziorku 69. Kola od razu został w tyle i omal się nie zgubił. Rozbiliśmy namiot nad samym brzegiem. Za stawem opadał pionowo stumetrowy klif skalny, a ponad nim fantastycznie wzbijały się potężne ściany Chacraraju Wschodniego i Zachodniego. Ten drugi zyskał złą sławę niespodziewanymi lawinami wywołanymi oberwaniem się olbrzymich nawisów śnieżnych z wierzchołka. Dwa lata temu hiszpański zespół został w ten sposób zabrany ze ściany. Dlatego postanowiliśmy iść na wierzchołek wschodni.

W bazie czuliśmy się bezpiecznie. Od ściany dzielił nas lodowiec, skalny klif i duży staw. Zasnąłem jak dziecko. O drugiej nad ranem obudził nas potężny ryk odrzutowca. Z Wierzchołka Zachodniego właśnie schodziła ogromna lawina. Siła była tak duża, że mimo dzielącego nas stawu jej podmuch wstrząsnął namiotem i obsypał wszystko śniegiem.

– Gdzieś ty mnie, ku...a, zabrał? – doleciało ze śpiwora obok.

Sen łatwo nie powrócił.

Następnego dnia zrobiliśmy z Maćkiem mały rekonesans, spakowaliśmy wory i przenieśliśmy cały majdan pod sam lodowiec na około 4900 m n.p.m. Tam, na małej platformie, zbudowaliśmy namiot i od razu poszliśmy znaleźć drogę pod ścianę przez lodowiec. Wydeptanie śladów

Kola napiera na *Drodze Jeagera*. Fot.: Maciej Ostrowski.

za dnia okazało się złotym strzałem, bowiem w tej strefie geograficznej noce są naprawdę ciemne. Jeśli nie ma akurat księżyca, człowiek czuje się tak, jakby ktoś mu zgasił światło w ubikacji. Nie można odróżnić ziemi od nieba, a już tym bardziej dostrzec zarysów góry. Pod bergschrund podeszliśmy z trudem, w śniegu do pasa, złorzecząc pod nosem na Kolę, który oczywiście wymigał się od torowania i został w namiocie.

Stromy lodowiec przeszliśmy nad ranem po wydeptanych wcześniej śladach. Od bergschrundu zaczęliśmy się wspinać na lotnej po łatwym zboczu śnieżnym. Świt zastał nas przy pierwszych skałach. Wyżej robiło się stromiej. Tylko miejscami lód w ścianie był na tyle dobry, żeby wkręcić pewną śrubę lub zbudować stanowisko Abałakowa. Pozostałą część pokrywał miękki, powietrzny lód lub firn. Spod niego często prześwitywała skała. Miejscami lód był na tyle cienki, że należało podhaczać dziabki zamiast je wbijać. Budowanie stanowisk zjazdowych pozostawało niewiadomą. W ścianie znaleźliśmy tylko jeden hak.

W połowie drogi zaczęliśmy się asekurować na sztywno, zmieniając się na prowadzeniu. Kola czuł się zadziwiająco dobrze i sprawnie prowadził wyciąg za wyciągiem. Taryfa ulgowa się skończyła.

– Te, jak prowadzisz, to weź wszystkie szable – wydyszałem do niego.

– Dziękuję, ale tutaj mi się nie przydadzą, biorę tylko śruby.

– To zabieraj sobie plecak, bo ja nie będę wszystkiego dźwigał.

Ostatecznie trzy z ośmiu szabli wylądowały w plecaku. Kiedy zamaszyście zakładałem go na plecy, szable wysunęły się i poszybowały w dół jak rzucone zapałki. Maciek spojrzał posępnie na ten spektakl.

– Zaje...emy się na zjazdach – zawyrokował.

Około godziny 17 zameldowaliśmy się jakieś 10–15 m od szczytu. Otaczał nas miękki śnieg i nawisy szczytowe, na które woleliśmy nie włazić. Wcześniej rozmawiałem z kilkoma przewodnikami peruwiańskimi szczycącymi się zrobieniem *Drogi Jaegera* do tego punktu. Oczywiście teraz, z poziomu kanapy, pluję sobie w brodę, że może jednak trzeba było zaryzykować i wejść na sam pik. Ale cóż... Kiedy zaczęło się ściemniać, rozpoczęliśmy zjazdy z Abałakowów. Jako najcięższy zjeżdżałem pierwszy, wyszukiwałem dobry lód i budowałem stany. Trochę to trwało. Zwracałem szczególną

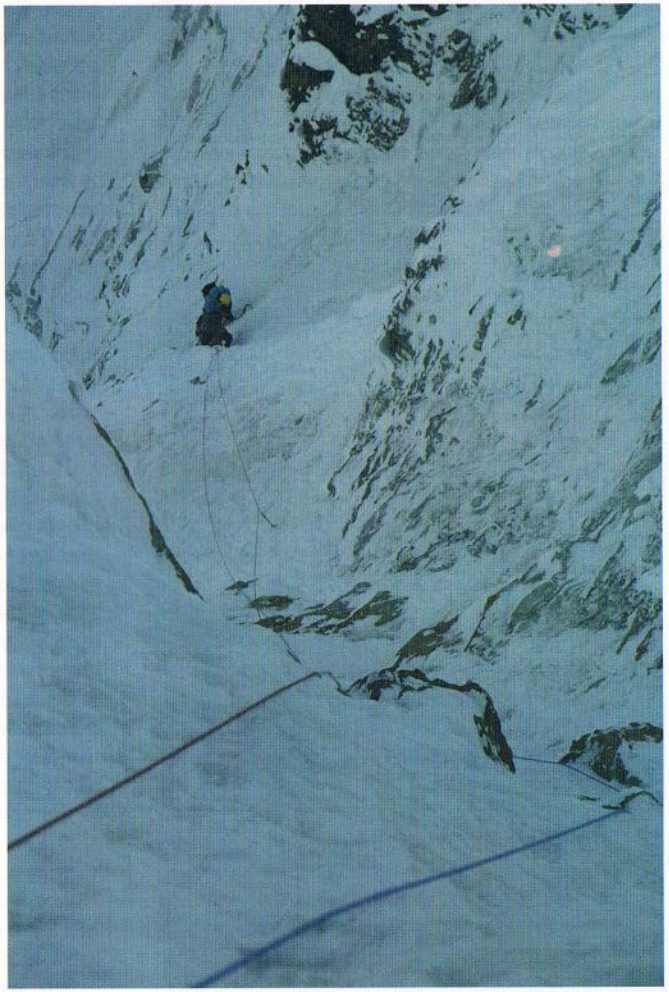

Na stanowisku w ścianie Chacraraju.
Fot.: Maciej Ostrowski.

uwagę, by nie upuścić jedynej długiej śruby, jaką mieliśmy do nawiercania stanowisk. Skupiony na tym, upuściłem igłę do przepychania repa. Spanikowany, zakomunikowałem to chłopakom przez radio.

– No co ty, Klimas! Zostawiaj śruby – padła oczywista odpowiedź.

Po chwili okazało się, że cięgno od kości jako tako nadaje się do przeciągania repa. Jednak budowanie stanowisk jeszcze bardziej się wydłużyło. Na górze chłopaki marzły. Zwłaszcza chudy Maciek coraz bardziej się telepał, szczękał i jęczał, że zimno. Około 23 wszyscy byliśmy już konkretnie wymordowani, więc pobraliśmy sobie liście koki i glucardiamid. Stanowiska budowałem teraz z haków i płytkich szabli, bo dobry lód dawno się skończył. W pewnym momencie otoczyła mnie chmura pierza z nieopatrznie rozerwanej o skałę kurtki puchowej. Po dwunastu zjazdach ostatnie sto metrów do bergschrundu zewspinalismy się bez liny. Potem był już tylko lodowiec i nasz pięciogwiazdkowy namiot. Kolejnego dnia zeszliśmy wykąpać się nad jeziorko 69, a następnie na dół, do doliny.

W Huaraz spotkaliśmy szczęśliwą Kasię, która bez problemu pokonała drogę normalną na Ranrapalca w towarzystwie przewodnika.

Tocllaraju 6032 m n.p.m, diretta zachodniej ściany, D+

W czasie krótkiego odpoczynku w Huaraz próbowałem namówić Maćka i Kolę na kolejny lodowy wspin, podsuwając im pod nos zdjęcia południowych ścian Ocshapalki czy Caraz I. Sądziłem, że właściwie dopiero wtedy byliśmy wystarczająco zaaklimatyzowani do zaatakowania trudnego celu. Kola jednak znowu się rozchorował, a Maciek miał dość zimna. Chłopaki poszli zatem powspinać się klasycznie na imponującym, 750-metrowym granitowym masywie La Esfinge, leżącym u wylotu doliny Paron. Kasia i ja udaliśmy się na direttę zachodniej ściany Tocllaraju leżącego w dolinie Ishinki. Przed podejściem do obozu wysuniętego na 5200 m n.p.m., Kasia, z racji swojej drobnej budowy, wynajęła tragarza wysokościowego do poniesienia wora. Zaraz po wejściu na lodowiec tragarz zwolnił i zaczął marudzić, że jest głodny i boli go głowa. Obiecałem dodatkowe pieniądze na obiad i paracetamol. Po kolejnych stu metrach sytuacja się powtórzyła. Tym razem obiecałem mu buty Kasi, które i tak planowała zostawić w Peru. Podekscytowany wizją posiadania porządnych butów przeszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków, po czym zadyszany przysiadł w śniegu oświadczając, że nie ma kompletnie siły i rezygnuje z podarków. Kasia tymczasem dotarła już dawno na miejsce i wkurzona obserwowała z góry cały ten teatrzyk. W pewnym momencie puściły jej nerwy i zaczęła zbiegać w naszą stronę, wykrzykując obelgi pod adresem tragarza. Zacząłem się bać, że chce go pobić. Tragarz wyglądał na mocno wystraszonego. Kasia odebrała mu plecak, wręczyła dolary i kazała sp...dalać, po czym wyrwała z powrotem w górę. Zawstydzony pognał w dół, mrucząc pod nosem, że Polakom to on na przyszłość dziękuje.

O drugiej rano poszliśmy się wspinać w 60-stopniowym lodzie i firnie zachodniej ściany. Woleliśmy być już wysoko, kiedy podszczytowe seraki oberwą pierwszymi promieniami słońca. O 8.45 rano zameldowaliśmy się na pięknym, szpiczastym szczycie Tocllaraju. Fantastyczny, 360-stopniowy widok dość długo przykuwał naszą uwagę. Czekało nas jeszcze łatwe zejście drogą normalną. Humory dopisywały, pogoda jak marzenie, istna sielanka. W górach jednak sielanki często zmieniają się w tragedie. Zjeżdżając spod szczytu, przeskoczyliśmy na linie sporą szczelinę w stoku. Na jej dolnym brzegu stał wspinacz z Meksyku i ściągał swojego partnera. Po chwili jednak zobaczyliśmy, że drugi koniec liny jest pusty. Wyjaśnił, że wyszedł z żoną, ale mu się odwiązała i sobie poszła.

– Niezły Meksyk – pomyślałem.

Następnie poprosił, abym go przyasekurował, kiedy będzie pokonywał szczelinę. Mostek, który kiedyś łączył obie strony szczeliny, zapadł się. Żeby przejść, trzeba było stanąć na nadwieszonej krawędzi tego, co z niego pozostało, zabić dziaby w miękki śnieg i szybkim ruchem przeskoczyć na drugą stronę. Zgodziłem się asekurować i po chwili siedziałem okopany w śniegu. Meksykanin kilka minut stał na krawędzi, debatując nad przeskokiem. W końcu zawrócił i powiedział, że nie da rady i że odpuszcza szczyt. W tym momencie powinienem był pogratulować mu roztropnej decyzji. Podekscytowany powiedziałem natomiast coś takiego:

– No co ty chłopie, to przecież jest banalnie proste! Dawaj no te swoje szable i karabinek, to ci zaraz wędkę powieszę.

Bardzo się ucieszył. Pięć minut później wędka już wisiała. Tylko te jego szable były jakieś takie, jakby je wyciął z PCV. Bałem się obciążać. Niczego nieświadomy Meksykanin naparł teraz dużo śmielej, ale widać było, że obycia z dziabami to on nie ma. W kluczowym momencie jedna z nich wyjechała i bezszelestnie runął w czeluść. Zanim szable zapracowały i lina się napięła, on dyndał już pięć metrów poniżej mostka. Nie dotykając ręką i nogą niczego, spoglądał skulony w pustkę pod nogami.

– Wyłaź po linie! – krzyczała Kaśka.

– Nie mam przyrządów – doleciało z głębi.

– Zrzucę ci prusiki na drugiej linie!

– A co się z tym robi?

Widać było, że chłopa nie powinno w ogóle tam być. Sytuacja robiła się patowa. Znajdowaliśmy się nieco poniżej 6000 m i coraz bardziej odczuwaliśmy zmęczenie. Zbudowałem stanowisko i przeniosłem na nie jego ciężar. Po dłuższej analizie okazało się, że gdy opuszczę go niżej, trafi na gzyms w ścianie szczeliny, którym może wytrawersuje do miejsca, w którym szczelina będzie nieco połoga. Z pomocą drugiej liny kierunkowej udało nam się go w końcu wytaszczyć na powierzchnię. Meksykanin był nieskończenie wdzięczny za uratowanie. Wykorzystując perfidnie tę słabość, zaproponowałem, żeby nam przynajmniej zniósł do bazy trochę szpeju, bo na tragarza nie było już co liczyć.

Po powrocie do Huaraz spotkaliśmy Maćka i Kolę, którzy wrócili z nieudanej próby na Sfinksie. Następnego dnia kupiliśmy butelkę Bacardi i pomknęliśmy nocnym autobusem do Limy, pozwiedzać na koniec muzea i przekonać się, że gringos mają nie lada powodzenie na peruwiańskich dyskotekach.

Na koniec garść praktycznych informacji. Będąc w lipcu i sierpniu w Peru, można liczyć na pewną pogodę. W masywie Cordillera Blanca bez problemu można wynająć tragarza czy osła. Bliskość miasta Huaraz pozwala na dotarcie do bazy w ciągu jednego dnia. Dzięki temu na przeciętny szczyt potrzeba około czterech dni w obie strony. Nam, w czasie miesięcznego urlopu (wliczając podróż), udało się zdobyć w czwórkę pięć wierzchołków, choć niektórych spowalniały choroby. Peruwiańczycy są niezwykle sympatyczni, otwarci i nienachalni. Ceny w miejscach turystycznych podobne do polskich. Poza miejscami komercyjnymi jest o połowę taniej. Polecam. ■

Od góry:

Linia *Direty* Zachodniej Ściany Tocllaraju.
Fot.: Kasia Skłodowska.
Linia *Drogi Jeagera* na Chacraraju Wschodnim widziana z Pisco.
Fot.: Maciej Ostrowski.
Linia wariantu słoweńskiego na Artesonraju.
Fot.: Maciej Ostrowski.

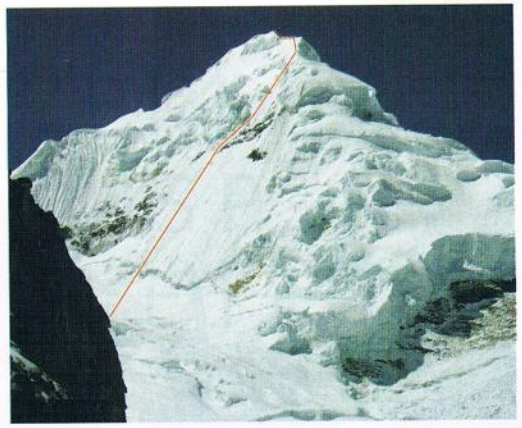

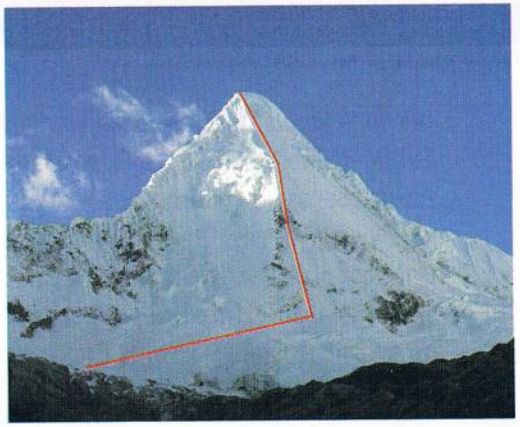

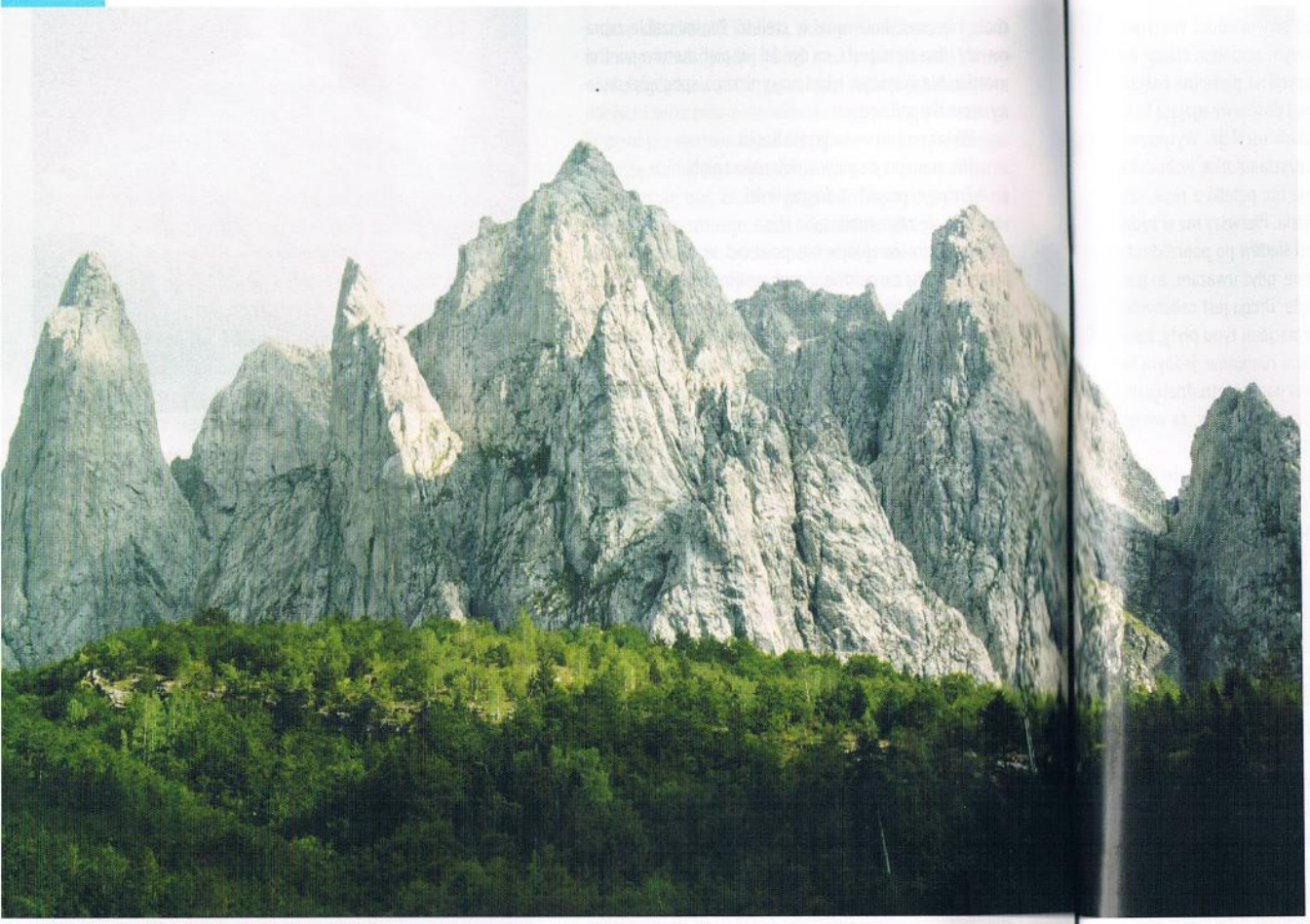

Turnie Ropojany. Fot.: Wojtek Nowicki.

Jacek Kierzkowski

PRZEKLĘTY WSPIN: PROKLETIJE 2012

Z początkiem sierpnia, w składzie: Adam Latusek – kierownik, Wojciech Szeloch, Maciej Figat, Wojciech Nowicki, Michał Karbowski oraz niżej podpisany, udaliśmy się na pogranicze Czarnogóry i Albanii, w Góry Przeklęte. Celem wyprawy było wytyczenie nowych dróg wspinaczkowych w dolinie Ropojana. Dla Adama Latuska i Wojciecha Szelocha był to już drugi wyjazd w tej rejon – byli tam w roku 2010 wraz z Andrzejem Szypowskim oraz Mateuszem Zabłockim; wytyczone wówczas zostały trzy nowe drogi.

Na tegoroczną wyprawę, podobnie jak dwa lata wcześniej, pojechaliśmy dwoma samochodami. Już sama podróż dostarczyła niezwykłych emocji, szczególnie przejazd przez Serbię, gdzie, w związku z osobliwym stylem jazdy tamtejszych kierowców, walczyliśmy o przetrwanie. Na jednym z ostrych zakrętów, pośród skał wyrastających nad szosą, tylko refleks Wojtka Nowickiego uratował nas przed czołowym zderzeniem z wyprzedzającym na linii ciągłej szaleńcem. Poniesione straty: utrącone lusterko boczne. Szczerze odradzamy podróż samochodem przez Serbię.

Umęczeni tym etapem, dotarliśmy do miejscowości Vusanje na południowym skraju Czarnogóry. Po nocy spędzonej u wylotu doliny Ropojana rozpoczęliśmy przepakowanie i ruszyliśmy w ponadpięciogodzinny marsz do serca tamtejszych gór, w kierunku granicy albańskiej. Po przekroczeniu zielonej granicy doczłapaliśmy do miejsca rozbicia namiotów bazowych.

W tym sezonie, przy panujących czterdziestostopniowych upałach, dużym problemem było zdobycie wody. Nie „przelewało się" nawet u gazdujących sezonowo w pobliżu bazy pasterzy. Okoliczne jeziorka były wyschnięte na pieprz, a brak potoczków i strumyków dodatkowo potęgował problem.

Po dniu rekonesansu na pierwszy ogień wybraliśmy powtórzenie drogi *Dele Soundsystem* (VI, 500 m + 200 m łatwą granią do piku) na odległej o około trzy godziny marszu południowej ścianie Maja Vukoces. Przypomnę, że droga powstała w roku 2010, za sprawą Adama Latuska i Wojtka Szelocha, obecnych również na tegorocznej wyprawie. Ustaliliśmy, że jako pierwszy zaatakuje ścianę zespół kierownika wyprawy, czyli Adam Latusek, Wojciech Nowicki i Maciej Figat. Chcieliśmy się rozwspinać i sprawdzić, z czym możemy tu mieć do czynienia. Pech chciał, że kamień strącony przez Adama na pierwszych metrach drogi obciął w połowie nowiutką żyłę i zakończył próbę powtórzenia. Chłopaki ze smutkiem, pozostawiwszy nam dodatkową butelkę napoju, udali się w kierunku bazy...

Z odsieczą naparł drugi team w składzie Wojciech Szeloch „Yabende", Michał Karbowski „Karpiu" i niżej podpisany. Tymczasem bezlitosne słońce wysysało każdą kroplę cieczy z naszych organizmów i już w dole ściany zdaliśmy sobie sprawę, że będzie bolszaja chujnia – widmo odwodnienia zaczęło się materializować z każdym kolejnym wyciągiem.

Samo wspinanie przebiegało jednak pomyślnie. Po trzech wyciągach przejąłem stery od Yabendziaka i dziarsko ciągnąłem do góry (OS), by tuż przed pikiem oddać Wojtkowi prowadzenie i jeszcze za dnia z całym zespołem stanąć na wierzchołku. Droga, mimo ekspozycji na piekielne bałkańskie słońce, okazała się przepiękną i dość wymagającą linią, z uwagi na ciąg trudności, w jakich oscyluje. Wytyczona (oraz powtórzona przez nas) bez użycia młotka, wzbudziła nasze zadowolenie. Na drodze nie ma pętelki z repa, czy choćby haczyka po autorach przejścia. Pierwszy raz w życiu powtarzałem drogę, która nie nosi śladów po poprzednich przejściach. Podkreślam to wyraźnie, gdyż uważam, że jest to sporym walorem dla klasy i stylu. Droga jest całkowicie skalna; wiedzie litymi na ogół formacjami typu płyty, kaloryfery, okapy i zacięcia, z odcinkami runoutów, jednym łatwym, dosyć długim trawersem oraz partią nietrudnej grani. Dostarcza wspaniałych doznań. Szacun, koledzy, za wizję! Mam nadzieję, że stanie się ona klasykiem doliny.

Zabraliśmy ze sobą trzy spity, na wypadek potrzeby dołożenia do zjazdów podczas powrotu, nie użyliśmy ich jednak z uwagi na dobry stan tych sprzed dwóch lat. Znaleźliśmy wszystkie trzy stanowiska zjazdowe, choć tylko pierwsze jeszcze za dnia. Każde z nich składało się z taśmy (mieliśmy na wymianę, ale jakość zastanych nie budziła obaw), przewleczonej przez spit i hak, oraz ogniwa maillon rapide. Do linii powrotnej dołożyliśmy jeszcze dwie taśmy zarzucone za solidne wafle skalne. Dało to dodatkowe dwa zjazdy w terenie dość niebezpiecznym ze względu na kruszyznę i zalegające na dole pole firnowe. Utrudnieniem było nasze odwodnienie i ledwo pełzające światło mojej czołówki...

U podstawy ściany, zdając sobie sprawę, że jesteśmy bardzo zmęczeni i odwodnieni, a długa droga powrotna obfituje w spionowane pastwiska podcięte przepaściami, podjęliśmy decyzję o biwaku i powrocie do bazy już w świetle nowego dnia. W warunkach panujących o tej porze roku niespodziewany biwak nie jest dramatem, o ile ma się wodę. Temperatury są na tyle wysokie, że noc pod NRC z nogami w plecaku pozwala na odrobinę snu. Dodatkowo na naszej decyzji zaważyło to, że mieliśmy nazbieranych kilka garści śniegu w butelce i schowany pośród kamieni na starcie drogi bidon izotoniku. Rankiem, po wypiciu stopionego śniegu w ilości po łyku na łeb, po trzech i pół godziny dreptania, wróciliśmy do bazy.

Jeszcze tego samego dnia, po wypiciu wielu litrów płynów i ekspresowym dojściu do siebie, zeszliśmy na dwa dni restu do Vusanje. W tym samym czasie pozostała trójka pracowała nad wytyczeniem nowej drogi. I tak, po rekonesansie Maciej Figat wraz z Wojtkiem Nowickim udali się na Maja Arapit (2217 m n.p.m.), prowadząc nową linię na jej północno-wschodniej ścianie. Nie bez przygód, wymuszających różne warianty przejścia zastanych formacji, wspięli się drogą ochrzczoną *No problemik*, VI/VI+, około 450 m, OS.

Kierzkowski–Karbowski–Szeloch po zrobieniu *Dele Soundsystem*.
Fot.: Jacek Kierzkowski.

Według relacji chłopaków, już samo trzygodzinne podejście pod ścianę jest niełatwe, zawiera elementy wspinania oraz wymusza uważne lawirowanie pomiędzy głębokimi na kilkadziesiąt metrów ostrymi jak brzytwa, krasowymi szczelinami. Droga, która początkowo miała być przejściem północno-wchodniego filara szczytu, jest kompromisem między wspinaniem klasycznym a puszczającymi trudnościami. Za sprawą kruszyzny, bądź też z powodu zbyt litej skały nie obeszło się bez dwudziestometrowych runoutów. Po pokonaniu przez Wojtka dwóch sześćdziesięciometrowych wyciągów (VI, VI+), na których udało się założyć po trzy przeloty, zakończonych stanowiskami typu „nie obciążaj", zespół postanowił zmienić linię wspinu. Na turniczce, która umożliwiała bezpieczny trawers, chłopaki spotkali pasterza w gumowcach, który obserwując ich już trzygodzinny wysiłek powiedział:

– You problem – me no problem!

Kolejne trzy wyciągi wspinaczkowe (V, VI) w bardzo kruchym terenie poprowadził Maciek, co chwila zrzucając w dół pokaźne fragmenty skały. Zejście ze szczytu jest wymagające, ale możliwe do pokonania bez użycia liny, odbywa się południowo-wschodnim filarem. Zespół wrócił do obozu po biwaku u podstawy ściany, po około 30 godzinach od wyjścia.

Dni restu przeplatane były wspinaniem na małych formach. Dolina oferuje ogromną ilość znakomitych bulderów. Jakość skały powoduje szybkie zeszlifowanie skóry rąk oraz podeszw butów! Miejsce, w którym rozbiliśmy bazę, doskonale sprzyja życiu obozowemu. Znajduje się w górnym sosnowym reglu, dając wytchnienie w cieniu drzew i opał na ogniska, palone przez nas codziennie. W pobliżu

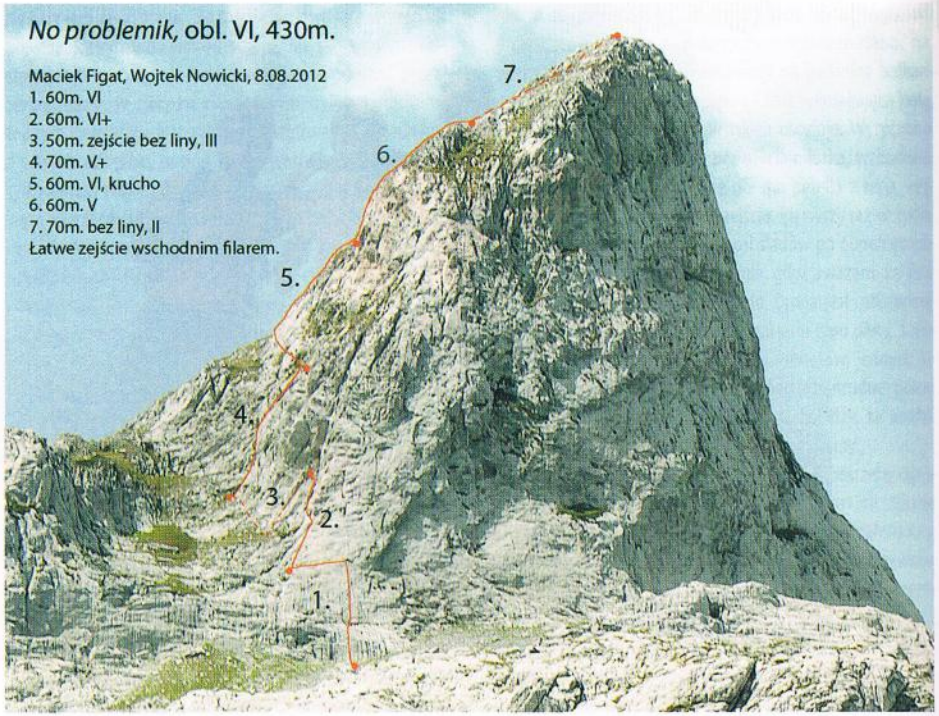

No Problemik, Maja Arapit. Fot.: Wojtek Nowicki.

stacjonują przyjaźni, albańscy pasterze, tam również znajduje się wodopój.

Kolejnym celem miała być Maja Stogut, leżąca w albańskiej części gór, chyba niezdobyta dotychczas żadnym sposobem, z upatrzonym przez chłopaków jeszcze w sezonie 2010 poważnie wyglądającym północnym filarem. W czasie rekonesansowego spaceru w jej pobliże zdeponowaliśmy zapasy wody i po oględzinach formacji przez lornetkę z dogodnego dystansu, zaczęliśmy ostrzyć sobie pazurki na zdobycie wierzchołka wybranym filarem.

Spore zmiany pogody i sygnały o jej niestabilności odwodziły atak w czasie. Część z nas udała się na kolejne poszukiwania potencjalnych celów ataku w odległej dolinie po stronie Czarnogóry. W trakcie powrotu z rozpoznania Adam Latusek poważnie uszkodził stopę (jak się okazało już w Polsce, doznał pęknięcia śródstopia), co zmieniło znacznie plany i zamiary całej wyprawy.

Nie zdając sobie sprawy z powagi kontuzji, dzielny nasz kierownik, unieruchomiony w bazie zapalał nas do działania. I tak, we trójkę z Wojtkiem Nowickim i Maćkiem Figatem, udaliśmy się na biwak w dolinę jezior, pod południowo-wschodnią ścianę masywu Maja Bridashe, z zamiarem jej zaatakowania kolejnego dnia rano.

Zgodnie z planem, choć nieco powolnie i w dojrzewającym szybko słońcu, wbiliśmy się dziarsko w urwisko. Pierwsze 150 m niezwykle parchatego i niebezpiecznego terenu pokonaliśmy na żywca, często klucząc w terenie mniej więcej piątkowym, przechodzącym w końcu w lite formacje. Tu, po związaniu się, Maciek Figat poprowadził wyciąg na niemal pełną długość (60 m) liny. Linia widziana z dołu wydawała się przystępna i rokowała nadzieje na szybkie podejście do wiszącego kotła mniej więcej w połowie ściany, gdzie zaczynało się ogromne zacięcie. W razie trudności z jego pokonaniem planowaliśmy poprowadzenie drogi filarem z prawej

Przed startem w *No problemik*. Fot.: Wojtek Nowicki.

Wielkie Zacięcie na Maja Bridasze.
Fot.: Wojtek Nowicki.

Od lewej: Michał Karbowski, Wojtek Nowicki, Jacek Kierzkowski, pasterz Naim, Maciek Figat, Adam Latusek, Wojtek Szeloch.
Fot.: Wojtek Nowicki.

strony góry. Wyciąg okazał się niezwykle czasochłonny i trudny, z lichą asekuracją. Zgodnie z naszymi odczuciami i ilością zaangażowania, wyceniamy go na co najmniej VI.1 w skali krakowskiej.

W kolejny odcinek wbiłem się z nadzieją nadrobienia nieco czasu. Niestety, kilka dosłownie stóp nad stanem napotkałem płytę, której rozwiązania szukałem przez wiele minut. Próbowałem jeszcze trawersem w prawo poszukać jakiejś linii obejścia. Bezskutecznie. U góry, zdawało się, widzieliśmy już przełamanie krawędzi kotła. Mimo straconego na tych wysiłkach czasu, przewiązaliśmy się i każdy z naszej trójki podjął próbę, by „nie dać skóry darmo". Niewiele udało się wydrzeć białej skale. Nie chcąc grać ciężkim sprzętem odpuściliśmy pomysł wbicia spita i zadania z jego pomocą w stylu „A". Spitów zabraliśmy tradycyjnie trzy sztuki. To na powrót i zjazdy. Nie chcieliśmy tego zmieniać, nie było potrzeby. Ściana nie puściła i podjęliśmy trudną decyzję o odwrocie, wierząc, że jest możliwość przejścia klasycznie. Next time, babe!

Dzień kurczył się, tak jak nasz zapał, ale dzięki trafnie wyszukanym formacjom skalnym udało nam się na zjechać w bezpieczny teren na cztery długości liny, bez potrzeby zostawiania w ścianie haków czy kości, a tylko z pomocą przeplecionych przez ucha, lub zarzuconych za igły skalne pętli.

To koniec wyprawy. W bazie wszyscy przedyskutowaliśmy temat powrotu i zdecydowaliśmy się na wspólne zwinięcie obozu. Adam miał poważne problemy z poruszaniem się, nie mówiąc o znoszeniu ciężkiego mandżura. Podzieliliśmy się jego dobytkiem i objuczeni jak albańskie muły po około 15 dniach wyprawy udaliśmy się ku nizinom. Na dole zaznaliśmy jeszcze czaru miasteczka Vusanje i po nocy spędzonej w oprawie wykwintnych miejscowych wiktuałów, trunków, długich rozmów oraz śpiewów przy Wojtkowym ukulele, popędziliśmy konie mechaniczne w kierunku ojczyzny.

Podsumowując, szczerze polecam rejon, który oferuje olbrzymi potencjał i nagromadzenie wspinaczkowych atrakcji w każdym przedziale zainteresowań i możliwości, począwszy od małych form po tysiącmetrowe zerwy. Obszar ten jest zaściankiem Europy, nieco zmarginalizowanym przez wiry dziejowe, ale kiełkującym turystycznie i z ogromnym polem do eksploracji zarówno alpinistycznej, jak i speleologicznej. Jest to znakomity poligon dla całych pokoleń trekkerów, wspinaczy i podróżników. Kraina, trzeba przyznać, niełatwa w logistyce, pełna niebezpieczeństw związanych z dużymi odległościami oraz brakiem infrastruktury, służb ratunkowych, zasięgu telefonów komórkowych i wody, może być miejscem bardzo wartościowym dla miłośników prawdziwej przygody.

Więcej zdjęć można zobaczyć na www.outblog.pl ■

Wschodnia ściana Aguja Saint-Exupery.
Fot.: Antek Mytko.

Robert Drynda

PATAGOŃSKA ROZGRZEWKA

Do Patagonii jedziemy z zamiarem wytyczenia nowej drogi na wschodniej ścianie Cerro Dos Cuernos (3074 m n.p.m.) lub Cerro Dos Cumbres (3049 m n.p.m.) w masywie Moreno.

Ze względu na ograniczony budżet, związany z trudnościami w znalezieniu sponsorów, rezygnujemy z podejścia pod masyw Moreno i skupiamy się na działalności w masywie Cerro Torre. W El Calafate, miasteczku stanowiącym naszą bazę wypadową, dowiadujemy się od wspinaczy, że na podejściu pod zachodnią ścianę Cerro Torre, nasz cel rezerwowy, wytopiły się znaczne połacie lodowca, a do przekraczania szerokich szczelin niezbędne są drabiny. Transport drabin i sprzętu we dwójkę jest zbyt skomplikowany, a nie stać nas na opłacenie porterów. Alternatywą jest działalność po wschodniej stronie wschodniej Cerro Torre. *Kolejna lekcja pokory* – myślę sobie – *właściwie za każdym razem jak jadę na poważny wspin w góry, dostaję pstryczka w nos, żeby nie powiedzieć kopa w d...*

Nie możemy nawet podejść pod zachodnią ścianę. Na razie to tylko pstryczek w nos, grunt to optymizm. Elastyczność to podstawa w Patagonii. Od początku naszego przyjazdu do El Chalten pogoda jest niestabilna, największym problemem jest silny wiatr. Rozbijamy namiot w Campo D'Agostini i czekamy na poprawę warunków. Przez pierwszy tydzień Torre zakryte jest chmurami, nie mogę dostrzec „góry niemożliwej". Czas upływa nam na jedzeniu, wypadach do miasteczka po prowiant i rozmowach na różne tematy, najczęściej o kobietach. W piątkowe wieczory wspinacze i lokalsi spotykają się w Tangerii. Wino i muzyka bardzo dobrze pomagają odreagować monotonię oczekiwania na poprawę warunków.

Po dwóch tygodniach oczekiwania nasz entuzjazm zaczyna opadać. Masyw Torre cały czas skryty jest w chmurach, podczas gdy nad Fitz Royem świeci słońce. Decydujemy się przenieść pod Fitz Roya, na Campamento Rio Blanco. Planujemy rozgrzewkowy wspin na jednej z gór masywu, a póź-

Dolna część *drogi Buscaini*.
Fot.: Antek Mytko.

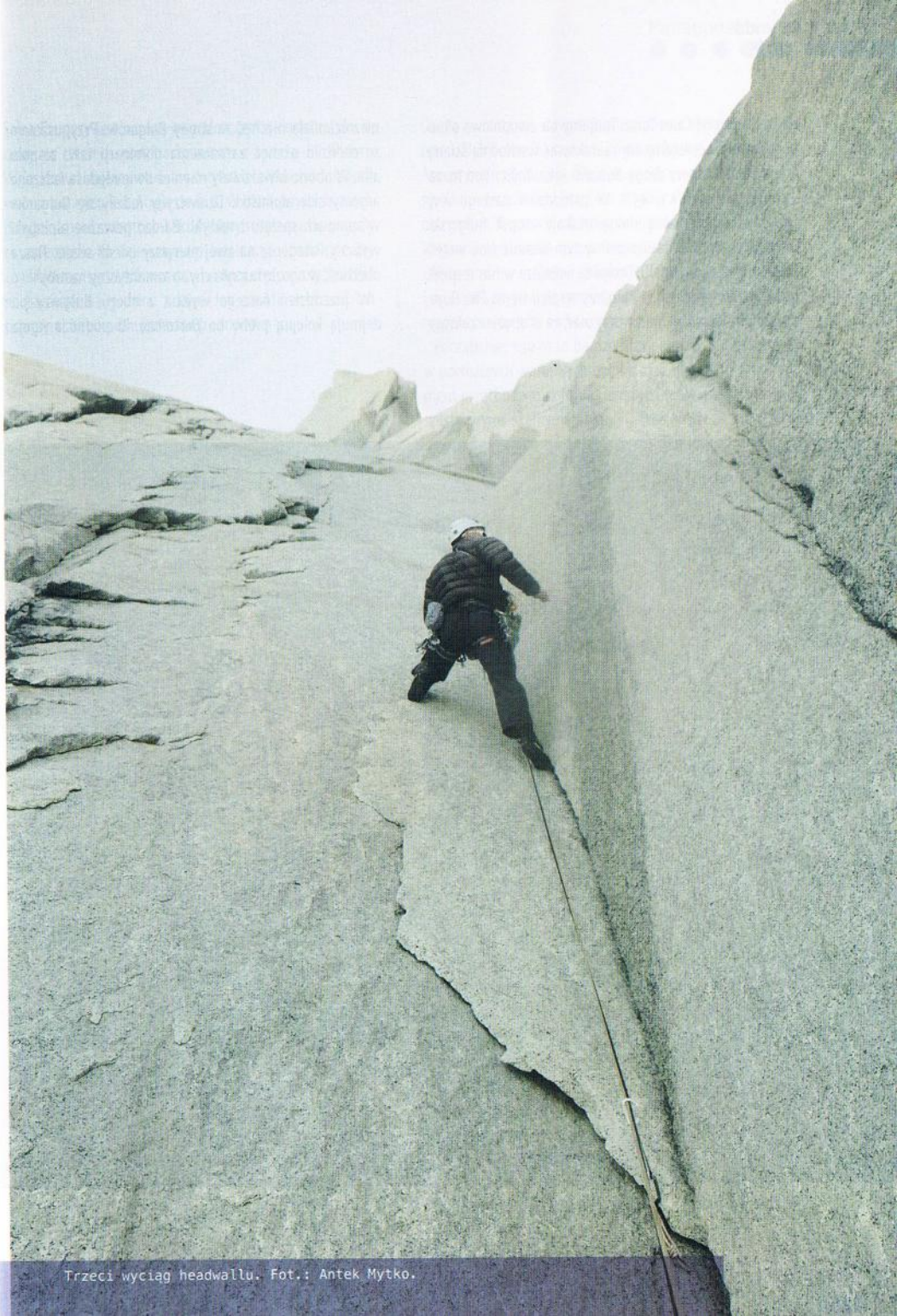

Trzeci wyciąg headwallu. Fot.: Antek Mytko.

niej powrót pod Cerro Torre. Trafiamy na dwudniowe okno pogodowe. Decydujemy się zaatakować wschodnią ścianę Aguja Saint-Exupery drogą *Buscaini* (aka *Italian* 700 m 7a – pierwotnie 6a+/A1, 45°). W przeddzień naszego wyjścia z obozu tę samą drogę atakuje zespół bułgarski. To ich druga próba na *Buscaini* w tym sezonie (rok wcześniej również się wycofali). Droga ta wzbudza w nas respekt, ponieważ w tym sezonie Bułgarzy wspięli się na Fitz Roya, a wycofali z *Buscaini*. Muszę przyznać, że w obozie czuliśmy niezrozumiałą niechęć ze strony Bułgarów. Przypuszczam, że chodziło o chęć zaznaczenia dominacji tzw. zespołu alfa. W obozie biwakowały również dwie niedoświadczone argentyńskie alpinistki. Dziewczyny radziły się Bułgarów w sprawach sprzętu i taktyki. Bardzo odważne alpinistki wybrały Patagonię na swój pierwszy górski sezon. Nasza obecność w obozie burzyła chyba romantyczny nastrój.

W przeddzień naszego wyjścia z obozu Bułgarzy podejmują kolejną próbę na *Buscainim*. U podnóża Aguja Saint-Exupery jest bardzo wygodna grota, do której docieramy po czterech godzinach marszu z biwaku Rio Blanco. W jaskini zastajemy owe argentyńskie alpinistki odpoczywające po wycofie z Aguja de la S. W okolicznych ścianach zalegało sporo śniegu po kilkudniowym załamaniu pogody, co uniemożliwiło dziewczynom wspinanie. Około godziny 20 układamy się w śpiworach w wolnej części groty, budziki nastawiamy na godzinę 3 rano. Jak zwykle w przeddzień poważnej wspinaczki jest nam trudno zasnąć.

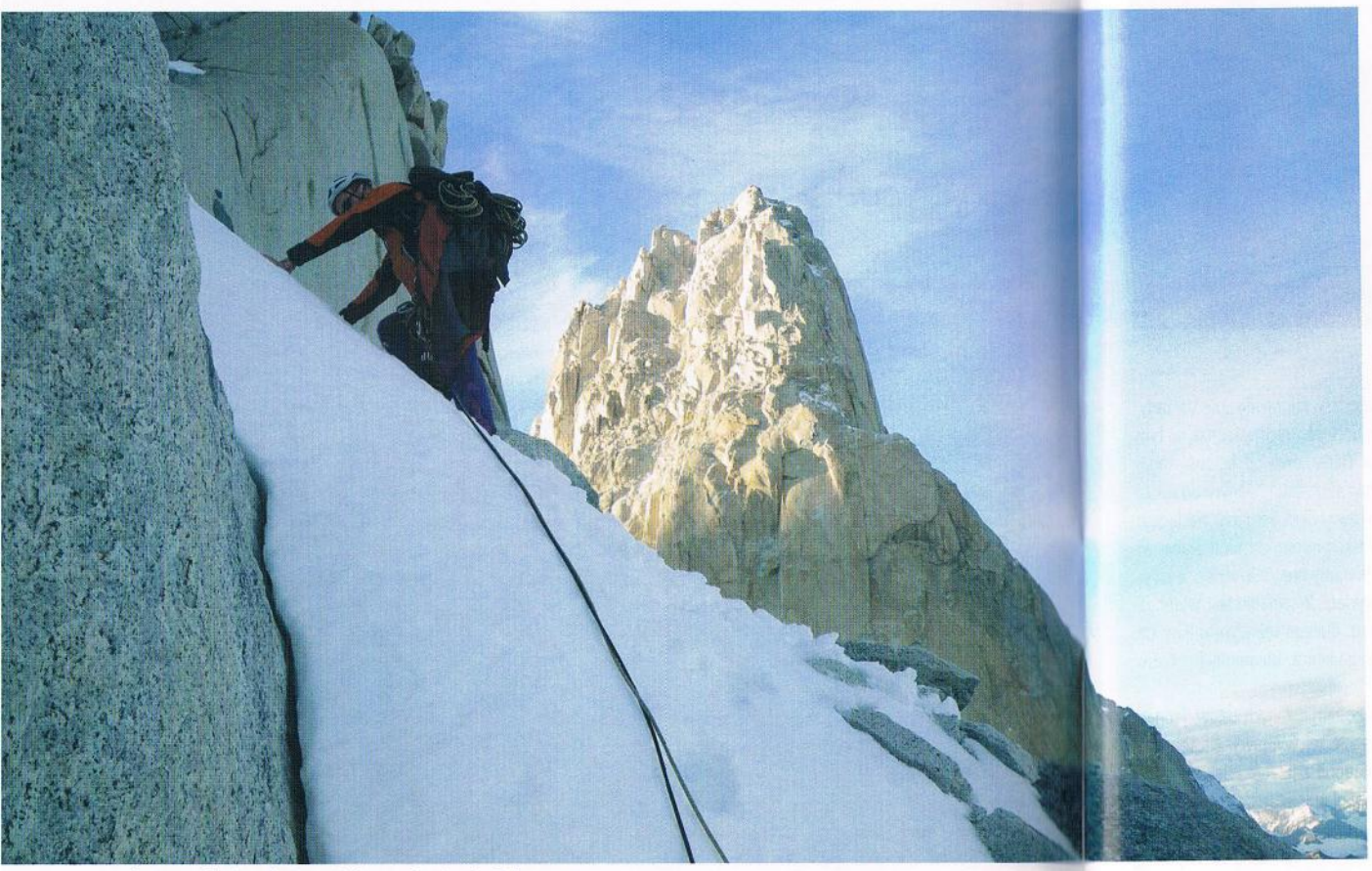

Górna część drogi *Buscaini*, w tle Aguja Poincenot.
Fot.: Robert Drynda.

Około godziny 22 słyszymy głosy powracających ze wspinaczki Bułgarów. Tak szybko? Zbyt szybko wrócili – myślimy. Argentynki im gratulują, ale okazuje się, że wycofali się 150 m poniżej wierzchołka. Obydwa zespoły zachowują się bardzo głośno. Gwar ich rozmów cichnie dopiero po 1 w nocy. W grocie jest ciasno, nie jesteśmy w stanie zmrużyć oka. Około godziny 3 jemy śniadanie i ruszamy pod ścianę. Pod ścianą szybko się szpeimy i pierwszy mikstowy wyciąg rozpoczynamy przy świetle wschodzącego słońca.

Początkowe 150 m to bardzo przyjemny wspin mikstowy, w normalnych warunkach byłoby to skalne V. Kolejny fragment przechodzimy z lotną. Teren jest łatwiejszy, z kilkoma szóstkowymi skalnymi progami. Pod headwallem zatrzymujemy się, żeby coś zjeść i nawodnić się przed wejściem w główne trudności drogi. Pogoda jest piękna, a widok okolicznych gór zapiera dech. Od tego momentu decydujemy się kontynuować wspinanie „na lekko". Pogoda ma się załamać w nocy, więc szybkość jest najważniejsza. W headwall wbijamy się z jednym plecakiem, zapasowymi kurtkami, butelkami z wodą, kuchenką i aparatami.

Wspinanie w zaśnieżonej części drogi powyżej headwallu w miękkich skałkowych butach zapowiada się emocjonująco. Tym razem zakładam skarpetki. Rok wcześniej odmroziłem stopy i zaliczyłem lot o współczynniku 2, wspinając się na Filarze Freney w butach skałkowych bez skarpetek. W szczelinach kluczowej części drogi zalega śnieg i lód, nie jesteśmy w stanie wspinać się klasycznie. Szczególnie w pamięci zapadł mi ciasny kominek wypełniony śniegiem i lodem. Przewspinałem go stylem robaczkowym, co zajęło mi wieki. Odmroziłem sobie przy tym małego palca u dłoni. Pełznąc w górę przeklinałem godziny spędzone na siłowni, ledwo zmieściłem się w kominku, chyba za bardzo przypakowałem. Ta część góry jest już zacieniona, więc bardzo marzniemy. Zmieniając się na prowadzeniu, przehaczamy przepiękne trzy wyciągi headwallu i kontynuujemy wspinanie klasycznie, ścigając zachodzące słońce. W pewnym momencie dostrzegamy zespół rosyjski na lodowcu u podstawy Aguja Poincenot. Wygląda to jak odprawa, cztery kropeczki ustawione w rzędzie i jedna przed nimi, prawdopodobnie kierownik. Zjechali właśnie z Aguja Poincenot po wytyczeniu pierwszej wielkościanowej rosyjskiej drogi w Ameryce Południowej.

Robi się coraz zimniej, tracimy czucie w stopach od stania na zaśnieżonych półkach. Jesteśmy odwodnieni, ale nie mamy czasu na topienie śniegu, a pogoda się pogarsza.

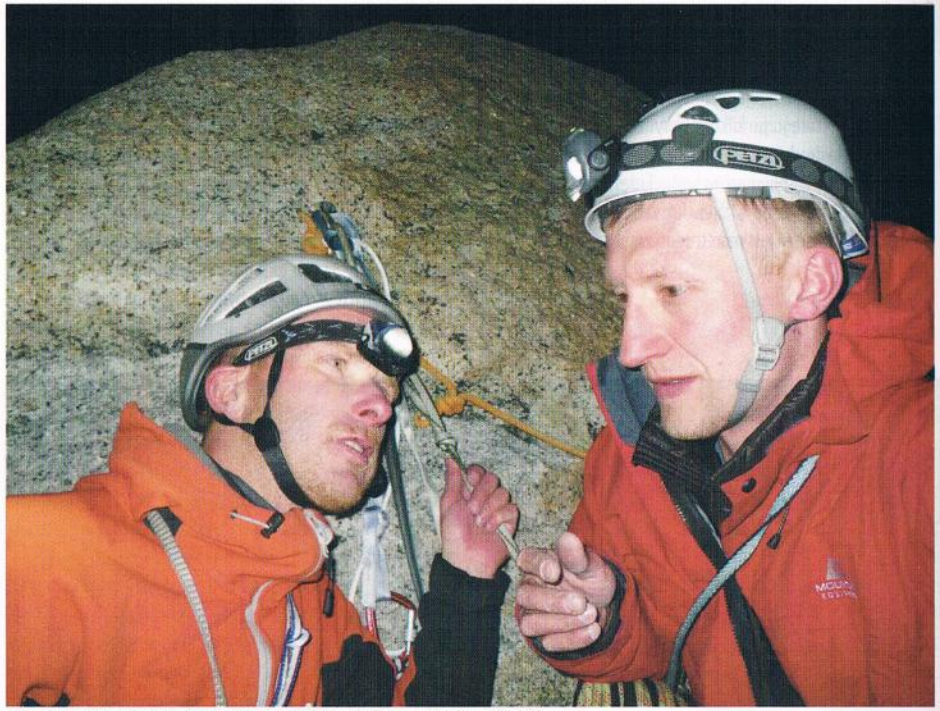

Na szczycie Aguja de Saint-Exupery. Fot.: Robert Drynda.

Do szczytu docieramy o północy. Robimy pamiątkowe zdjęcie i rozpoczynamy zjazdy. Do podstawy ściany docieramy nad ranem. Jesteśmy wykończeni, mamy omamy słuchowe, czujemy jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Pijemy wodę z okolicznych strumieni i to dodaje sił. Dwie nieprzespane noce dają się nam mocno we znaki. Regeneracja zajmuje nam kilka dni. W tym czasie w obozie poznajemy alpinistki z Południowej Korei, które jako pierwsze przedstawicielki swojego kraju dokonują wejścia na Fitz Roya. Dziewczyny zaliczyły dwa biwaki w ścianie Fitz Roya bez sprzętu biwakowego i po powrocie były w o wiele lepszej formie niż większość męskich zespołów po wspinaniu na tej górze. Trochę się tylko przy tym opaliły.

Kolejne okno pogodowe jest zbyt krótkie, żeby atakować Cerro Torre. Decydujemy się wspiąć zachodnią ścianą Aguja Mermoz. Znajomi wspinacze odradzają nam tę ścianę, twierdząc, że na podejściu jest trawers po płytach pokrytych verglassem. Lubimy wspin lodowy, postanawiamy więc sami sprawdzić, czy naprawdę „nie da rady". Udaje się nam pokonać ten odcinek, tracimy jednak na tym etapie bardzo dużo czasu. Dodatkowo od balansowania na przednich zębach raków w niezasznurowanych do końca butach (przyznaję, że zlekceważyłem verglass) naciągam sobie ścięgna Achillesa. Niski poziom chmur i słaba widoczność sprawiają, że wybieramy niewłaściwy system rys i prowadzimy trzy nowe wyciągi. Wspinanie jest wymagające, mamy zbyt mało czasu, dlatego też wycofujemy się. Nasz czas w Patagonii dobiega końca. Nie mamy już czasu na kolejne podejście.

Nie udało się nam osiągnąć zamierzonych celów, jednak wiele się nauczyliśmy w czasie tej wyprawy. Następnym razem przyjedziemy do Patagonii z jeszcze większą motywacją i kilkoma dodatkowymi planami B.

Dziękujemy Polskiemu Związkowi Alpinizmu za wsparcie finansowe naszej wyprawy.

SEZONOWE OBNIŻKI WYBRANYCH PRODUKTÓW DLA CZŁONKÓW KW WARSZAWA -25%

SKLEP HiMountain
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 2

(WEJŚCIE OD KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA)

HiMountain

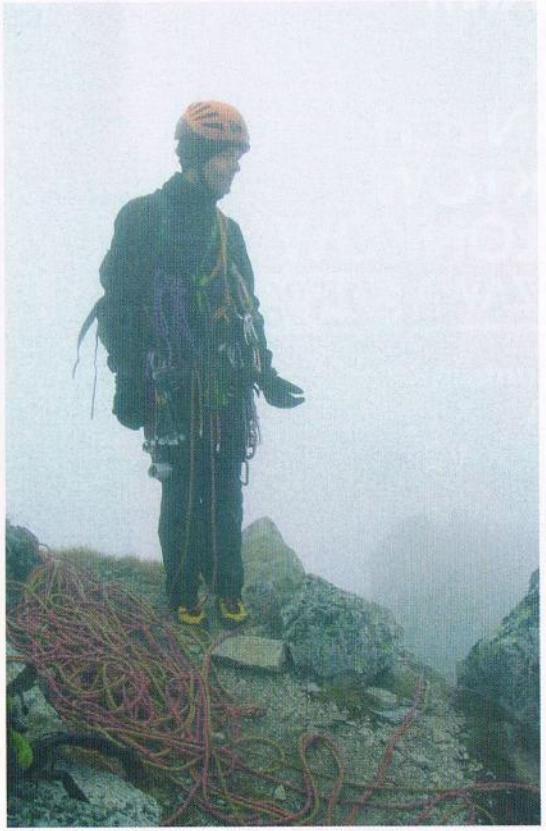

Autor po skończonej wspinaczce na szczycie Kieżmarskiego Szczytu.
Fot.: Agata Żak.

Mariusz Egert

WE CLIMBED 'CAUSE IT'S FUN

We climbed 'cause it's fun.

***And mainly it was fun.* […]**

And every now and then it went

wildly wrong. And then it wasn't.

Joe Simpson (*Touching The Void*)

Każdy wspinacz popełnia błędy, mnóstwo błędów. W pewnym sensie samo rozpoczęcie wspinania jest błędem fundamentalnym. Do tego dochodzi cała masa drobnych pomyłek, zaniedbań, złe oszacowanie, brak doświadczenia, przecenianie swoich umiejętności, brak odwagi, brawura, braki sprzętowe, zbytnie przeciążenie itp. Problem w tym, że większość takich błędów korygujemy na bieżąco i uchodzą nam na sucho. Dzieje się tak jednak tylko do pewnego momentu. Jest to moment, w którym dochodzi do kumulacji wszystkich popełnionych błędów i zaczyna się walka o życie.

Niedługo mija druga rocznica od wypadku, który przydarzył mi się podczas przejścia *Prawego Puškáša* na Kieżmarskim Szczycie. Wypadku, który był właśnie taką kumulacją drobnych błędów i który zakończył się dla mnie trwałym kalectwem. Wypadku, który zmienił przygodę w dramatyczną walkę o życie.

Chciałem jechać w Tatry, ponieważ po dość długiej przerwie czułem głód wspinania w górach. Wybór padł na południową ścianę Kieżmara, bo słońce, bo blisko, bo drogi ładne.

Już na podejściu pojawiają się pewne komplikacje – kolejka nie działa i musimy podchodzić na nogach, co praktycznie pozbawia nas możliwości wspinania tego dnia. Czas bezlitośnie ucieka.

Wbijamy się w *Prawego Puškáša* dość późno. Jest piękne jesienne słońce, cieplutko – droga zapowiada się obiecująco.

Im bardziej pniemy się w górę, tym bardziej pogoda się pogarsza, podnoszą się chmury, idzie mgła, zaczyna się

robić zimno. Zaczynam myśleć o wycofie, ale jakoś mi niezręcznie powiedzieć o tym na głos, bo pewnie partner pomyśli, że jestem cieniasem i nie będzie chciał tracić czasu na wiązanie się ze mną liną w przyszłości. Obecność dwóch zespołów w sąsiedztwie utwierdza nas w przekonaniu, że warto napierać – ostatecznie niedługo dobijemy do rampy, a tam już łatwo damy radę, nawet gdy się rozpada.

Stajemy na wierzchołku w całkowitej mgle i mamy tylko godzinę do zmroku – jest późno. Obserwuję szykujący się do zejścia węgierski zespół znajdujący się razem z nami na wierzchołku, zastanawiam się, czy nie iść za nimi, ale dość szybko znikają we mgle. Przede mną widzę wyraźną ścieżkę i szybko narzucam swoją wolę partnerowi, który tęsknie patrzy za węgierskim zespołem. O zerknięciu na kompas nawet nie pomyślałem – zresztą i tak go nie miałem. Dość szybko tracimy wysokość, ewidentna ścieżka dodaje animuszu, a myśli powoli wędrują w kierunku plecaków z jedzeniem, które czekają na nas w stacji kolejki. Ewidentna ścieżka tymczasem urywa się, doprowadzając nas do stromego rumowiska, wśród którego zaczynamy błądzić. Robi się ciemno. Zaczynam wykonywać nerwowe ruchy. Coś tu się nie zgadza, teren w którym jesteśmy, nie przypomina w niczym terenu, w którym powinniśmy być.

Podejmujemy decyzję o powrocie do wierzchołka. Niestety w mroku i mgle nie potrafimy odnaleźć drogi powrotnej. Kluczymy i błądzimy, a każda wybrana ścieżka szybko się urywa. We mgle światło czołówek jest bezużyteczne. Próbuję wspiąć się na małą turniczkę, aby zorientować się w naszym położeniu. W tym momencie słyszę dźwięk, jaki w horrorach towarzyszy otwieraniu płyn nagrobnych. Chwyt, którego się trzymałem, wyjechał pod ciężarem mojego ciała. Uderzyłem w glebę. Byłem na wysokości może pół metra, ale niekontrolowany upadek obrócił moje ciało i uderzyłem kolanem w wystający kamień. Słyszę tylko trzask, a zaraz potem czuję eksplozję bólu. Jestem pewien, że złamałem nogę. Ból po chwili nieco ustaje, a po wstępnych oględzinach noga nie wygląda jednak na złamaną. Próbuję na niej stanąć i w tym momencie kolano wygina się w bok – ból jest nie do zniesienia. Nie wiem jeszcze dokładnie, co mi się stało. Wiem jednak jedno: że sam na pewno nie dam rady zejść.

Siadamy w małej kolebce i dzwonimy po pomoc. Jestem wściekły, noga boli, robi się jeszcze zimniej i zaczyna padać deszcz. Czekamy. Nikogo nie słychać – ratownikom powiedzieliśmy, że jesteśmy gdzieś na zejściu z Kieżmara. Nie przypuszczaliśmy jednak, że znajdowaliśmy się wtedy w zupełnie innym miejscu, gdzieś w masywie Małego Kieżmarskiego Szczytu.

Czekamy, krzyczymy, niestety głos niknie we mgle i po paru chwilach nie mamy już sił, aby krzyczeć. Żałuję, że nie mamy gwizdka, który w naszym obecnym położeniu na pewno byłby bardziej skuteczny.

Czekamy do rana. Cisza, nikt nie nadchodzi. Zdaję sobie sprawę, że ratownicy mogą mieć problem ze zlokalizowaniem naszego położenia, dlatego decydujemy, że partner pójdzie z powrotem na wierzchołek Kieżmarskiego, aby szukać pomocy. Mgła się nieco podniosła, a świt jakoś dodaje optymizmu. Próbujemy dzwonić do ratowników, aby poinformować ich, że jeden z nas czeka na wierzchołku. Niestety telefony jeden po drugim odmawiają posłuszeństwa.

Nie wiemy, co się dzieje. Nie wiemy, czy w ogóle ktokolwiek nas szuka. Decyzja zapada błyskawicznie – ja nie ruszam się z miejsca, a partner zejdzie na lekko w dół, znajdzie pomoc i wróci do mnie z ratownikami po swoich śladach. Szybkie pożegnanie i zostaję sam. Czekam. Krzyczę – głos szybko niknie we mgle.

Zapada zmrok, czekam cały dzień i nic się nie dzieje. Nie wiem, czy po drodze w dół partnerowi nie przytrafiło się coś złego, nie wiem nawet, czy ktokolwiek nas szuka. Przede mną druga zimna noc w górach, do tego bolące kolano co chwila przypomina o sobie tępym łupaniem, a całe ciało wpada w dygot. Pogoda wcale mi nie pomaga – jest zimno i pada deszcz.

Nad ranem mgła się podnosi i widzę piękną panoramę. Widzę morze mgieł pod sobą oraz ogrom mojej pomyłki. Patrzę nie na tą dolinę, na którą powinienem patrzeć. Po kolejnej nocy spędzonej w górach jestem sztywny z zimna. Nikogo nie widać, nie ma też ratowników, ani partnera. Zaczynam się trochę martwić. Muszę coś zrobić, bo nie mam zamiaru czekać na własną śmierć. Muszę się jakoś ratować.

Biorę plecak i zaczynam czołgać się w dół rumowiska. Mozolny ruch zaczyna mnie rozgrzewać. Niestety stopień nachylenia rumowiska zaczyna się zwiększać i robi się stromo. Wpadam w lekką panikę.

Próbuję wstać, aby kuśtykając, spróbować schodzić. Robię wszystko, aby nie stanąć na kontuzjowanej nodze. W pewnej chwili jednak tracę równowagę i fikam potężnego kozła do przodu. Leżę, chyba nic się nie stało. Patrzę na prawą rękawiczkę. Dziura – podarłem sobie nową windstoperową rękawicę. „No pięknie" – myślę. Patrzę bliżej i dostrzegam krew. Ostrożnie zdejmuję rękawiczkę i ku swojemu przerażeniu widzę dłoń jak po uderzeniu tasakiem. Palec serdeczny ledwo trzyma się na skórze, a faker jest zamieniony w krwawą miazgę. W czasie potknięcia ostry kamień spadł mi na prawą dłoń.

Nie czuję bólu, krew ledwo kapie. Wyziębienie ciała po dwóch nocach w górach robi swoje.

Leżę, patrzę się na swoją dłoń jak zahipnotyzowany i zaczynam wpadać w coraz większą panikę.

Wiem, że z uszkodzonym kolanem i zmasakrowaną dłonią na pewno nie zejdę na dół. Zdaję sobie sprawę, że nie dam też rady wrócić do koleby, która dawała jakieś schronienie przed wiatrem i deszczem. Tymczasem zaczyna padać śnieg...

Po raz pierwszy zaczyna docierać do mnie, że mogę umrzeć, że może nikt mnie nie szuka, że partner o mnie zapomniał albo zginął gdzieś w zejściu. Trochę się rozklejam. Myślę, co będzie jak nie wrócę, co będzie czuła moja matka. Myślę o tym, że niedawno kupiłem nowe mieszkanie i nawet nie zdążyłem się nim nacieszyć. Poddaję się. Leżę, patrzę na rękę, czekam. Śnieg pada, powoli mnie przysypując.

Zaczynam histerycznie wołać o pomoc. Szybko się jednak męczę i poddaję rezygnacji.

Leżę długo na śniegu, nie wiem dokładnie, ile czasu mija. W pewnej chwili słyszę gwizd, potem kolejny. Szybko siadam, zaczynam wypatrywać i krzyczeć. Po paru chwilach widzę zarys człowieka.

Po 10 godzinach trafiam do szpitala w Popradzie. Mam zerwane dwa więzadła w kolanie oraz zmiażdżone dwa palce. Noga idzie w gips, jeden palec jest amputowany. Lekarz warunkowo zgadza się, aby zostawić drugi uszkodzony palec, który do tej pory nie wrócił do pełnej sprawności.

Po długim leczeniu, trzech operacjach, rehabilitacji i użeraniu się ze służbą zdrowia powoli wracam do zdrowia. Szesnaście miesięcy po wypadku prowadzę swoją pierwszą skalną drogę o trudnościach V. 22 miesiące po wypadku udaje mi się pokonać VI.2+. Czasami jednak zdarza mi się spaść z VI, kiedy chwyty na prawą, kontuzjowaną dłoń są wyjątkowo wymagające. W góry jeszcze nie wróciłem.

Za akcję ratunkową dostałem fakturę na 33.000 euro, której część w wysokości 22.000 euro pokryło ubezpieczenie. Pozostałą część faktury mam wciąż nieuregulowaną – niedawno dostałem sądowe wezwanie do zapłaty. Przede mną proces.

Maciek Kubera „Pastor”

JAK ZDOBYWAŁEM KORONĘ ZIEMI. CYFRA

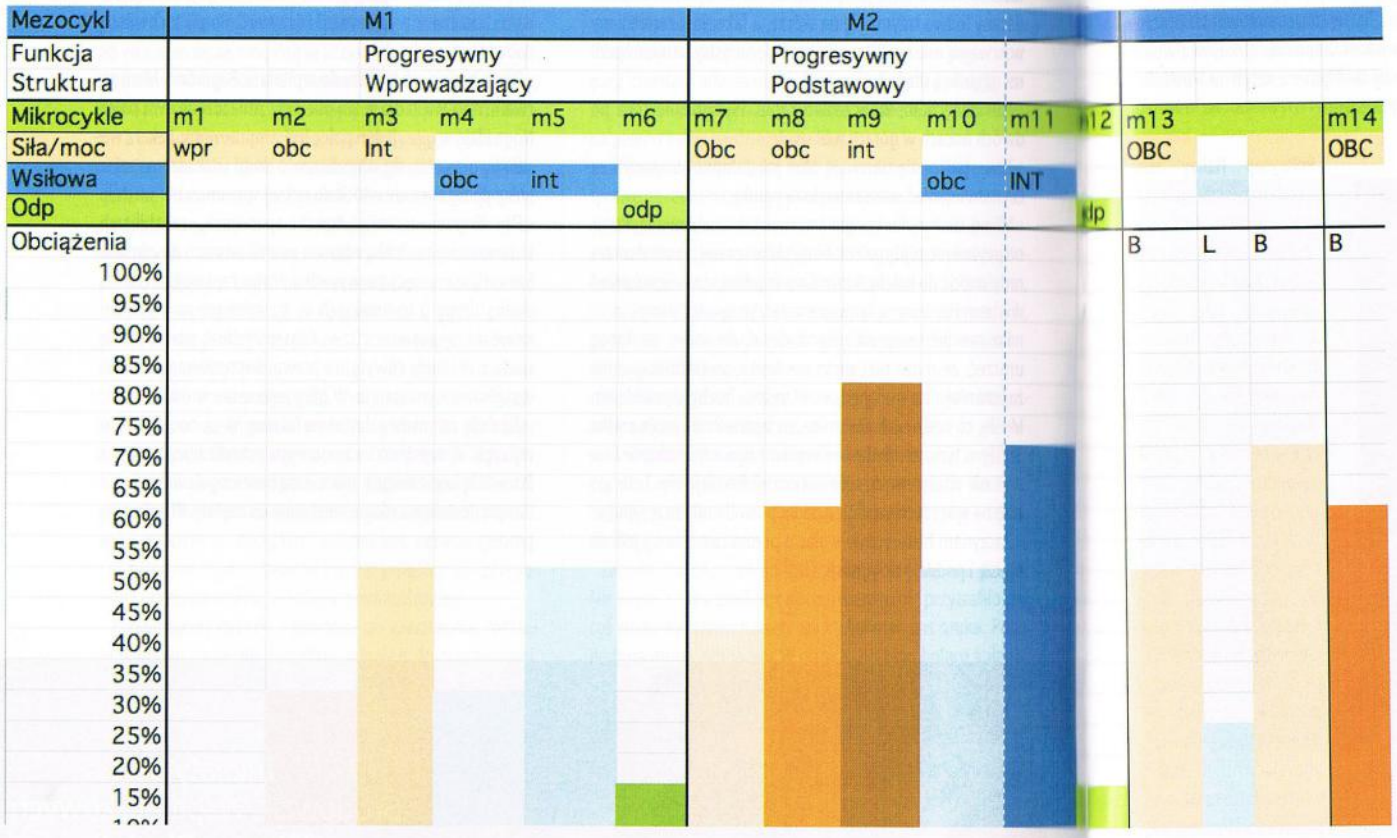

Dlaczego zatem dziś nie ruszasz do Mekki?
– spytał młody człowiek.
– Bo to Mekka trzyma mnie przy życiu. To ona dodaje mi sił [...]. Obawiam się, że kiedy moje marzenie się ziści, nie będę miał w życiu żadnego innego celu.

Alchemik

Kilka lat temu odwiesiłem młotek. Solidny, z drewnianym trzonkiem i ciężkim obuchem. Jego miejsce zajęła Cyfra. Obsesyjne dążenie do niej przekształciło moje życie w ciąg makrocykli, mezocykli, mikrocykli, wykresów, notatek, obciążeń, diet żywieniowych, nowych mebli w mieszkaniu (beastmaker, drąg, ścianka systemowa, waga łazienkowa) oraz zmusiło do rezygnacji z pączków, cukru, masła, mcdonalda i pszennych bułeczek. Bloco i Obo przeplatały się w różnych konfiguracjach, zależnie od mikrocyklu. Kampus, bachar, własne żelazo i dylemat: wziąć monohydrat czy jeszcze nie? Niekończące się dyskusje z kolegami instruktorami na temat metod i rozpisek, dywagacje, czy piramida bułgarska jest lepsza od bachara, który interwał Tabaty jest lepszy przy ładowaniu z kulkami Adasia: 5-2-5 czy 7-3-7, ile zarzucić, ile powtórzeń, wypełniały dłużące się interwały restowe między kolejnymi seriami. W pewnym momencie człowiek przestaje rozstawać się z traumeelem i plastrami do palców.

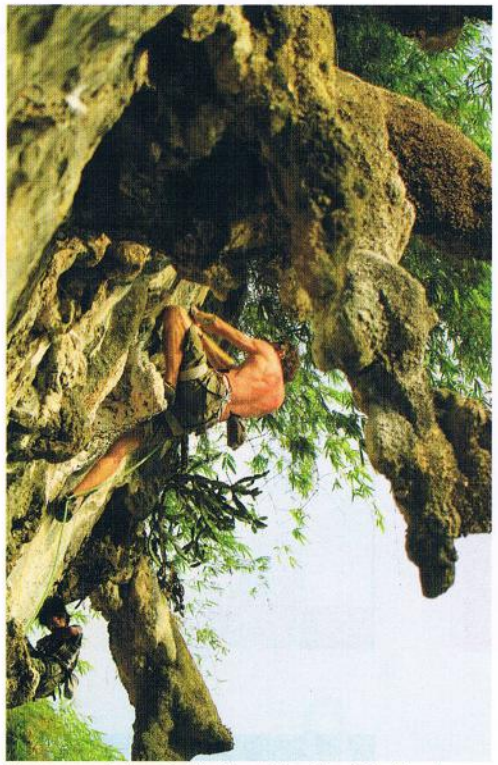

Pastor na *Babes in Thailand* 7a, Ton Sai Beach. Fot.: Ewa Kubera.

Od czasu do czasu reżim treningowy przerywany był wyjazdem w skały w celu pociśnięcia cyfry. Tam również czas wypełniało staranne planowanie dni wspinaczkowych i restowych. 1-1-0-1-1-0-1 to nie kod zero-jedynkowy, to numeryczny zapis mikrocyklu, gdzie „1" to wspin, „0" to odpoczynek. Inny model to 111-0-111, bardziej męczący i wymagający starannej selekcji dróg, tak aby dni intensywnego wysiłku były przeplatane wysiłkiem objętościowym. Do tego należy wziąć pod uwagę takie czynniki jak deszcz/słońce/cień, a ostatnio również przypływy/odpływy. Ostatni czynnik dotyczy wspinu w Tajlandii. Piękne plaże, malowniczo otoczone skałami, wyśmienita jakość wapienia, turkusowa woda nie pozwalały odrzeć dróg skalnych z estetyzmu i zredukować ich jedynie do toru przeszkód.

Półwysep Railay jest oddzielony od lądu lasem i górami, dopłynąć można tam jedynie łodzią typu longtail. Jak zbudować taką łódź? Otóż bierzemy drewnianą krypę, montujemy na niej silnik od ciężarówki Bedford, do silnika zaś czterometrowy wał zakończony śrubą. Taka samodziełka szturmuje największe fale, pokonując odcinek z Ao-Nang do plaży Tonsai. Aha, i trzeba mieć ze sobą czołówkę, bo łodzie nie są oświetlone i prawdopodobne jest zderzenie dwóch takich jednostek pływających. Kapitanowie tych łodzi czekają na plażach na klientów, nie wychodząc z haszyszowego cugu, leci reggae, leci czas.

Już po kilku dniach zrozumiałem, że ani ja nie rozumiem tubylczego angielskiego, ani oni mojego. Kiedy zamawiam changa, kelner odpowiada: ssan?, ja: czang, on: ssang? Ja, że czang, on kiwa głową i przynosi singha. W starbucksie, gdzie już stały ubrane choinki i leciały kolędy, zamawiam zimne macchiato. Mówię: cold, sprzedawca powtarza: tzkho, ja: cold, on: zghol, ja: cold, no i dostaję gorącą kawkę, hot oczywiście. Wymowa lokalsów jest wybitnie spanglishowa. Zamiast „excuse me", słyszysz „kuśmi". Kiedy kelnerka podchodzi i pyta „have you pinis?", to nie pyta, czy masz penisa, lecz czy skończyłeś konsumować – tłumacząc to na nasz angielski „have you finish?". Zaprzestałem więc używania jakichkolwiek form gramatycznych, konstrukcji, słowa „would", czasów, słówek posiłkowych, okresów warunkowych i przeszedłem na spanglish. Z lubością stosowałem wymyślane przeze mnie nowe konstrukcje gramatyczne typu: no have money, no have time, I from Polanda, cofiiiii ajs, boat to tonsaaay, no buy shirtaaa, itd. Następnym krokiem było wplatanie do konstrukcji spanglishowych polskich słów. To już wyższa szkoła jazdy, polskie słowa należy wymawiać wolno i wyraźnie. Na przykład: Boss (do taksówkarzy, boatmanów, sprzedawców, kelnerów zwracamy się per Boss), JA go boat DO Tonsay. Albo: ZA DROGO, very expensive!!! Można gestykulować. Działało wyśmienicie. Będąc w raju, należało tradycyjnie przystąpić do obalania mitów. Na pierwszy ogień poszły rajskie wyspy: Phi Phi (kręcono tam „Niebiańską plażę" z DiCaprio) oraz Similany ze słynną plażą kaczora Donalda. Po długiej i skomplikowanej logistycznie podróży minivanem wsiedliśmy do przepełnionej Chińczykami, trójsilnikowej motorówki, która dowiozła nas do ukrytej w lagunie rajskiej plaży. Żałując, że nie zabraliśmy hełmofonów (wrażenia akustyczne można porównać jedynie do przysłuchiwania się startowi promu kosmicznego z odległości stu metrów), wysiedliśmy z Kjulikiem na mikroplażyczce, przez którą przewalały się tłumy

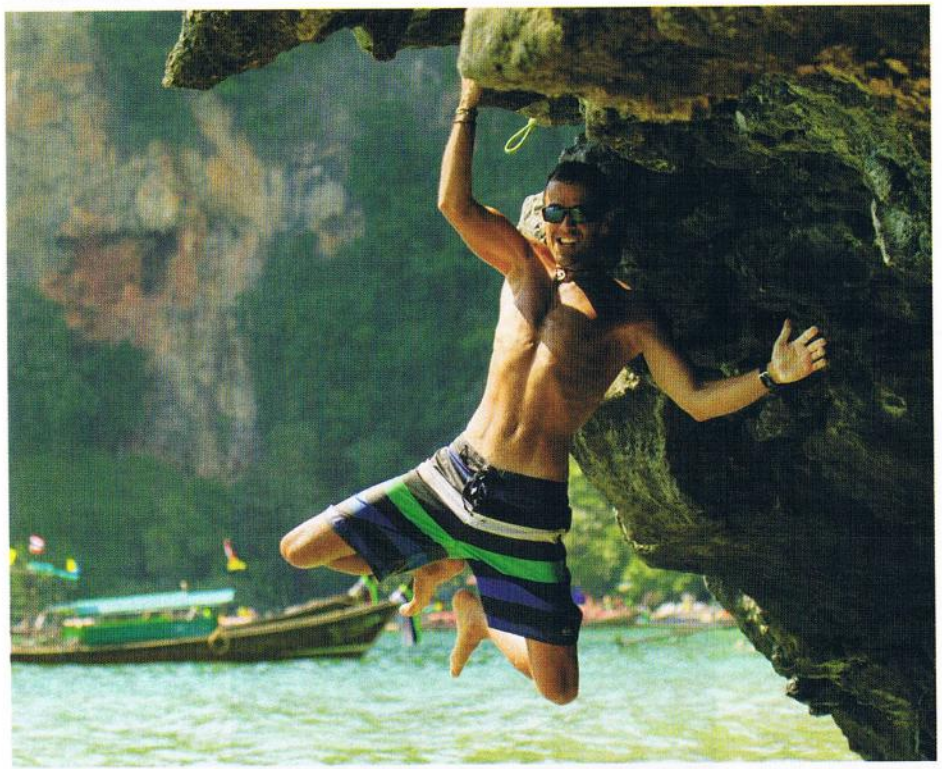

Piotruś zadaje na Beach Wall – Ton Sai Beach. Fot.: Ewa Kubera.

spragnionych raju turystów. Czułem się trochę jakbym okrążał święty kamień w Mekce albo wychodził z kościoła po rezurekcjach. Krok po kroku dobrnęliśmy w końcu do kawałka niezajętego piasku. Przeważały tu dwie nacje. Przedstawicielki pierwszej z lubością fotografowały się na plaży, robiąc sobie dwa zdjęcia: pierwsze z tabliczką Phi Phi Island, Thailand, i drugie, pod plażowym prysznicem, gdzie obejmując oburącz włosy i odchylając głowę do tyłu, robiły minę jakby dostawały orgazmu. Można to obejrzeć w reklamie szamponu Timotei. Mężczyźni nosili za krótkie gacie peruwiańskich skoczków – gacie te królują na plażach Władysławowa i Świnoujścia, przeważnie w kolorze czarnym – z gaci wylewały im się pokaźne bebzole, dawały po oczach śnieżnobiałe koszule z podwiniętymi rękawami, odsłaniające obrzydliwie złote zegarki. Na nogach klapki z napisem Armani, a w rękach damskie torebki i koszyki plażowe. „Prigłaszajem w board” usłyszałem rosyjski spanglish i już wiedziałem, z kim mamy do czynienia. Druga grupa to delegaci na zjazd i stachanowcy z fabryk w Dolinie Rzeki Perłowej. Tkaczki i szwaczki znad Jangcy, wytwórcy myszek komputerowych i tandetnych zabawek, spawacze statków z Szanghaju – ludzie w niczym nieprzypominający Mistrza Pai Meia, operatorzy dźwigów stoczniowych na zasłużonym odpoczynku. Kobiety w kapeluszach, dzierżące w dłoni aparaciki fotograficzne (wyprodukowane przez nie tydzień temu na taśmie) wielkości pudełka zapałek, fotografujące co się da, przewalały się przez plażę w zdyscyplinowanych kolumnach, jakby uczestniczyły w Wielkim Marszu Ukochanego Przywódcy. Raj utracony.

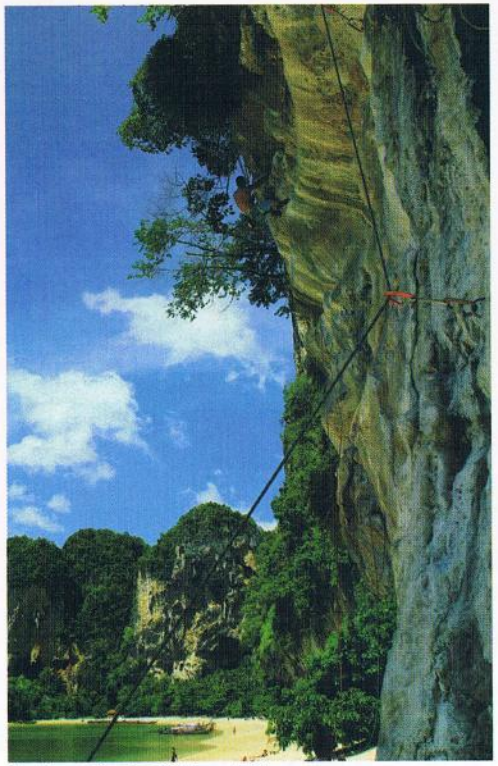

Wspin na Dum's Kitchen Wall.
Fot.: Ewa Kubera.

Ale, ale – miałem coś o wspinaniu napisać. Cóż, w życiu się tyle nie nabaniowałem co w Tajlandii – no może na Bloco więcej. Mali ludzie mają tam ciężki żywot, zwłaszcza na trudnościach od 7a wzwyż. Musi się zginać, nie ma to tamto. Godziny wywiszone na beastmakerze, monosy na kampusie i bachar zapewniły niezbędne minimum mocy i siły, aby przemieszczać się w lesie przewieszonych stalaktytów. Jedzenie jest wymarzone dla łojantów: ryby, krewetki, owoce. Waga spada, moc rośnie – układ idealny. Wspinać należy się rano i późnym popołudniem ze względu na wysokie temperatury – lub, jak co poniektórzy, np. ja i Piotruś, w południe, bo szkoda czasu. Jak zwykle zabrakło jednego dnia, żeby pocisnąć to czy tamto – ale zawsze tak jest, że brakuje jednego dnia. Wiadomo, że w skałach traci się formę, dlatego po powrocie pierwsze ruchy na panelu są zawsze niepewne. Towarzyszą temu przekleństwa, utyskiwania – co za zmuła, ale mam zjazd, ziom jaka muka – oraz, często, przywoływanie Trójcy Świętej. Zaczynamy zatem szybko kolejny makrocykl – zwykle siła/moc, żeby dobić do poprzedniej formy, której miarą będą: ilość żelaza na pasie podczas ładunku na bacharze, ilość monosów na kampusie w seriach, zrobienie malinowych i prawych czerwonych w dachu cztery razy pod rząd oraz pociśnięcie dwudziestoruchowego obwodu z żelazem na „45”. Kiedy tego dokonamy, możemy odetchnąć

z ulgą, bo zaległości zostały nadrobione i możemy zaczynać cykle progresowe. Prowadzi to niezmiennie do wzrostu formy i ataku na nową cyfrę w następnym sezonie. To też jest zdobywanie korony. Bo nieważne, czy wejdziesz na siedem najwyższych szczytów kontynentów, zdobędziesz wszystkie ośmiotysięczniki albo wszystkie czterotysięczniki w Alpach, wyłoisz wszystkie drogi na El Capie, przejdziesz wszystkie 8a w Siuranie czy wykosisz wszystkie drogi w sektorze El Camino. To twoja Korona, twój Everest. Sam ją sobie wybierasz.

Zadaję sobie pytanie, czy tak naprawdę chcę zdobywać Koronę Ziemi? Kolekcjonować szczyty, ściany, drogi czy trudności? Odpowiedź brzmi: tak, chcę ją zdobywać, ale nie chcę jej zdobyć. Bo co miałbym robić dalej? Jaki cel wyznaczyć? Co robić, kiedy zrealizuje się już wszystko? Spełni się wszystkie marzenia, wszędzie wejdzie, wespnie na każdy szczyt i pokona wszystkie trudności? Nie zostanie już nic. Dlatego liczy się tu i teraz, to co robimy w chwili obecnej, nasze dążenie, nasza droga do założonego celu, a nie jego osiągnięcie. Jurek Kukuczka powiedział kiedyś, że wejściu na szczyt nie towarzyszą spazmy radości. Wprost przeciwnie, pojawia się uczucie pustki i świadomość, że coś się skończyło. Dlatego wybieramy kolejny cel, kolejne zadanie do zrealizowania, aby znaleźć się znów na znajomych torach dążenia, tam, gdzie czujemy się pewnie i bezpiecznie – w drodze. ■

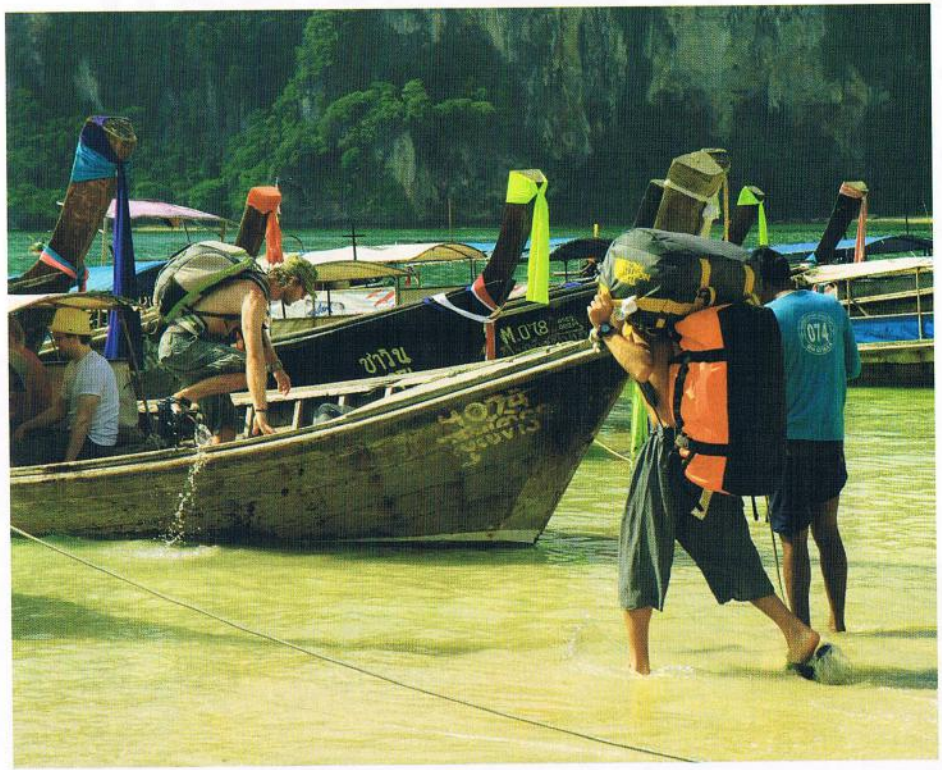

Ewakuacja z Railay West Beach.
Fot.: Ewa Kubera.

WSPINANIE Z DZIEĆMI

Agnieszka Kochaniak
i Rafał Kochaniak

NIE KUPUJCIE BILETÓW DO EL CHORRO

Zabawki. Fot.: Agnieszka Kochaniak.

Jest początek zimy, koniec roku 2005. W szufladzie leżą kupione parę miesięcy wcześniej bilety do Malagi. Wpatruję się właśnie w dwie kreski na teście ciążowym. O rany. Co teraz? Lecieć? Nie lecieć?

Rodzina szaleje, dmucha i chucha, zasypuje dobrymi radami w kwestii tego co wolno, a czego nie wolno w ciąży, głównie – czego nie wolno. Decyzja w końcu podjęta: lecimy. Ale stawiam warunki. Po pierwsze, żadnego spania po krzakach i namiotowania, tylko kwatera. Po drugie, żadnego odpadania. Warunek drugi jest łatwy do spełnienia – wystarczy puszczać męża na szóstki, gorzej z pierwszym. Nie wiedzieć czemu, lecąc do Hiszpanii nie zrobiliśmy nigdzie rezerwacji noclegu. Tuż przed sylwestrem w El Chorro nie wciśnie się nawet szpilki. A my nie wzięliśmy ani karimat, ani namiotu. Na szczęście mój mąż ma dar przekonywania i obsługa kampingu pożycza nam i jedno, i drugie.

Minęło półtora roku. W głowie robię wielkie plany: będę biegać, ćwiczyć na ściance, chudnąć. A potem: El Chorro przybywamy! Tym razem pokażemy na co nas stać! Umawiamy się ze znajomymi na wspólny wyjazd, zaklepujemy bilety i... wpatruję się w znajomy widok na teście ciążowym... Cóż – powtórka z rozrywki. Jest tym weselej, że znajoma również spodziewa się dziecka.

Na wszelki wypadek postanawiamy nie kupować więcej biletów w tamtym kierunku.

Upłynęło trochę czasu, zbliża się okrągła rocznica ślubu. Pewnego pięknego poranka mój mąż budzi mnie okrzykiem, że właśnie nabył w promocji bilety do Marsylii: na rocznicę polecimy do cudownych Les Calanques. Tylko mam teraz, broń Boże, w ciążę nie zachodzić. Robię dobrą minę do złej gry, a parę godzin później test ciążowy. Tak, tak – to brzmi niewiarygodnie – ale wygląda na to, że nasza rodzina znów się powiększy. Tym razem ciąża jest na tyle zaawansowana, że rezygnuję ze wspinania na rzecz książki, spacerów i robienia zdjęć. Ale ja tu jeszcze kiedyś wrócę!

Rzędki przed, po, forever

– Ooo, jak się urodzi dziecko, to już nic nie będziecie mogli robić! Stary, wspinaj się póki możesz, bo później to koniec!

– słyszeliście od kogoś podobne teksty? A może sami obawiacie się, że to prawda? Niekoniecznie. Urodzenie dziecka zmienia wiele – ale to nie znaczy, że trzeba siedzieć w domu do ukończenia przez potomka lat 18.

Na pierwszy raz wybraliśmy nieśmiertelne Rzędki – wyślizg numer jeden Jury Północnej. Najstarszy syn miał sześć tygodni, gdy zaliczył pierwszą podróż w swoim życiu.

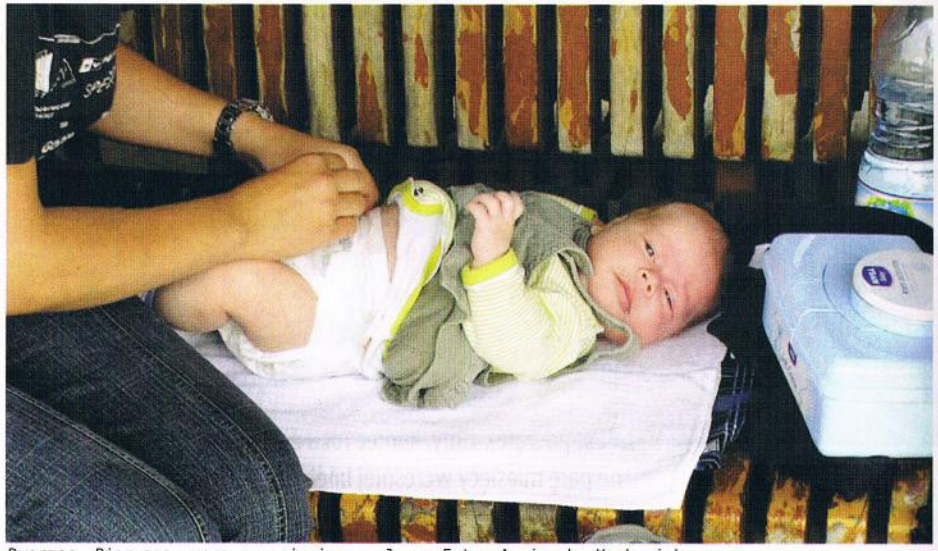

Dworzec. Pierwsza wyprawa pociągiem na Jurę. Fot.: Agnieszka Kochaniak.

Warto nadmienić, że nie byliśmy wtedy jeszcze zmotoryzowani: znajomi zabrali część naszych bagaży i gondolkę do wózka autem, a my wpakowaliśmy się do pociągu z fotelikiem samochodowym. W Zawierciu zostaliśmy przejęci i dowiezieni do Rzędek. Ekstremalnie? Niekoniecznie. Spaliśmy na kwaterze. Najważniejsze źródło pokarmu, czyli mama, było cały czas obok. Wózek w nocy robił za łóżeczko; ubranka na zmianę były, pieluchy były. Jakby co – zawsze można coś dokupić w sklepie. Dla takiego bobasa nie ma właściwie znaczenia, co się dzieje naokoło. Byleby mógł spać i regularnie jeść. Skałkowe wyczyny powracającej do wspinania mamy oraz taty mało go w sumie obchodzą. A to znaczy, że można w spokoju oddawać się łojeniu.

Zresztą nie tylko my przyjeżdżamy do Rzędkowic z małymi dziećmi. Zdarzały się wyjazdy grupowe oraz przypadkowe spotkania ze znajomymi, którzy również się w międzyczasie rozpączkowali. Jak się okazuje to miejsce ma wiele zalet w sferze logistyki: niezbyt długi dojazd, dobra infrastruktura noclegowa, łatwy dostęp do skał z wózkiem, itd. Dla starszaków i ich rodziców idealna jest Patelnia – dużo miejsca do biegania, ale też możliwość schowania się w cieniu i, awaryjnie, od deszczu.

Paklenica baby-speed-climbing

Tym razem postanowiliśmy zorganizować dalszy wyjazd samochodem z dzieckiem. Tak dla bezpieczeństwa, żeby uniknąć fatum biletów lotniczych i kinder-niespodzianek. Kolejny raz jedziemy z naszymi sprawdzonymi, dobrymi, dzieciatymi znajomymi. Obie nasze pary zabierają po najmłodszym egzemplarzu, czyli około sześciomiesięcznym dziecku. W tym wieku dzieci jeszcze dużo śpią (po kilka godzin w ciągu) i budzą się dopiero jak są głodne. A przy tym są mało mobilne. Problemu więc nadal nie ma.

Paklenica dla zmotoryzowanych wózkarzy jest niemal idealna: parking prawie pod skałami, a dalej kamienna droga, po której wózki z maluchami spokojnie toczą się prosto pod skalne ściany. No ale nie przyjeżdża się tu na krótkie drogi – naszym celem są wielowyciągówki. Taktyka jest więc prosta: jedna para się szpei i stoi w blokach, potem następuje karmienie do pełna i usypianie malucha i gdy tylko mały odpływa w krainę snów, rodzice prują pod ścianę, gdzie robią swoje, czyli w praktyce drogę na góra sześć wyciągów. Potem szybki powrót do obozowiska, żeby zdążyć na następną porę karmienia wyjącego już z głodu maleństwa. Nie ma miejsca na ociąganie się i delektowanie widokami,

Przedszkole na Patelni. Fot.: Agnieszka Kochaniak.

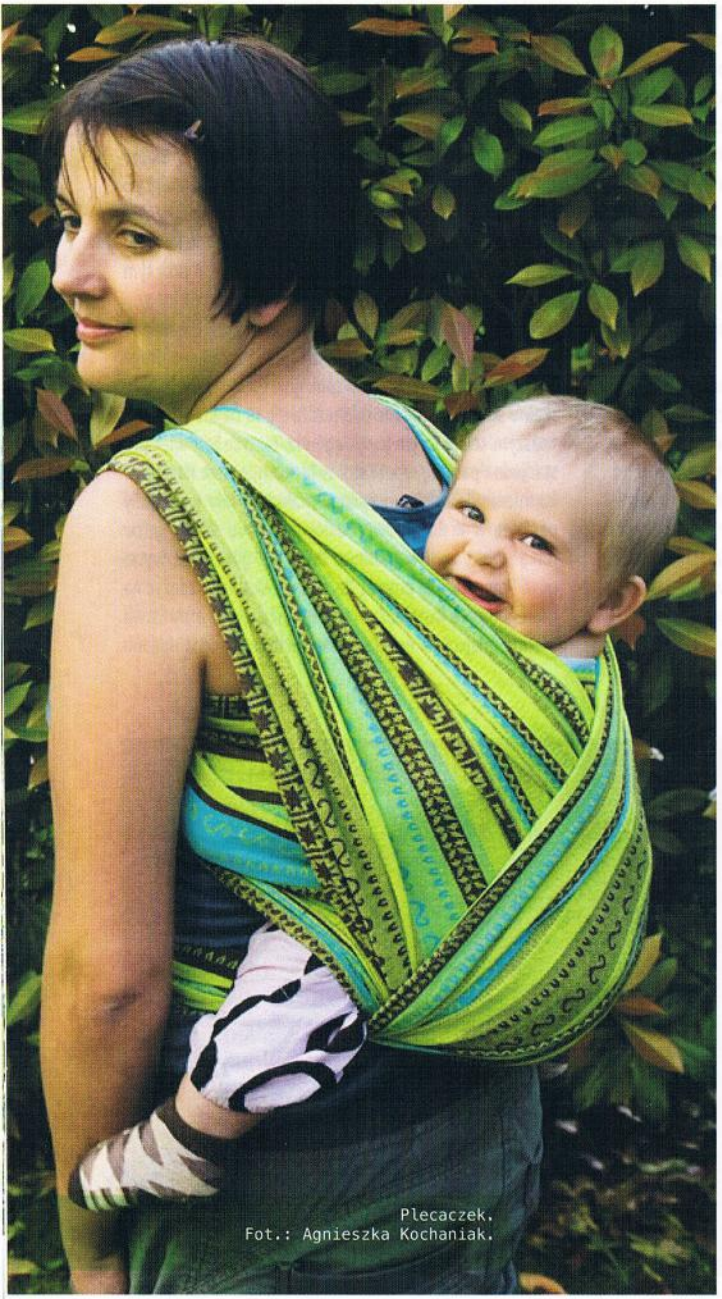

Plecaczek.
Fot.: Agnieszka Kochaniak.

liczy się tylko czas door-to-door. W tym samym czasie druga para przy odrobinie szczęścia i synchronizacji snu obydwojga dzieci może próbować załoić to i owo w sektorze jednowyciągówek – Klanci.

Franken, Ferentillo i inne westowe miejscówki

Gdybyśmy mieli wskazać jedno, najlepsze miejsce do wspinania z małymi dziećmi, to mielibyśmy kłopot. W sumie skały to nie jest idealny plac zabaw. Dużo jest tam niebezpieczeństw, wielu rzeczy nie wolno robić, jest stromo, itd. Które więc rejony są godne polecenia dla rodziców wybierających się na wspin z dziećmi?

To zależy od miliona czynników: w jakim wieku macie pociechę, jaki ma ona temperament, jak szybko się czymś nudzi, jak dobrze znosi zmiany warunków, niepogodę. Patrząc z perspektywy kilku wyjazdów, ważny dla nas jest socjal w miejscu spania – po kilku godzinach spędzonych w skałach na uwięzi trzeba dać dziecku trochę wolności i możliwości wybiegania się. Camping „Eichler" w Obertrubach sprawdził się pod tym względem idealnie. Jest plac zabaw, trawka, strumyk i dużo wujków i cioć, którzy zawsze rzucą okiem, gdyby coś się działo.

Drugi istotny czynnik decydujący o atrakcyjności rejonu to podejście pod ściany. Ekwilibrystyka na urwistej ścieżce z dzieckiem na plecach i szukanie ćwierć metra kwadratowego zacienionego i osłoniętego od spadających kamieni miejsca pod biwak, tylko dlatego, że właśnie tam startuje wymarzona droga, to średni pomysł. Kończy się to z reguły demotywującym narzekaniem partnerki i płaczem dziecka, przy których piękna droga zamienia się w złe wspomnienie. Lepiej od razu nastawić się na lajtowe wspinanie, niekoniecznie w najfantastyczniejszych sektorach, i możliwość jego przerwania w każdej chwili. Ważne jednak, że da się coś robić! Idealne miejsce w takim przypadku to skała wyrastająca z parkingu, a tak na razie zdarzyło nam się wspinać tylko w Ferentillo, we Włoszech.

Skrócona instrukcja obsługi

Tata: oszpejenie się na El Capa to pikuś w porównaniu ze spakowaniem się na wyjazd wspinaczkowy z dzieckiem. W krytycznym momencie pod ręką musi być wszystko: jedzenie, pieluszki, kocyk, kremik, dżemik, zabaweczki, śpioszki i bluzeczki. Brak dowolnego elementu może się skończyć płaczem lub awanturą i zakończeniem radosnej działalności skałkowej. Bierzemy więc jeden niewielki plecaczek szpeju, który może się i tak nie przydać oraz wór transportowy z niezbędnikiem dziecięcym.

Mama: Co nam mówi nasze doświadczenie wyjazdowe, jeśli chodzi o zabieranie ubrań dla dzieci? Że z reguły zabieramy dla dzieciaków za dużo rzeczy. Ale jeśli ograniczymy jakąś część garderoby, pamiętając, że poprzednio w ogóle się nie przydawała – teraz okaże się, że dziecko w ciągu jednego dnia doprowadzi cztery ko-

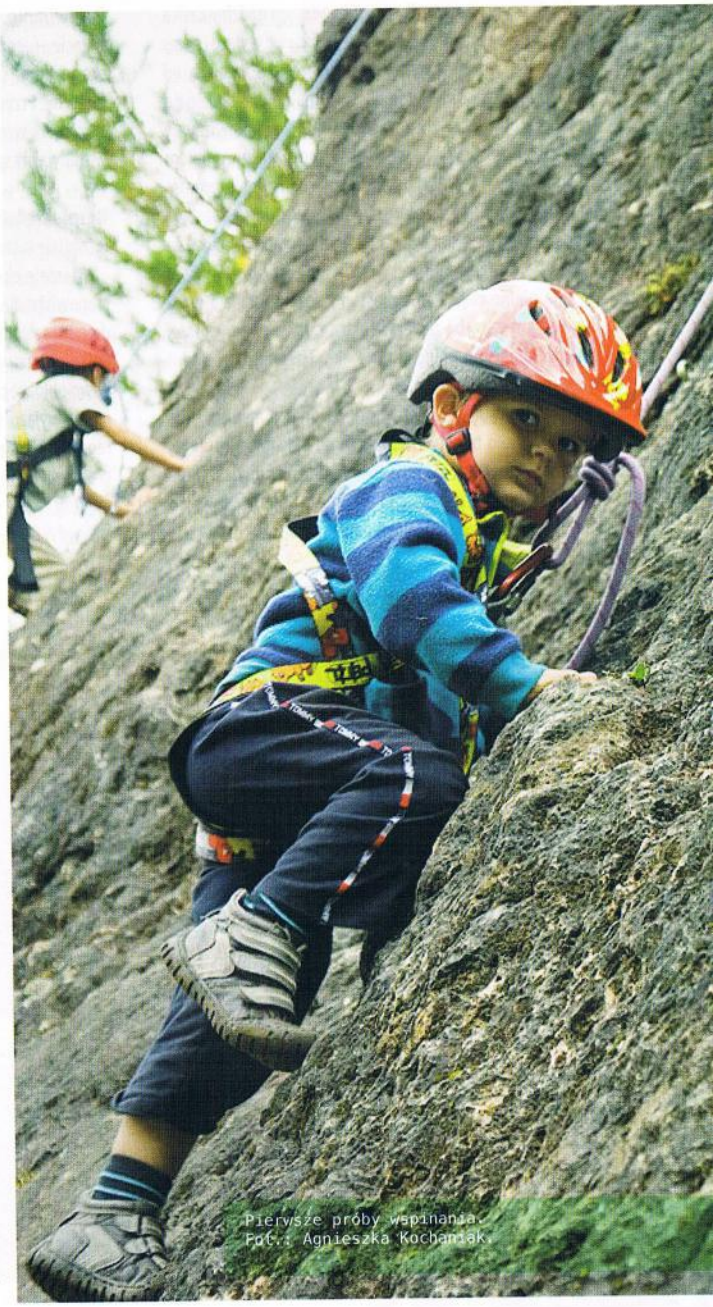

Pierwsze próby wspinania.
Fot.: Agnieszka Kochaniak.

szulki do stanu nieużywalności. Albo w ciągu godziny zasika wszystkie pary spodni wzięte na weekendowy wyjazd i przez resztę dnia będzie pomykać po skałkach w spodniach od piżamy. Jeśli czegoś zapomnieliśmy – na pewno będzie potrzebne. Moja rada: wyluzować. I nauczyć się improwizować.

Tata: Logistyka. Wyprawa w skałki to potężny problem organizacyjny. Kiedy jechać, żeby dziecko najlepiej zniosło podróż? I np. kiedy iść się wspinać, żeby dziecko nie było zbyt absorbujące? Na obydwa pytania odpowiedzią jest, że trzeba się wstrzelić w okresy kiedy mały śpi. A że najwięcej śpią niemowlaki, to najprościej jeździć właśnie z nimi! Co więcej, nie trzeba zabierać ekstra zabawek – wystarczy byle dzwoniący karabinek i tasiemka. Trzeba zabrać dodatkowo również mamę i wózek.

Mama: Na drugim wyjeździe do El Chorro mieliśmy dla dziecka nosidło turystyczne. Potem odkryliśmy chusty: zajmują mniej miejsca, można w nie motać niemowlaki (i nie tylko), wygodniej się je nosi. Chusta może potem służyć jako kocyk, osłona przed słońcem, a nawet hamak.

Przewijanie. Do perfekcji opanowaliśmy tzw. pit-stopy w locie – jedna osoba trzyma przed sobą dziecko pod pachami, druga szybko ściąga dolne części garderoby i zmienia pieluchę. Przydatna technika, zwłaszcza w miejscach, gdzie z różnych względów nie da się tych czynności wykonać w tradycyjny sposób, na przewijaku czy czymś podobnym.

Bezpieczeństwo. To rzecz względna. Praktyczne porady (osobiście testowane):

W terenie eksponowanym, pod skałami, (np. na Franken) stanowisko dla wózka musi być pancerne i stabilne: solidne drzewo, tasiemki, karabinek centralny + drugi punkt. Jeśli kółka wózka wystają nad przepaść, to tylne trzeba dodatkowo obłożyć ciężkimi kamieniami, żeby się nie obsuwały.

Jeśli wyjazd zaliczamy z dzieckiem już chodzącym, którego nie da się przez cały dzień usidlić w wózku, można próbować z lonżami/uprzężami przypinanymi do naszej uprzęży, żeby uchronić dziecko przed zrobieniem sobie krzywdy. Czemu próbować? Bo nie każde dziecko zaakceptuje takie ograniczenie swojej wolności: nasz najstarszy syn bez problemu zaakceptował taki system, najmłodszy zrobił dziką awanturę i skończyło się na tym, że trzeba było z nim zejść spod skał do miasteczka.

Układ sił. Chemia wspinaczkowo-dziecięca opisuje układy stabilne, gdzie na jedno dziecko przypada jedna osoba dorosła opiekująca się nim i niewspinająca w danej chwili. Dopiero nadwyżki wspinaczy ponad tę liczbę mogą się łączyć w pary i cieszyć wspinaniem. Przy układzie 1+2 pojawiają się psujące zabawę komendy: „nie odpadaj teraz, bo muszę do niego zajrzeć" albo „możesz go jakoś uspokoić, bo tu na górze trudno się robi i nie mogę się skupić na przechwytach". Najlepiej na wyjazdy spiknąć się z drugą parą z dzieckiem: nie będziecie się musieli stresować swoją mniejszą mobilnością, czy tym, że wasz potomek ma właśnie gorszy dzień, co oznajmia głośno całemu światu – oni takie akcje zrozumieją.

Higiena. Zapomnijcie. Brudne dziecko to szczęśliwe dziecko. Pozwólcie się więc im cieszyć tym, co je bawi tak samo jak was wspinanie! Zastanawiacie się jak wymyć dziecko w warunkach wyjazdowych? Jeśli wynajęliście kwaterę – problemu raczej nie ma, a na campingu zdarzało nam się urządzać kąpiel z pianą w umywalce. A co ze spaniem na campingu? My opracowaliśmy dwa rozwiązania: albo jedno z rodziców wchodzi pod prysznic z dzieckiem (czasem na campingach są przygotowane miejsca do mycia dzieci, albo tzw. prysznice rodzinne) albo myjemy w... umywalce. Idealne są głębokie zlewy w części przeznaczone na mycie garów lub pranie.

Zabawki. To może być wszystko. Tasiemki, karabinki, gri-gri. Gadżety wspinaczkowe ruchome typu friendy lub wydające głośne dźwięki przy uderzaniu o skałę (np. heksy) są szczególnie warte ich uwagi. Podobnie jak drogie aparaty. Dla trochę starszych dzieciaków można zabrać parę autek, kolorowanki, kredki – ale i tak się okaże, że szpej jest bardziej interesujący.

Reasumując: kochajcie się, rozmnażajcie i jedźcie się wspinać.

Drzemiąca moc. Fot.: Agnieszka Kochaniak.

SZKOŁA ALPINIZMU
W PIONIE

ZAPRASZA NA

NAJWIĘKSZĄ ŚCIANĘ WSPINACZKOWĄ
W CENTRUM WARSZAWY UL.NOWOWIEJSKA 37B

KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE.
W SKAŁKACH I W TATRACH

WWW.WPIONIE.PL

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy

0 601 24 29 23
0 501 501666

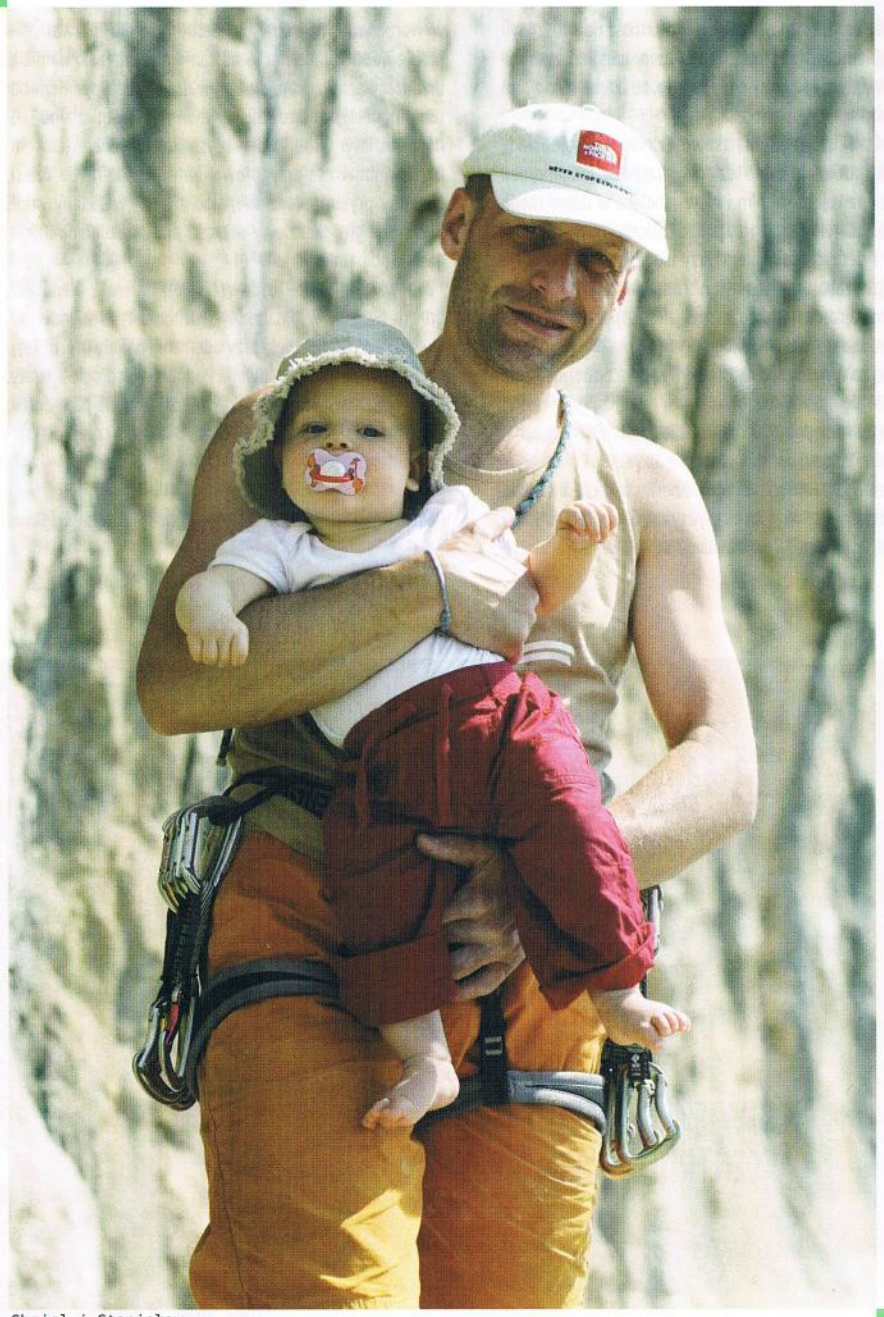

Chmiel i Stanisław.
Fot.: Małgorzata Chmielińska.

Marcin Chmieliński

JAK TO SIĘ ROBI Z DZIEĆMI

Kiedy kilka lat temu na świecie pojawił się nasz syn Stanisław, poczułem, że cała moja przyszłość wspinaczkowa właśnie legła w gruzach. Perspektywa zmieniania przez następne 20—25 lat pieluch, sprawdzania czy mleko nie jest za ciepłe i czy dziecku się odbiło, doprowadziła mnie na skraj załamania nerwowego.

Stanisław jednak rósł szybko, minęła zima, a wiosną zdecydowaliśmy się sprawdzić jego wytrzymałość i możliwości adaptacji, zabierając go na pierwsze w jego życiu wspinanie. Najlepiej gdzieś daleko, żeby test był gruntowny.

W którymś z numerów „Klettern" napotkałem artykuł opisujący skały, o których nigdy nie słyszałem, i tak narodził się pomysł wyjazdu do Seynes. Postanowiliśmy pojechać tam na próbę, a jeżeli rejon okaże się kiepski, przenieść się do

Sjesta. Fot.: Małgorzata Chmielińska.

której z pobliskich miejscówek z łatwym dostępem do skał, czyli Tarn lub Ardeche.

Wielogodzinna podróż została podzielona na dwa etapy, urozmaicone zakupami w Arco. Stanisław zniósł ją z godnością, leżąc wiele godzin bez ruchu w ciasnym foteliku. Po dotarciu do celu okazało się, że będziemy mieszkać w sąsiedztwie plantacji winorośli, na świecie istnieją campingi przystosowane do pobytu niemowląt, a wspinania jest tyle, że wystarczy na niejeden wyjazd. Ponieważ Stanisław jeszcze nie chodził, wnosiliśmy go w skały razem z gondolą od wózka, w której siedział przez większą część dnia.

Wspinanie w obecności niemowlęcia ma to do siebie, że w każdej chwili może zostać przez nie podniesiony alarm. Ne tę okoliczność prowadzący powinien mieć ze sobą lonżę lub 2–3 dodatkowe ekspresy, którymi może się przypiąć do najbliższego spita i tam przeczekać karmienie czy też przewijanie. Czasami korzystne okoliczności (np. restowa półeczka na drodze) pozwalają utrzymać czystość stylu pomimo przerwy w prowadzeniu, oczywiście jeżeli przez cały czas karmienia stoimy cierpliwie bez obciążania. Alternatywa w takiej sytuacji to natychmiastowe opuszczenie delikwenta. Oznacza ona jednak pożegnanie się

z sukcesem na drodze i konieczność odzyskania pozostawionych ekspresów w stylu RP, bez gwarancji, że nie będzie następnego alarmu. Trzecia opcja, czyli zignorowanie alarmu w celu spokojnego ukończenia OS-a, nie istnieje. Warto również zaopatrzyć zespół w samoblokujący przyrząd do asekuracji, np. clickupa, który uratuje nam życie, jeśli polecimy akurat w momencie wycierania przez asekurującego nosa dziecku.

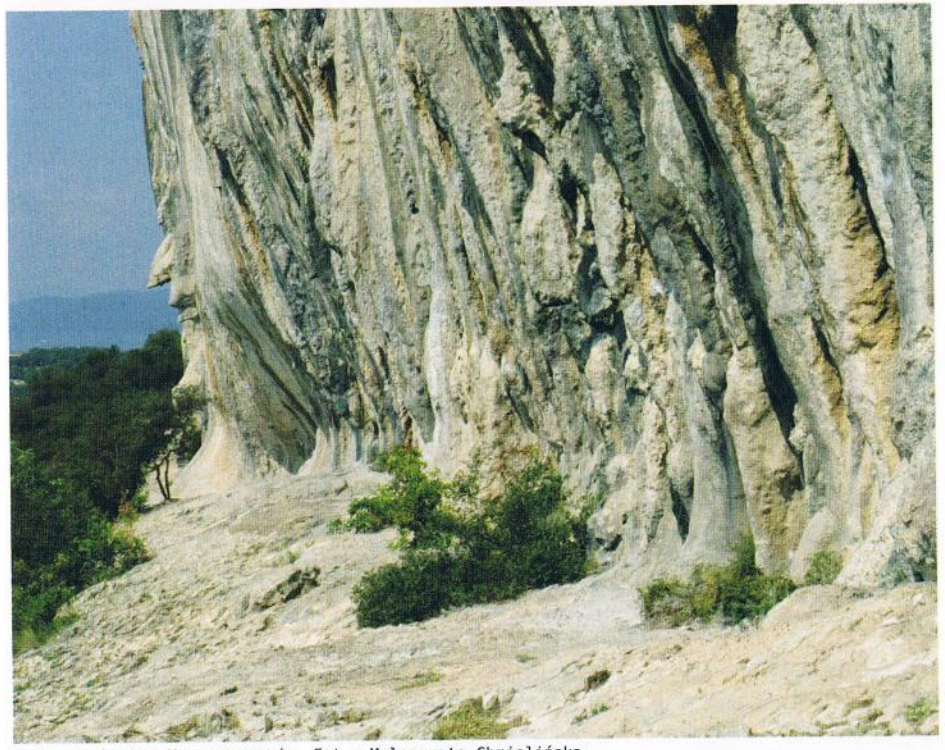

Tufy w sektorze Nouveau monde. Fot.: Małgorzata Chmielińska.

Kiedy latem tego roku powróciliśmy do Seynes z dwójką wyrośniętych już kilkulatków, wszystko wydało się nam nieporównanie prostsze. Dzieci były zahartowane i obyte z niewygodami w trakcie wielu wyjazdów w Alpy i skały, także nie trzeba już było zagracać samochodu akcesoriami w rodzaju wózków czy łóżeczek. Znaliśmy też tzw. patenty. Rozrywka w trakcie jazdy została zapewniona przez mały odtwarzacz DVD, dzięki któremu mogłem zapoznać się gruntownie ze ścieżkami dialogowymi filmów „Cars 2" i „Gdzie jest Nemo". Jeszcze przed wcześniejszymi wyjazdami kupiliśmy dzieciom termaresty i śpiwory z komfortem spania przy −16°C, żeby na pewno nie dostały zapalenia płuc i nie umarły, koniecznie z możliwością przypięcia do śpiwora mamy (akurat w Seynes były trochę na wyrost, temperatura w nocy spadała do +26°). Wspinaliśmy się codziennie, mając na uwadze, że po maksimum czterech–pięciu drogach nie wytrzymamy gorąca. Dzieci wspinały się rzadziej, ale do wspinania, podobnie jak do jedzenia kaszki, nie należy ich przymuszać, efekt będzie bowiem odwrotny do zamierzonego. Warto natomiast od czasu do czasu zorganizować zabawę z liną, huśtawkę czy wiązanie węzłów tak, żeby dzieci przyzwyczaiły się do liny i sprzętu. Co ciekawe, dzieci

Lewa część sektora Nouveau monde. Fot.: Małgorzata Chmielińska.

„wspinaczkowe" od najwcześniejszego dzieciństwa traktują linę, pętle i repy jako przedmioty codziennego użytku, i ich widok nie wywołuje w nich przesadnych reakcji. Pamiętam jednak wizytę dziecka spoza środowiska wspinaczkowego, które, widząc repsznur, którym Staś ćwiczył węzły, od razu postanowiło zastosować go do duszenia gospodarzy.

Seynes – informacje praktyczne

Położenie i dojazd: Masyw Mont Bouquet, pod którym leży miasteczko Seynes, znajduje się we Francji, w Langwedocji – Roussillon, około 40 km na północ od Nîmes. Z Warszawy najlepiej dojechać przez Niemcy do Lyonu, stąd Autostradą Słońca A7 na południe do zjazdu w miasteczku Bollène, gdzie wjeżdżamy na drogę D994 i potem drogą N86 do Pont Saint Esprit. Stąd kontynuujemy jazdę drogą N86 do Bagnols sur Cèze, gdzie skręcamy na drogę D6 prowadzącą na zachód do Alès. Seynes jest położone u stóp masywu, około 15 km przed Alès. Aby dojechać na camping Les Vistes, mijamy miasteczko Seynes i mur skalny rejonu wspinaczkowego, kierując się na zachód w kierunku Alès, po czym przy jego końcu, po około 2,5 km za Seynes skręcamy w lewo w drogę D7 wiodącą przez wzgórza na południe (drogowskaz na St Just i Nîmes). Po około 10 km mijamy miasteczko St Jean de Ceyrargues i tuż za nim skręcamy z szosy w prawo na camping. Odległość z Warszawy to 2080 km. Pod skały można podjechać samochodem. Wzdłuż drogi D6 ciągnie się stara asfaltowa, nieużywana droga dostępna z obu stron, lecz zablokowana w połowie osuwiskiem gruntu. Do sektorów la Bete, la Belle, Rouge Gorge, Josè podjeżdżamy od strony skrzyżowania dróg D6 i D7 wiodącej od campingu, do pozostałych sektorów podjeżdżamy od strony miasteczka Seynes. Przy drodze wypatrujemy ścieżek pod górę wiodących pod poszczególne sektory, podejście pod żaden z nich nie jest dłuższe niż 8–10 minut.

Najważniejsze – dla dzieci: Jeżeli myślisz, że dzieci będą całymi dniami dopingowały cię przy patentowaniu drogi życia, to zrozum, że jesteś w głębokim błędzie. Nawet pomimo wniesienia w skały wora pełnego zabawek, kredek i bajek, najdalej po 3–4 godzinach będziesz zmuszony do zapewnienia im jakiejś innej rozrywki. Jeżeli pociechy się wspinają – nie ma najmniejszego problemu. Sektory La Belle, lewa część Rouge Gorge, prawy skraj sektora Nouveau Monde i Initiation oferują dużą liczbę dróg o trudnościach od 3–4, które dziecko może wędkować lub prowadzić, a pomagający mu rodzic pokonać na żywca i zejść. Jeżeli nie, ciągle mamy inne możliwości, z których korzystamy w razie potrzeby.

Wycieczki krajoznawcze po okolicy. Jest co zwiedzać, bowiem w pobliżu mamy między innymi Pont du Gard – największy akwedukt rzymski w Europie, Nîmes ze starożytnym cyrkiem rzymskim, Avinion z Pałacem Papieży, mostem St Bènezet na Rodanie i starym miastem (przy okazji podklejamy buty w SOeScalade), czy muzeum cukierków w pobliskim Uzès. Poza tym, każde napotkane miasteczko jest piękne, ma przynajmniej kilkaset lat i jest obsadzone dającymi cień platanami.

Wyjazd nad morze. W dzień restowy warto pojechać na piaszczyste plaże mierzei w Sète, za Montpellier, choć jest to eskapada o długości około 110 km w jedną stronę.

Dla leniwych – zostajemy na campingu. Warto spędzić dzień, popijając wspomniane wyżej schłodzone wino, dzieci też będą zachwycone mogąc kąpać się przez cały czas w basenie i wściekać na placu zabaw.

Wspinanie: Seynes to mur skalny o długości około 2 kilometrów, który oferuje 12 sektorów z około 350 drogami o trudnościach od 3 do 8b+. Skała ma wystawę południową, więc najlepsza pora roku na wyjazd to wiosna lub jesień; pobyt w kwietniu i maju był bardzo przyjemny, natomiast w czerwcu trudno jest przeżyć w upiornym upale. Większość dróg ma trudności „dla ludzi", czyli 6 i 7 w skali francuskiej, choć w największym sektorze Nouveau Monde znajdziemy piękne francuskie ósemki wiodące przewieszonymi tufami, np. słynną *Dinosaure*. W rejonach dla początkujących jest też dużo dróg łatwiejszych, od 3 do 5. Długość dróg sięga 30–35 metrów, dlatego warto mieć linę co najmniej 60 m. Rejon jest dość odludny, więc z reguły pod skałami nie spotkamy nikogo. Generalnie wspinamy się po płytach z dziurami i dziurkami lub przewieszonych tufach. Osobliwością Seynes są formy naciekowe występujące w sektorze Nouveau Monde, oprócz tuf są to wielkie „nosy". Część sektorów ma przygotowane drogi dla początkujących i dzieci. Teren pod wszystkimi sektorami jest dostępny

Upragniony rest. Fot.: Małgorzata Chmielińska.

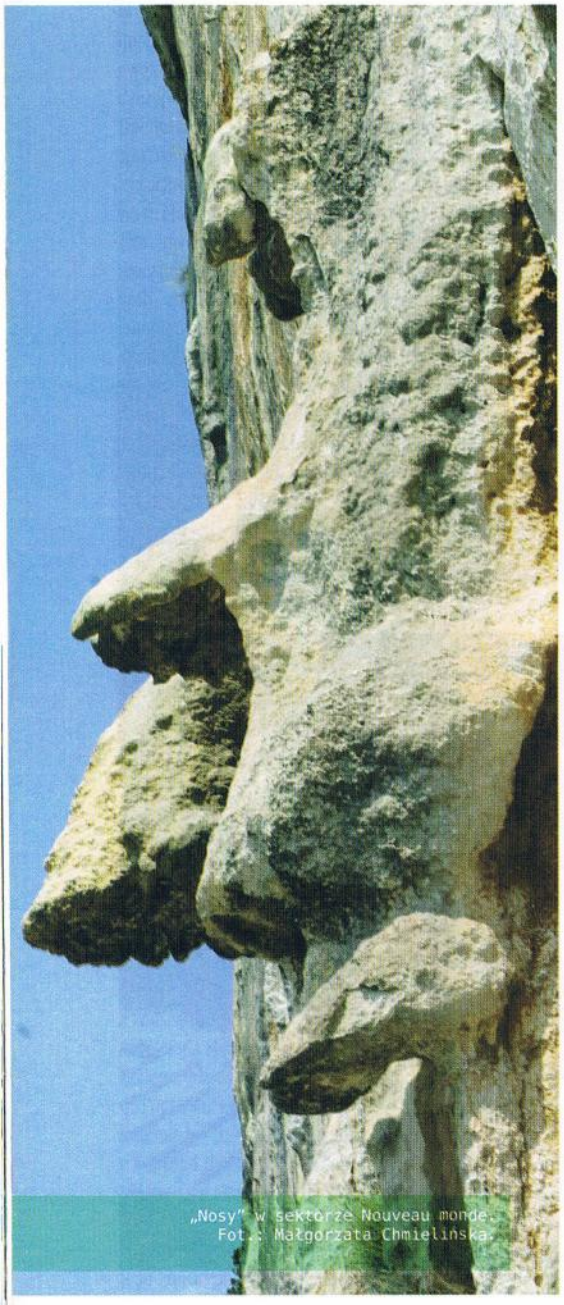

„Nosy" w sektorze Nouveau monde.
Fot.: Małgorzata Chmielińska.

i bezpieczny dla dzieci, poza sektorem Jean Marc. Tu musimy wspiąć się około 3–4 m na półkę, z której dziecko może, przy nieuwadze rodziców, spaść. Wzdłuż całego muru skalnego wiedzie wygodna ścieżka, na której są zacienione miejsca na rozłożenie koca. Wyjątkiem jest tu sektor Nouveau Monde, pod którym znajduje się prażona słońcem patelnia, a cienia trzeba szukać gdzieś z boku.

Pamiętajmy, że przy ubezpieczeniu rodziców w OeAV dzieci są ubezpieczane za darmo na tych samych zasadach, z czego warto skorzystać.

Przewodniki i info: Znam dwa przewodniki opisujące Seynes. Pierwszy z nich to „Les Falaises de Seynes" autorstwa Serge'a Imberta z 1999 roku, drugi to przewodnik wydawnictwa Rockfax „France Languedoc – Roussillon" autorstwa Adriana Berry'ego. Najlepiej korzystać z obu. Francuski przewodnik jest doskonale opracowany, jeśli chodzi o topografię poruszania się w okolicach skał, i opisuje wszystkie sektory Seynes. Przewodnik Rockfaxa, wydany w październiku 2011 roku, oferuje świetne fototopo i najnowsze informacje dotyczące stanu eksploracji, ale niestety nie opisuje wszystkich sektorów Seynes. Co ciekawe, niektóre rejony pominięte w przewodniku są równie ładne i interesujące, jak te opisane. Możemy się również natknąć na sporo pięknych, nowo obitych dróg, niewymienionych w żadnym z tych przewodników.

Spanie i zakupy: W trakcie obu pobytów w rejonie Seynes korzystaliśmy z campingu Les Vistes w miejscowości Saint Jean de Ceyrargues, około 10 km na południe od skał. Jest to przytulny i cichy camping z dwoma ozonowanymi basenami (brodzik dla dzieci), placem zabaw i węzłem sanitarnym również specjalnie przeznaczonym dla dzieci (w tym niemowląt). W ofercie są również domki, ale upalna pogoda raczej skłania do spania w namiocie. Rodzicom właściciele oferują dobrze schłodzone, białe i różowe wino oraz cotygodniową imprezę integracyjną, gdzie możemy podszlifować znajomość niderlandzkiego w konwersacji z holenderskimi emerytami (o dziwo, oni ciągle pamiętają, kto wyzwolił Bredę). Oczywiście jest też wi-fi wliczone w cenę campingu. Inne informacje i ceny są dostępne na stronie www.lesvistes.com. Miasteczko Saint Jean jest tak małe, że nie ma w nim nawet piekarni, po bagietki jeździmy więc około 2 km do sąsiedniego miasteczka St Maurice de Cazevieille, gdzie jest również malutki supermarket z podstawowymi artykułami. Większe zakupy warto robić w Alès lub Uzès, gdzie mamy pełen wybór sklepów. ■

SALEWA
Athletes: Roger Schäli and Simon Gietl | Location: Arapiles, Spain
Pic: www.limpetz.ch, Thomas Ulrich
www.salewa.com

Piotr Juszkiewicz „Jusza”

W KUPIE RAŹNIEJ – DOLOMITY

Rodzina na szczycie. Jeszcze nie wiemy, co nas czeka przy zejściu.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

Pocę się nawet tam, gdzie nigdy się nie pociłem. Blisko czterdziestostopniowy upał. Spocone stare uliczki, kościoły, zalane potem winiarnie. Odporny organizm tym razem odmawia czegokolwiek. Kamilla – wyjątkowo wrażliwa na upał – wykazuje nadludzką cierpliwość w wyszukiwaniu kolejnego zabytku, kolejnej atrakcji z przewodnika. Co za kobieta! Co za dzielność! Nowa Katarzyna Sieneńska! Dzieci snują się już tylko wiedzione nadzieją obiecanych lodów, lizaków, basenów, nowych bibelotów lub czegokolwiek, co zmusiłoby je do postawienia choćby jednego kroku w stronę naszego tymczasowego lokum. Nareszcie spakowani. Trzeba się jeszcze tylko załadować do czarnego pieca martenowskiego marki Ford. Addio Toscana! Arrivederci!

Opuściliśmy Toskanię. Po pięciu godzinach w klimatyzowanym fordzie nikomu nie jest spieszno na spotkanie z kolejną falą upału. Camping jednak wygląda cudownie, tym razem dzieci pierwsze wystrzeliły jak z procy. Wywlekamy się z forda. Boże, jak cudownie jest oddychać chłodnym, świeżym, prawdziwie rześkim powietrzem. Jak cudownie jest poczuć górski podmuch. Wpuścić w nozdrza ten życiodajny zapach nieba. Dzieci wariują na placu zabaw, małżonka czyta książkę i wydaje kolejne komendy, ja tyram, wbijając śledzie od namiotu i popijając lokalne wino – czy może być coś bardziej rodzinnego?

Camping „Val di Fassa" oraz klubowe namiociki szturmowe.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

Dolomity nosiliśmy w pamięci od dwóch lat. Kiedyś, wracając do Polski znad Gardy, zrobiliśmy mały rekonesans – kilkudziesięciokilometrową pętlę samochodem. Zapamiętałem to miejsce jako świat z bajki. Piękne, zielone łąki i strzeliste, wapienno-dolomitowe wieże, jak gigantyczne zęby podziemnego potwora.

Przybyliśmy na klubowy obóz letni. Zmęczeni toskańskim upałem, wykończeni składaniem gigantycznej kawalerki, upojeni winem – oddychaliśmy górami. Jak ogarnąć ten tydzień? Jak pogodzić rodzinę i wspinanie? Musiałem ułożyć pewien plan. Ponieważ był to nasz pierwszy letni obóz klubowy, bardzo zależało mi, aby nie tylko go przeżyć, lecz także przeżyć go dobrze – dobrze przede wszystkim dla rodziny, dla niewspinającej się Kamilli, dla trójki dzieci, samemu nie tracąc wiele ze swojej pasji. Czy się udało? Oni ocenią to kiedyś...

Dzisiaj dzielę się z wami kilkoma skromnymi obserwacjami i patentami, które mogą sprawić, że rodzinny tydzień w górach może być fajną przygodą dla młodego i starego.

Być razem

Zasada, której starałem się przestrzegać jako pierwszej i najważniejszej – trzeba dużą część czasu oddawać swoim bliskim. Jadąc na 5–6 dni obozu, planowałem dwa dni przeznaczyć tylko dla siebie (to znaczy na łojenie), a resztę czasu spędzić z rodziną. W rodzinach, gdzie oboje rodziców się wspina, panowała także reguła: jeden dzień dla mamy, jeden dla taty. Osobom samotnie wychowującym swoje dzieci niech także nie zabraknie determinacji, można przecież na górskie podboje zaprosić opiekunkę – widziałem na własne oczy, że to możliwe i całkiem wygodne. Tak czy owak, można i trzeba dzielić przyjemne z jeszcze bardziej przyjemnym.

Wejść na górę i przeżyć

Świetną sprawą dla rodziny z mniejszymi dziećmi (powiedzmy do dziesięciu lat) jest sieć kolejek linowych, z których duża część funkcjonuje latem (tzw. panorama pass). Można kupić bilety w różnych wariantach: jednodniowe, tygodniowe oraz trzydniowe do wykorzystania w ciągu sześciu dni (3 in 6). Za najbardziej optymalne uznaliśmy te ostatnie – pozwala to dopasować się do warunków pogodowych i innych rodzinnych sytuacji. Sieć wyciągów często

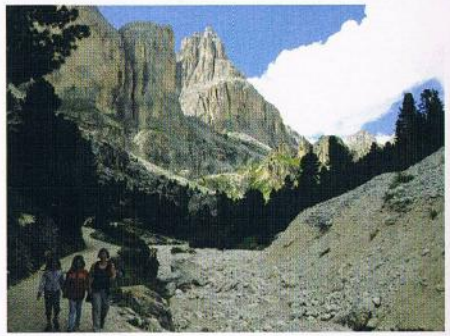

Wielkie wieże i urocze Rifugio Vaiolet za nami, wracamy do bazy.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

Joszko w kabinówce – sukces wyprawy to dobra topografia i logistyka.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

zbudowana jest tak, że wjechać można z jednego miejsca, a zjechać gdzie indziej. To doskonały sposób dla dzieci, które nie nawykły (jeszcze) do wielogodzinnych, medytacyjnych podejść. Można w stosunkowo niedługim czasie znaleźć się z maluchami pod wieżami Vajolet czy na Sas de Pordoi (oczywiście w celu rekonesansu urwistych ścian masywu Sella), nie wysłuchując przy tym deprymującej mantry „tata, długo jeszcze?". Można też podzielić rodzinę tak, aby jedna grupa zeszła jedną drogą, podczas gdy maruderzy wracają krócej pod pretekstem powrotu po auto (uwaga, należy pamiętać, aby zabrać kluczyki do auta – sic!).

Stalówki – park linowy w naturze

W zasadzie to był mój pierwszy raz na ferracie. Zawsze fascynowały mnie rodzinne wycieczki po nieco trudniejszym terenie. Kupiłem mapkę, popatrzyłem, poczytałem w przewodniku. Jest – Roda di Vael – trudności raczej niewielkie. Idziemy! W drodze używałem zaimprowizowanej lonży, raczej dla zasady i przykładu (teren dwójkowy z nieco trudniejszymi miejscami). Dzieci za to były dumne z noszenia tego całego szpeju i prężyły się z radości. Wreszcie na szczycie pamiątkowa fotografia. Pokazałem im w oddali inne, naprawdę trudne, drogi stalowe – w pionie, całkiem nieźle eksponowane. Gdy zbledli na ten widok, radośnie oświadczyłem, że można się „rozszpeić".

– Skąd ty, tata, wszystko tak wiesz o tych górach? – pyta najpierw mały. No wiesz... zanim odpowiedziałem musiałem jeszcze kilka razy nerwowo popatrzeć na mapę.

Najmłodsi w ścianie – kuluar zejściowy na Roda di Vael.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

– Tata, z tobą to ja się w ogóle nie boję – mówi średnia. Nerwowość wzrasta...

– O tata, zobacz, jak blisko tej bardzo trudnej drogi jesteśmy – zmyślnie zauważa najstarsza, niestety słusznie.

Dokładna analiza mapy dokonana przez Kamillę sprawia, że oto nagle na zejściu pojawiają się jeszcze dwa malutkie krzyżyki (oznaczenie stalówki). Poza kłębowiskiem bluzgów w mojej głowie drży pytanie – co będzie, jak ktoś z familii w połowie tego eksponowanego pionu po porostu zesra się ze strachu w gacie? Co wtedy, dzielny tatusiu? Przedłużyłem drugą lonżę i lezę pierwszy. Najwyżej przyczepię ich do siebie i zaciągnę na siłę, trudno. Najstarsza dygnęła bez jęku. Średnia nie może być gorsza. Mały natomiast był tak dzielny, że nawet Heinrich Harrer na północnej ścianie byłby z niego dumny. Małżonka, no... też nieźle, ale trzeba było troszkę motywować.

Gigantyczne lodowisko

Nie ma nic fajniejszego po spiekocie Toskanii, jak porzucać się pigułami prawdziwego śniegu. Wjazdu na lodowiec Marmolady dokonuje się za pomocą wspomnianego panorama pass. Tym razem jednak wjeżdżamy zabytkową kolejką przypominającą przyczepki na konia podwieszone do liny. Można zatem wyobrazić sobie, co czuje koń wznoszący się w przeciągu kilkunastu minut na wysokość blisko 3000 m n.p.m. Wyskoczyliśmy z przyczepki jak młode źrebaki. Dalej, hajda na lodowiec. Moja małżonka – wielka górska indywidualistka – postanowiła oczywiście udać się drogą nieco

Odkrywamy tajemnice wielkiego lodowiska na Marmoladzie.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

Zabytkowa kolejka, w tle zapora i Lago di Fedaia.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

Zabytkową kolejką na wielkie lodowisko – Marmolada.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

zindywidualizowaną. Nie oponowałem, niech ma za swoje. Malutkie kamyczki stały się nagle ogromnymi głazami, przy tym idealnie wyszlifowanymi przez lodowiec. Patrzyłem na to przez lornetkę, początkowo z zadowoleniem. Kamilla dość sprytnie jednak odnalazła taki zapych, że bez zdalnej nawigacji (lornetka i łączność radiowa) musielibyśmy wzywać pomoc fachowców lub klubową odsiecz.

Doświadczenie lodowca dla dzieci jest czymś niezwykłym. Przy czym ten na Marmoladzie w swojej dolnej części nie stanowi dużego zagrożenia, zabawa jest doskonała. Niestety lodowiec ten umiera, topnieje z roku na rok coraz bardziej. Stąd te wielkie, odkryte, wyszlifowane głazy. Trzeba zatem zachować czujność.

Klasyka

Wiadomo. Żadna góra nie wygra z basenem czy placem zabaw. Dolomity i pod tym względem nie zawodzą. W Canazei jest duży park wodny, w którym udało się nam nie być. Na kempingu był kryty basenik – ceny kosmiczne, ale raz można dzieciakom zaproponować (dla dorosłych raczej za mały). Placów zabaw, parków linowych i innych atrakcji w okolicy jest wiele, naprawdę jest w czym wybierać. W dni wspinaczkowe były to miejsca odwiedzane ochoczo przez resztę mojej rodziny.

Poza tym, na kampie, w samym jego środku sterczała dość sporej wielkości obita skałka. Powiem tak – każdy miał na nią smaka (tak, tak, ten przewieszony filarek ciągle mam w pamięci...). Odważyły się tylko dzieci. W zasadzie można byłoby asekurując przygotowywać posiłek, gdyż namioty stały kilka metrów od tej kempingowej, wybitnej formacji skalnej.

Poker, księżniczka i armia rycerzy

Dobrze jest, jak na tego typu wyjeździe są inne rodziny, inne dzieci. Letni obóz klubowy to wprost wymarzona okazja do dziecięcych integracji. Jest wiele rodzin z dziećmi. Zwykle „dziecięce" namioty są zlokalizowane w pewnej odległości od reszty bezdzietnego towarzystwa. Dzieci, nawet jeśli się nie znają, szybko nawiązują relacje. Szkoda było wyjeżdżać po sześciu dniach, kiedy dzieci w najlepsze budowały tajemne schrony, prowadziły zaczepne działania wojenne, łączyły się w grupy wojowników i zdobywały piękne królewny (no... konieczna była pewna kontrola).

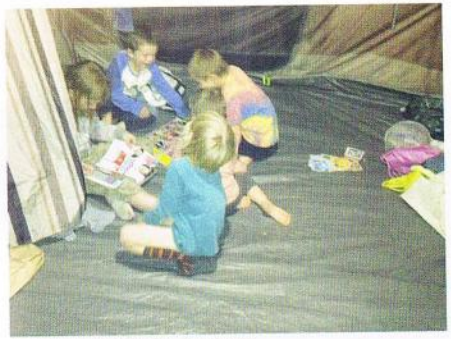
Narada w namiocie bazowym.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

Mieliśmy też projekt o trudności grubo powyżej 8c, czyli „nocne podchody" – jedyna rzecz, której nie udało nam się zrealizować. Prawie codziennie wieczorem było deszczowo i mokro. Innego dnia ktoś wrócił za późno. Ach... nieodżałowana zabawa. Już dzisiaj szukam chętnych na następny raz.

Epilog

Nie dajmy się wtłoczyć w beznadziejny kanał myślenia, gdzie istnieje ponura alternatywa: albo rodzina, albo wspinanie. My, rodzice-wspinacze, uczmy się tak żyć i tak wspinać, żeby nasze rodziny nie tylko na tym nie traciły, lecz także na tym zyskiwały. Nie jest mi łatwo to pisać, bo sam mam w tej przestrzeni dużo dylematów i trudności. Jeśli jednak moje wspinanie ma coś burzyć, niszczyć, choć jest jedynie zaspokojeniem ponadprzeciętnego zapotrzebowania na adrenalinę – to nie jest warte nawet funta kłaków.

W dzieciństwie bywało różnie. Wiele się działo. Były dni wspaniałe, były także dni „bez teleranka". Nie pamiętam już dobrze dzieciństwa, co dostałem na gwiazdkę, co na urodziny, nie pamiętam czy pierwszy w klasie miałem kostkę Rubika czy komputer Spectrum. Nie pamiętam, co mówił tata, kiedy chciał przekazać mi życiowe mądrości. Pamiętam za to, kiedy wyjechaliśmy całą rodziną w dzicz pod namiot. Jest to jedno z najpiękniejszych wspomnień mojego dzieciństwa. Nie odbiorę tego moim dzieciom. Nie odbiorę tego sobie samemu.

Skalny piknik podczas rekonesansu ścian masywu Sella.
Fot.: Piotr Juszkiewicz.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Lokalizacja: Dolomity, Pozza di Fassa, dolina Val di Fassa

Camping: „Vidor", http://www.campingvidor.it ceny dla KWW 5 € za namiot, reszta wg cennika

Panorama Pass: Bilet 3 in 6 35 €, dorośli, 20 €, dzieci, maluchy (<2 lata) za darmo

Via Ferraty: Wypożyczenie kompletu sprzętu (kask, uprząż, lonża z absorberem) 7 €/dzień

Zakupy: Blisko kampingu znajduje się dyskont, gdzie ceny są bardzo zadowalające

Dojazd: Polecam wysłać mamę z dziećmi samolotem, tanie linie lądują w Bergamo, można trafić na bilety nawet za 30 zł (mi się kiedyś udało). Autem trasa mierzy ok. 1450 km (z Warszawy autostradą przez Berlin). Przejazd możliwy w ciągu jednego dnia (od rana do wieczora, ok. 12–14 h)

Alek Barszczewski

TYDZIEŃ W SZKOCJI

Fot.: arch. Alek Barszczewski.

Szreń na skale, lód w rysach i smagający po twarzy mokry, zmrożony śnieg – tak w skrócie można opisać wspinanie zimowe w Szkocji. Wspinałem się tam tylko przez siedem dni, ale zapamiętam ten wyjazd jako jeden z najfajniejszych w życiu.

Chodzi oczywiście o organizowany co dwa lata przez BMC (British Mountainiering Council) meeting w Szkocji, a konkretnie w małej wiosce turystycznej Glenmore Lodge. Do udziału w nim zapraszani są rokrocznie goście z całego świata – każde państwo reprezentowane jest przez jedną lub dwie osoby. W tym roku było 40 osób z 26 różnych krajów (m.in. z Kanady, Japonii, Afryki Południowej, Czech itd.). Każdemu uczestnikowi przypisany był jeden host czyli lokals, z którym się wspinaliśmy. Co ciekawe, zarówno lokalsi, jak i goście byli na różnych poziomach wspinaczkowego zaawansowania – był np. wspinacz z Południowej Afryki, który pierwszy raz w życiu trzymał dziabki w rękach, ale było też parę zawodników i zawodniczek, którzy startują w Lodowym Pucharze Świata. Całej imprezie przewodniczył nie kto inny jak sam Nick Colton (ten od *Colton–MacIntyre* na Grandes Jorasses) – jadłem z nim nawet przy jednym stole. Oprócz tego można było spotkać wielu znanych wspinaczy, takich jak Nick Bullock, Will Sim albo Alan Hinkes.

Każdy dzień wyglądał mniej więcej tak samo: śniadanie, po śniadaniu wszyscy wsiadają do busików, a one zawożą nas w różne rejony wspinaczkowe. Ze względu na kiepską pogodę (w Szkocji to normalka) wspinaliśmy się głównie na dwóch skalnych klifach (ale nie nad morzem) – Shelter Stone i Lochnagar. Podejście pod każdy z nich zajmuje około godziny (warto mieć gogle i kominiarkę, bo już samo podejście daje ostro popalić – prawie cały czas mocno wieje i pada mokry, marznący śnieg). Drogi mają maksymalnie cztery wyciągi i w dużej części są to drogi letnie, więc nie używa się tam haków, aby nie niszczyć skały. Samo wspinanie jest bardzo ciekawe, ponieważ prawie zawsze wspinamy się jakąś konkretną formacją – rysą, kominem, filarkiem, zacięciem. Często występują też offwidthy. Wspinanie w zalodzonych rysach i kominach polega na wykorzystaniu szerokiej gamy technik klinowania pięści, kolan lub innych części ciała. Do asekuracji najczęściej przydaje się powiększony zestaw kości, a ze względu na oblodzenie konieczne są duże heksy (czasami występuje także cieniutka polewka lodowa, której nie da się skuć dziabą). Camalotów używa się bardzo rzadko, ale warto jednak mieć je przy sobie.

Ogólnie przyjętą zasadą jest, że nie wspinamy się, gdy nie ma szreni na skale. Pytałem skąd się wzięła ta zasada, ale dowiedziałem się jedynie, że tak po prostu jest. Im więcej szreni i lodu w rysach, tym łatwiej się wspinać (dziaby świetnie siadają w zalodzonych rysach), ale za to trudniej się asekurować. Trzeba też uważać na zmiany pogody – w godzinę może przyjść ocieplenie i cała szreń się stopi.

Ciekawą sprawą jest system wyceny dróg stosowany w Szkocji. Składa się on z dwóch członów, z czego pierwszy oznacza ogólną powagę drogi, a drugi maksymalne trudności techniczne (np. VI 7). Na ogólną powagę drogi mają wpływ: asekuracja, długość drogi lub np. utrzymujące się trudności. Bardzo trudno jest porównać skalę szkocką z tą używaną w Tatrach, ponieważ wspinanie ma zupełnie inny charakter. Wspin w Tatrach kojarzy mi się raczej z absolutnym miszmaszem – tam trawka, tu kawałek ryski, kominek, płytka, znów trawka itd. W Szkocji większość dróg wiedzie ewidentnymi formacjami, np. trzywyciągowym kominem. Jest to bardzo techniczne wspinanie, często trzeba wchodzić na dziabach w odciągi i podchwyty. Była to dla mnie niezła lekcja łojenia (i pokory też ;)).

W pensjonacie (lub bardziej hotelu górskim), w którym mieszkaliśmy, mieliśmy do dyspozycji całą gamę atrakcji pozawspinaczkowych takich jak basen, sauna i siłownia. Codziennie po wspinaniu odbywały się pokazy slajdów przygotowane przez lokalsów o wspinaniu w Szkocji i innych rejonach oraz pokazy przygotowane przez niektórych gości. Po slajdach otwierany był bar, gdzie można było odpocząć, napić się piwka i pogadać. Podczas całego wyjazdu panowała bardzo miła atmosfera.

Ostatnim elementem, o którym warto wspomnieć, jest jedzenie. Było naprawdę niesamowite. Po pierwsze „full english breakfast" – czyli jajka, bekon, ciastka ziemniaczane, tosty, dżem, miód, musli, owoce i inne smakołyki. Po takim śniadanku można spokojnie łoić przez cały dzień. Ponadto każdy uczestnik dostawał zapakowany prowiant na drogę. Obiady były idealne – na talerzu zawsze pojawiał się kawał mięsa (kurczak, wołowina lub łosoś), do tego makaron lub ryż i dużo warzyw. Ja sam natomiast mieszkałem w bungalowie, gdzie była kuchnia i można było sobie samemu gotować. Bardzo spodobała mi się tabelka wywieszona w jadalni:

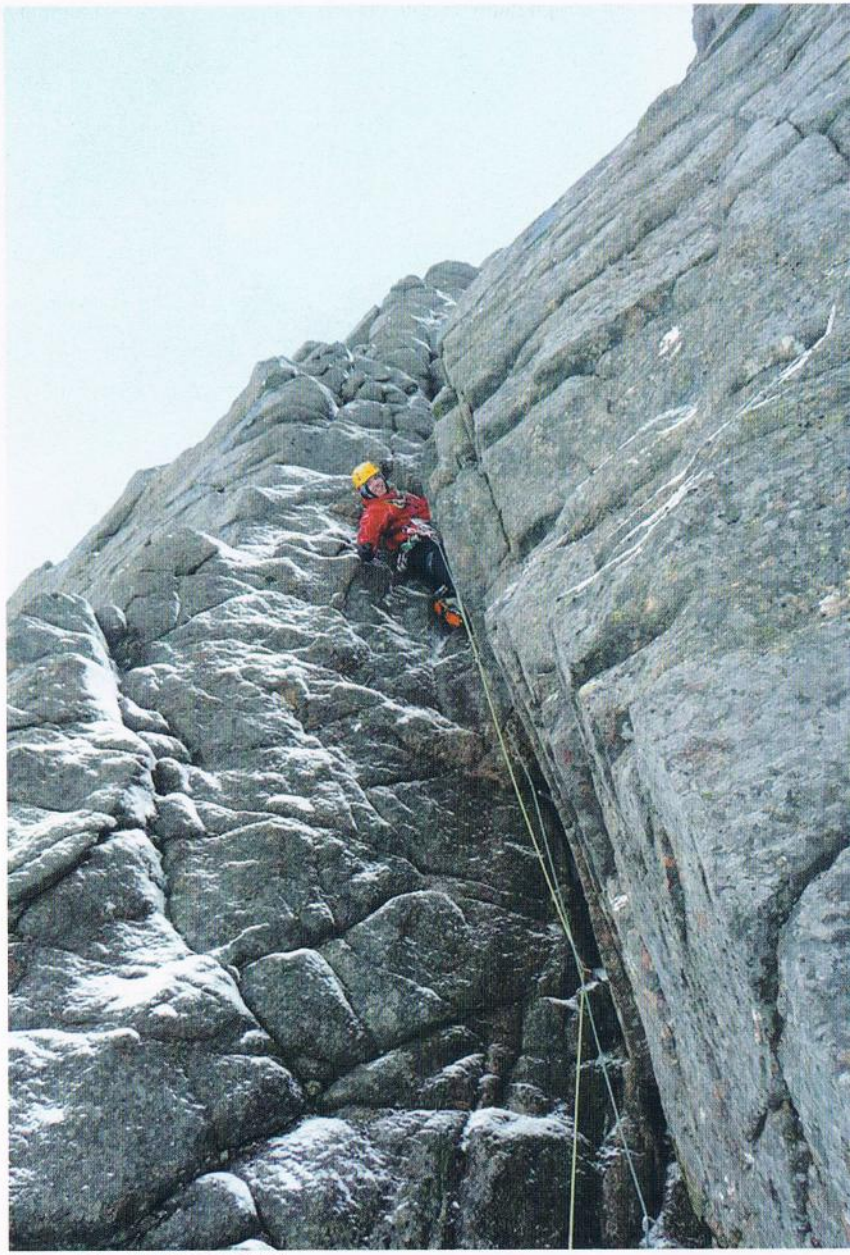

Fot.: arch. Alek Barszczewski.

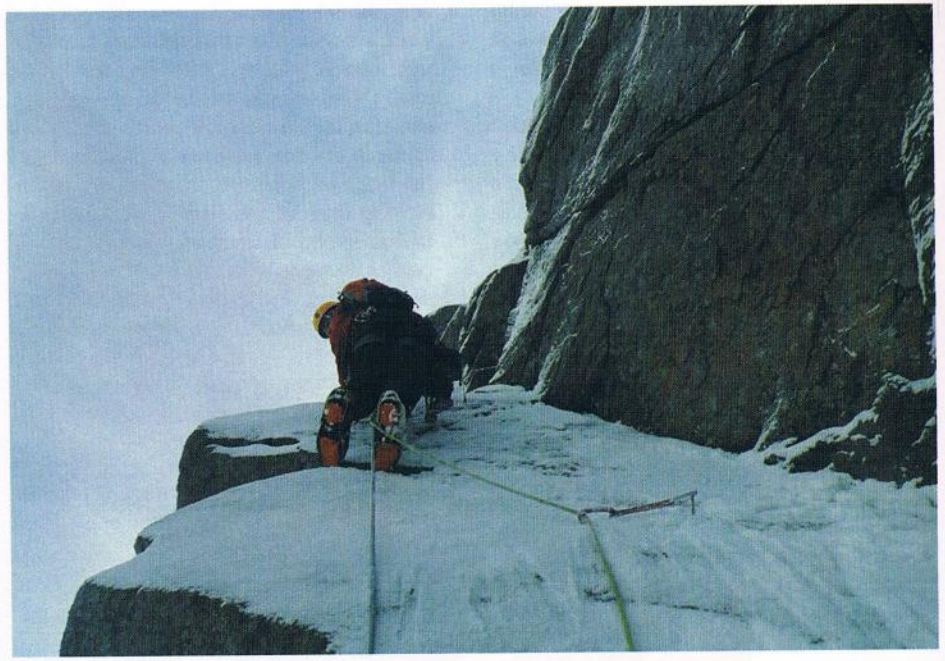

Fot.: arch. Alek Barszczewski.

TY DZIEŃ W SZKOCJI

Śniadanie – 750 kcal
Spakowany lunch – 1150 kcal
Podwieczorek – 500 kcal
Obiad – 1500 kcal

Wspinanie w Szkocji to naprawdę niesamowite przeżycie (i wartościowa lekcja). Teraz nie dziwi mnie już fakt, że Szkoci znani są z tego, że są naprawdę mocnymi, dobrymi technicznie wspinaczami. Rejon ten polecam każdemu – wspinania cała masa. Jest też duży potencjał na prowadzenie nowych dróg (w Szkocji jest wspinanie do ok. ośmiu wyciągów np. na Ben Nevis). Ja sam mam nadzieję, że jeszcze tam wrócę, żeby zrobić jakąś fajną drogę, nawet pomimo odległości i faktu, że taki wypad nie należy jednak do najtańszych. ▪

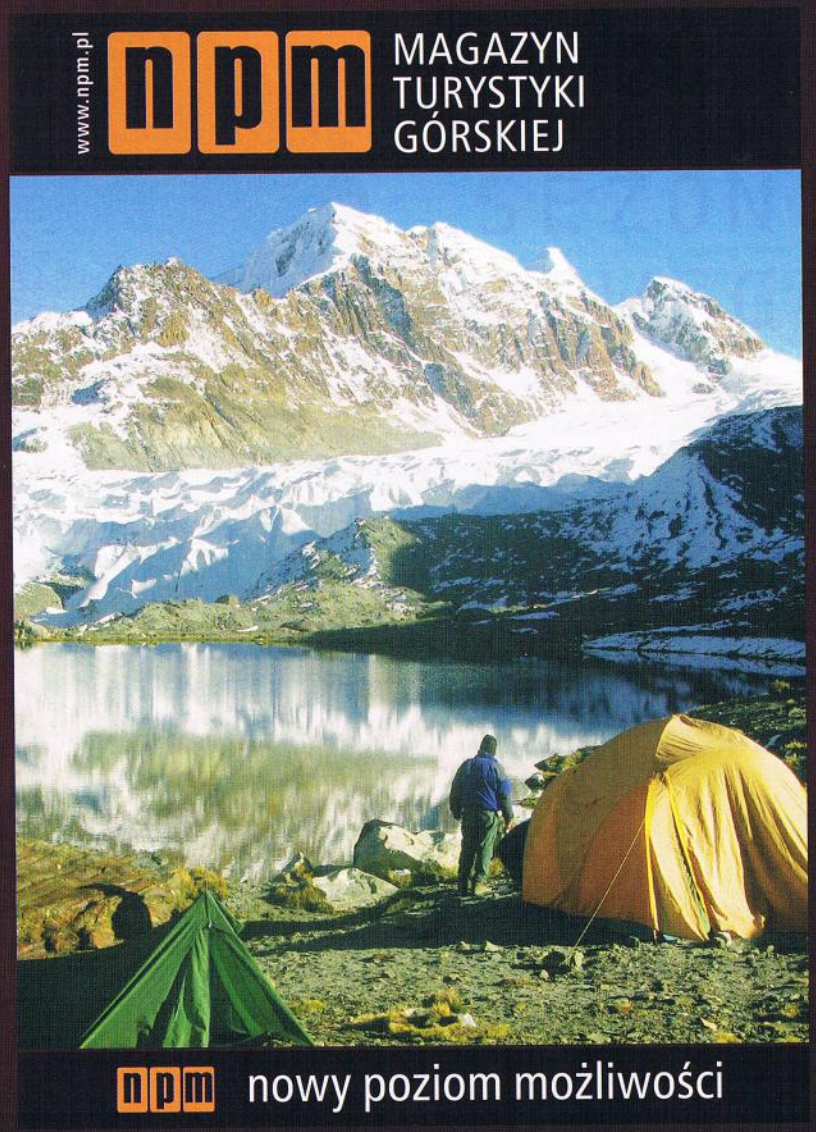

Kocioł Kazalnicy, drugi wyciąg drogi *Welcome to Jamaica*.
Fot.: arch. Maciek Bedrejczuk.

Marek Grądzki

TATRY – PODSUMOWANIE SEZONU ZIMOWEGO 2011/2012

Zeszłoroczny sezon letni w Tatrach trwał wyjątkowo długo, co zaowocowało znakomitymi przejściami wielu trudnych dróg. Ponieważ pierwszych wspinaczek w tzw. warunkach zimowych dokonano już w listopadzie, możemy mówić niemalże o ciągłości sezonów i płynnym przejściu tatrzańskiego lata w naszą ukochaną zimę. I choć tradycyjnie pogoda i warunki nie rozpieszczały taterników, to wielu zespołom udało się dokonać ciekawych oraz wartych odnotowania przejść.

Podobnie jak w zeszłym roku, sezon otworzył **Marcin Księżak**, który korzystając z pierwszych mrozów z powodzeniem zaatakował wschodnią ścianę Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego. Był jednak osamotniony w swojej działalności i na pierwszą falę ciekawych przejść musieliśmy jeszcze poczekać.

Nastąpiła ona tradycyjnie w drugiej połowie grudnia, kiedy przy nie najgorszych warunkach wspinano się intensywnie w okolicach Morskiego Oka. Na uwagę zasługuje pierwsze w omawianym sezonie przejście *Innominaty* na Kotle Kazalnicy w wykonaniu aktywnych w tym sezonie **Maćka Bedrejczuka, Tomka Ostasza** (m.in. nowa droga na Kotle i Łomnicy) oraz **Józefa Soszyńskiego**.

Następnie na prawie dwa miesiące w Tatrach zapanowały tęgie mrozy, które praktycznie uniemożliwiły działalność taternicką. Przejść z tego okresu jest niewiele, warto jednak zwrócić uwagę na pierwsze powtórzenie i jednocześnie pierwsze przejście zimowe poprowadzonej kilka miesięcy wcześniej słowackiej drogi *Vzpomínka na Eiger* na wschodniej ścianie Łomnicy. Sztuki tej dokonał jeden z aktywniejszych zespołów ostatnich zim, czyli **Jan Kuczera i Marcin Księżak**. Drogę wycenili na M7 A3, a pokonanie jej zajęło im aż dwa i pół dnia!

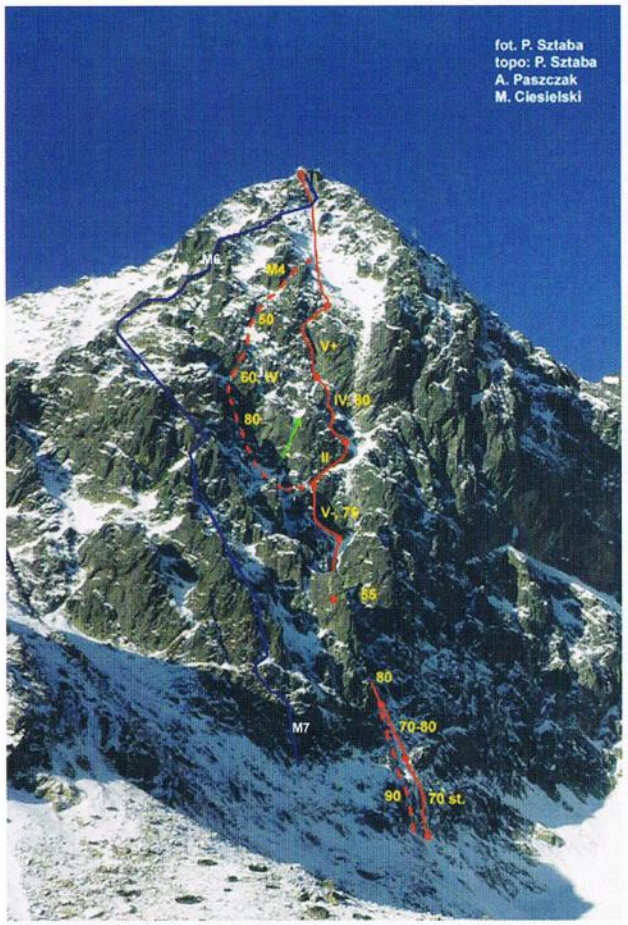

Łomnica – niebieska linia *Niekończąca się opowieść*, czerwona – *Droga Motyki*

Od końca lutego do końca marca pogoda była stosunkowo dobra, a warunki względnie sprzyjające. Stąd wiele dobrych przejść, z których większość przedstawiono poniżej. Miało miejsce kilka zimowo-klasycznych powtórzeń mocnych dróg na Zerwie i Kotle (*Innominata, Dag, Uskok Laborantów*), poprowadzono nawet jedną nowość i to w sytlu OS: kombinację z nowym wariantem wyjściowym *Welcome to Jamaica*, którą autorzy **Maciek Bedrejczuk, Wawrzyniec Kozłowski i Tomek Ostasz** wycenili na M8–. Jednak niewątpliwym przejściem sezonu można nazwać pierwsze zimowo-klasyczne pokonanie słynnej *Direttissimy* Kazalnicy. Sztuki tej dokonał wspomniany już zespół **Kuczera-Księżak**, w imponującym stylu OS, wyceniając drogę na M8+.

Wspinano się także na Słowacji, zwłaszcza pod koniec zimy. Tam bez wątpienia najciekawszym przejściem prawdziwie alpejskiego kalibru było pokonanie przez zespół **Alicja Paszczak, Artur Paszczak i Zbigniew Skierski** ogromnego *Północnego Filara* Zadniej Garajowej Turni, z obejściem kopuły szczytowej. Z uwagi na bardzo trudne warunki w ścianie wspinaczka trwała 12 godzin, a całe przejście „od drzwi do drzwi" blisko dobę. Ta prawie 800-metrowa, położona w Murze Hrubego ściana jest jedną z najwyższych w Tatrach. Alicja była najprawdopodobniej drugą Polką wspinającą się w rejonie Muru o tej porze roku. Poprzednie udokumentowane przejście polskiego zespołu mieszanego miało w tym rejonie miejsce w 1961 roku, na dodatek poza kalendarzową zimą.

Pod koniec marca w Tatrach zawitała wiosna, kończąc tym samym kalendarzową zimę odwilżą przy pięknej, słonecznej pogodzie.

Na koniec słowo o kryteriach wyboru dróg do poniższego zestawienia. Pragnę wyjaśnić wszystkim czytelnikom, że jest ono zupełnie arbitralne i subiektywne. Pomijając oczywistą niemożliwość zebrania informacji o wszystkich dokonanych przejściach, wobec tych, do których udało mi się dotrzeć, nie podejmuję się wprowadzenia jakiegoś ścisłego, precyzyjnego klucza wartościującego. Ciężko o taki klucz w taternictwie, zwłaszcza zimowym, wiadomo bowiem, że ściana ścianie nierówna, cyfra cyfrze, warun warunowi. Jest to zatem wybór dróg w moim mniemaniu ciekawych, przy czym za takie uznaję drogi trudne, długie, bądź na rzadko odwiedzanych ścianach oraz drogi położone w Tatrach Słowackich. A najlepiej posiadające wszystkie te przymioty naraz. Jednak ciągle jest to tylko moje widzimisię. Mam zatem nadzieję, że będzie ono zgodne z opinią większości czytelników, a wszystkich wspinaczy, których przejścia nie znalazły się poniżej, a z jakiegokolwiek powodu powinny, z góry proszę o wybaczenie. ■

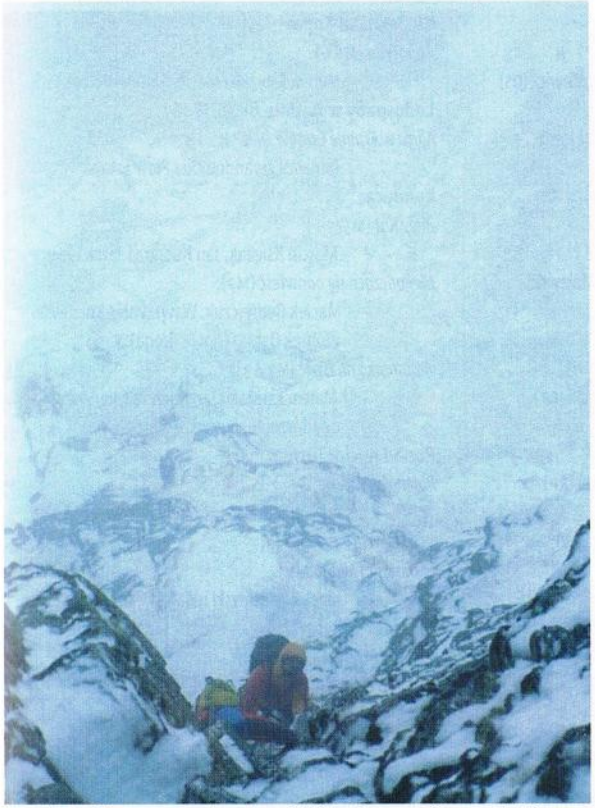

Łomnica. Pierwszy wyciąg drogi *Niekończąca się opowieść*. Fot.: arch. Maciek Bedrejczuk.

Wybrane przejścia sezonu zimowego 2012:

POLSKA:

Kazalnica Mięguszowiecka:

Diretissima (M8+);
Marcin Księżak i Jan Kuczera (pierwsze przejście zimowo-klasyczne)

Droga Długosza (M6 A1);
Krzysiek Korn i Piotr Sułowski

Droga na Hell (M7+);
Marcin Księżak i Jan Kuczera (OS)

Łapiński-Paszucha (M7+);
Jacek Czech senior i Jacek Czech junior
Michał Kasprowicz i Wojtek Ryczer
Krzysiek Banasik i Marcin Wernik
Krzysiek Korn i Piotr Sułowski
Tomasz Klimczak i Maciej Ostrowski (V+ A0)

Kocioł Kazalnicy i Grzęda MSC:

Dag (M8+):
Maciek Bedrejczuk i Wawrzyniec Kozłowski (RP)

Długosz-Popko (M6+/M7–):
Ilona Gawęda i Joanna Klimas (RP)
Waldemar Kwiatkowski i Piotr Sienkiewicz (OS)
Innominata (M8):
Maciek Bedrejczuk, Tomek Ostasz i Józef Soszyński (RP)
Jan Kuczera i Rafał Pietrasiak (OS)
Orzeł z Epiru (M7–):
Ilona Gawęda i Joanna Klimas (OS)
Waldemar Kwiatkowski, Wojtek Malawski i Mariusz Mucha (RP)
Krzysiek Korn i Piotr Sułowski
Parada Jedynek (M7):
Alek Barszczewski i Rafał Burczyński (RP)
Krzysztof Korn i Piotr Sułowski , 3.02 h
Sprężyna (M7+):
Przemek Cholewa i Józef Soszyński (RP)
Uskok Laborantów (M8–):
Artur Małek i Artur Szachniewicz (OS)
Welcome to Jamaica (M8–):
Maciek Bedrejczuk, Wawrzyniec Kozłowski i Tomek Ostasz (OS, nowa droga)

Mięguszowiecki Szczyt Wielki:
Droga Sokołowskiego (V):
Marcin Księżak (solo)
Północno-wschodni Filar (V):
Rafał Pietrasiak i Tomasz Szpor
Tadek Grzegorzewski i Paweł Jachymiak
Jan Muskat i Jacek Jania
Szare Zacięcie (M7/7+):
Alek Barszczewski i Jacek Kierzkowski
Maciek Bedrejczuk, Wawrzyniec Kozłowski i Tomek Ostasz
Waldemar Kwiatkowski, Wojtek Malawski i Mariusz Mucha

Żabia Turnia Mięguszowiecka:
Filar Grońskiego (M5):
Waldemar Kwiatkowski i Piotr Sienkiewicz (OS)

SŁOWACJA:

Jaworowy Szczyt:
Komin Stanisławskiego (M5/5+):
Paweł Kopta, Adam Pieprzycki i Robert Rokowski

Kieżmarska Kopa:
Atlantyda (M6+):
Marcin Księżak i Maciek Ostrowski (OS)

Lodospady w Dolinie Białej Wody:
Alicja w Krainie Czarów (M9–):
Tomasz Lewandowski i Piotr Sztaba

Łomnica:
Biely Kut (M5/5+):
Marcin Księżak, Jan Kuczera i Jarek Liwacz
Niekończąca się opowieść (M7):
Maciek Bedrejczuk, Wawrzyniec Kozłowski i Tomek Ostasz (nowa droga)
Vzpomínka na Eiger (M7 A3):
Marcin Księżak i Jan Kuczera (pierwsze powtórzenie, pierwsze zimowe)

Ponad Kocioł Turnia:
Palenicek (IV+):
Adam Pieprzycki i Robert Rokowski

Pośrednia Kończysta:
Zachodnim Filarem (V):
Jacek Kierzkowski i Marcin Osipiak (OS)
Robert Nejman i Radek Kołodziński (OS)

Szatan (Galeria):
Magicka Linia (V+ A3):
Maciej Janczar i Tomasz Klimczak
Popradska Cesta (M6–):
Jacek Kierzkowski i Marcin Osipiak (OS)

Zadnia Baszta:
Lewy Filar (V–):
Marek Grądzki i Mateusz Zabłocki (OS)
Lewa depresja (V+):
Artur Paszczak i Zbyszek Skierski
Galfy-Urbanovic (V+ A0):
Artur Paszczak i Zbyszek Skierski
Maciek Janczar i Tomasz Klimczak
Prawy Filar Droga Zamkovskego (V):
Robert Nejman i Radek Kołodziński (OS)

Zadnia Garajowa Turnia:
Północnym filarem (V+, A0) 10 h:
Alicja Paszczak, Artur Paszczak i Zbigniew Skierski (z obejściem kopuły szczytowej)

fot: Jan Żurawski, MASTER TOPO 2003

Drogi na ścianie Kotła Kazalnicy i Kotła MSC: 1. Cień Wielkiej Góry M6-, 2. Długosz-Popko M6+, 3. Orzeł z Epiru M6+, 4. Parada Jedynek M7-, 5. Innominata M8-, 6. Uskok Laborantów M7+, 7. Siwy Dym V+ A2+/3, 8. Hobrzański-Sułowski M6- A0 (war. 8a. M8-), 9. Stefko-Szmeja M6+ A2+, 10. Samba z Blokami IV A2+/3, 11. Polak w Kosmosie M8 V+ A2, K1. Welcome to Jamaica M8, 12 Sprężyna M7, 13. Alfabet V A1, 14. Superściek V A2, 90 stopni.

Fot.: Jan Żurawski. Opracowanie: Artur Paszczak.

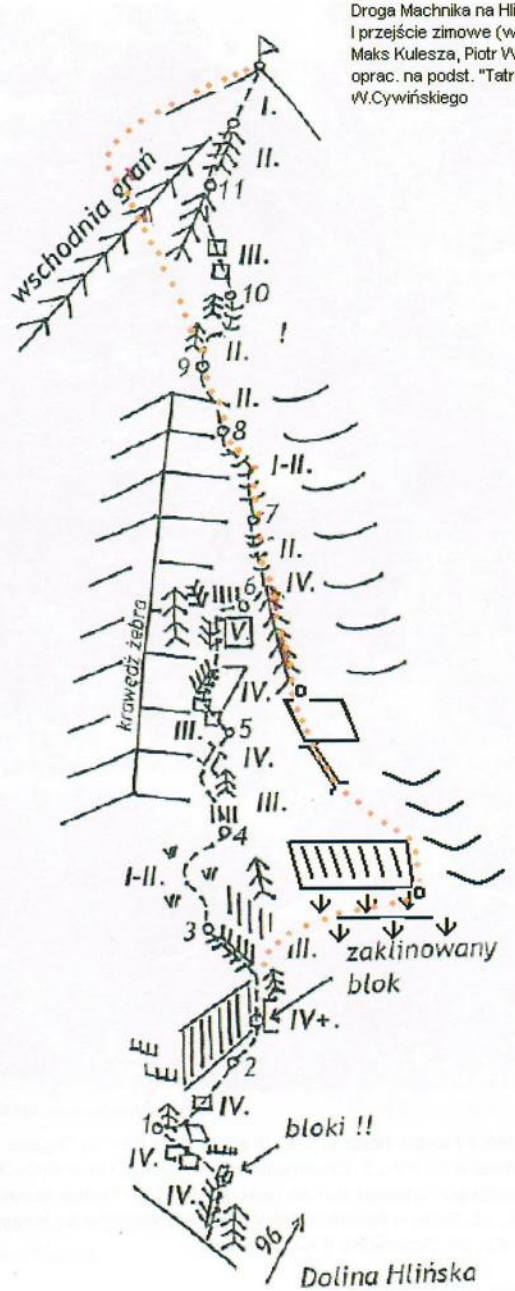

OBÓZ ZIMOWY KW 2012 – DOL. MIĘGUSZOWIECKA

(wykaz przejść zakończonych sukcesem)

oprac. Mariusz Wilanowski

Galeria Szatana

Magicka Linia V+ A3; Tomasz Klimczak, Maciek Janczar 7 h (czwarty wyciąg klasycznie do okapu)

Popradska cesta M6; Jacek Kierzkowski, Marcin Osipiak

Hińczowa Turnia

droga nieznana; Andrzej Machnik, Aldona Drabik 7.3.2012

Hlińska Turnia

Droga Machnika (pn. ściana) V; Maksymilian Kulesza, Piotr Wolski 9.3.2012 – prawdopodobnie pierwsze przejście zimowe z nowymi wariantami (szczegóły na schemacie w bieżącym numerze)

Koprowy Wierch

Żlebem Szczepańskich; Andrzej Machnik, Michał Hyla 5.3.2012

Kozia Strażnica

Zachodnią ścianą IV/V; Jacek Kierzkowski, Maciek Figat, Wojtek Nowicki

Żebrem Skłodowskiego; Andrzej Machnik, Grzegorz Chyl, Andrzej Lemieszek, Paweł Siłaczuk 16.3.2012

Mała Koprowa Turnia

Wschodnią ścianą III; Artur Paszczak, Zbigniew Skierski

Osterwa

Droga Bucka (dół IV+, góra II); Wojciech Grochowski, Piotr Wójcik, Maciej Bryński 5.3.2012

Droga KW IV; Wojciech Grochowski, Maciej Łojkowski 11.3.2012
Andrzej Machnik, Grzegorz Chyl, Andrzej Lemieszek, Paweł Siłaczuk 14.3.2012
Tomasz Klimczak, Maciek Janczar, Dominika Winczura

Droga Slimaka (zacięciem prostującym IV+/V–); Wojciech Grochowski, Maciej Łojkowski, 6 h, 13.3.2012
Ewa Warzywoda, Adam Bielewicz 10.3.2012
Wacław Harchut, Kacper Gronkiewicz

Lewe Żebro III; Róża Paszkowska, Maciek Bryński 7.3.2012
Grzegorz Mróz, Dominik Cysewski, Grzegorz Słaby, Jarek Kardasz

Pln.-zach. żlebem II; Andrzej Machnik, Michał Hyla, Mikołaj Pokrowski 4.3.2012

Wielkie Zacięcie (III, m-ce IV+); Wojciech Grochowski, Piotr Wójcik 7.3.2012
Sebastian Worożbit, Jacek Zakrzewski 24.3.2012
Ewa Warzywoda, Adam Bielewicz 5.3.2012
Jacek Kierzkowski, Wojtek Nowicki
Andrzej Kowalik, Michał Różycki
Tomasz Klimczak, Maciek Janczar, Dawid Osiecki
Wacław Harchut, Marcin Chmieliński

Pośrednia Kończysta

Filar IV/V, 550m; Jacek Kierzkowski, Marcin Osipiak

Zachodnim Filarem Dziurawej Turniczki 500 m V; Robert Nejman i Radek Kołodziński 8 h (wejście na szczyt tylko DT, bez szczytu Pośr. Kończystej)

Zbyszek Skierski w ścianie Zadniej Baszty.
Fot.: A. Paszczak.

Tępa

Banan IV; Justyna Florczak, Olga Czarkowska
Sebastian Worożbit, Jacek Zakrzewski 20.3.2012
Grzegorz Mróz, Dominik Cysewski, Grzegorz Słaby, Jarek Kardasz

Easy Like Sunday Morning V; Wojciech Grochowski, Maciej Łojkowski, 8 h 15.3.2012
Ewa Warzywoda, Adam Bielewicz 7.3.2012
Justyna Florczak, Dorota Kopek
Marek Grądzki, Mateusz Zabłocki
Wacław Harchut, Kacper Gronkiewicz

Filarek Muminków II-III, m-ce IV; Wojciech Grochowski, Róża Paszkowska, 5,5 h 8.3.2012
Sebastian Worożbit, Jacek Zakrzewski 22.3.2012
Andrzej Kowalik, Sławek Bogusławski
Ewa Warzywoda, Adam Bielewicz 6.3.2012
Grzegorz Mróz, Maciek Figat, Dominik Cysewski

Filar Tivadara IV; Ewa Warzywoda, Adam Bielewicz 4.3.2012

Król Passodoble V; Ewa Warzywoda, Adam Bielewicz 8.3.2012
Marek Grądzki, Mateusz Zabłocki

Pierwsze żebro II (wariant za IV–); Dorota Kopek, Olga Czarkowska

Tupa Fiesta IV; Jacek Kierzkowski, Maciek Figat, Wojtek Nowicki, Paweł Majkut

Żebro Puskasa (III-IV); Wojciech Grochowski, Piotr Wójcik, 7 h 9.3.2012
Andrzej Kowalik, Sławek Bogusławski
Ewa Warzywoda, Adam Bielewicz 12.3.2012
Róża Paszkowska, Maciek Bryński 9.3.2012
Wacław Harchut, Kacper Gronkiewicz

Żebro Galfy'ego (III-IV); Wojciech Grochowski, Maciej Bryński, 6,5 h 6.3.2012
Andrzej Kowalik, Michał Różycki
Wacław Harchut, Kacper Gronkiewicz

Zadnia Baszta

Lewa depresja V+; Artur Paszczak, Zbigniew Skierski 6 h

Lewy Filar V–; Marek Grądzki, Mateusz Zabłocki 7 h

Środkowy filar (*Galfy-Urbanovic*) V+ A0; Artur Paszczak, Zbigniew Skierski 6,5 h
Tomasz Klimczak, Maciek Janczar 10 h

Prawy Filar (*Droga Zamkovskego*) 500 m V; Robert Nejman i Radek Kołodziński 10 h

Zadnia Garajowa Turnia

Północny Filar z wyjściem na Bednarzową Ławkę (WC 132 i 131) V+ A0; Artur Paszczak, Zbigniew Skierski, Alicja Paszczak
10 h 10. 3.2012 (prawdopodobnie drugie zimowe polskie przejście kobiece w Murze Hrubego dla Alicji)

Złomiska Turnia

Droga Żuławskich IV; Jacek Kierzkowski, Maciek Figat, Wojtek Nowicki, Paweł Majkut
Grzegorz Mróz, Dominik Cysewski, Grzegorz Słaby, Jarek Kardasz
Andrzej Machnik, Grzegorz Chyl, Andrzej Lemieszek, Paweł Siłaczuk 13.3.2012

Paweł Hałdaś na trawersie pod Wielkim Okapem na naszej nowej kombinacji *Sen o Victorii*. Fot.: Krzysztof Miler.

Mariusz Wilanowski, Krzysztof Miler

SEZON LETNI 2012 W TATRACH

Lipiec w naszych Tatrach nie rozpieszczał jeśli chodzi o pogodę, praktycznie codziennie padało, a warunki w ścianach można było określić jednym słowem – „beznadziejne". Nie oznacza to, że nic się nie działo, ale ruch taternicki ograniczał się w zasadzie do niskich i popularnych ścian, jak Mnich i Kopa Spadowa. Wystarczy dodać, że praktycznie przez cały lipiec nie doczekaliśmy się żadnego ciekawego przejścia na Kazalnicy. Mnich, z jego szybko schnącymi ścianami, okazywał się często jedyną sensowną alternatywą dla złaknionych wspinania zespołów.

W tym okresie na uwagę zasługuje przejście na wschodniej ścianie przez zespół **Agnieszka Banaszek, Piotr Xięski i Robert Pallus** dość rzadko powtarzanej kombinacji *Manifest Czystej Siły* VIII łączącej w sobie wariant *Baryła–Stonawski*, pierwszy wyciąg *Łapińskiego*, drugi wyciąg *Międzymiastowej* i zacięcie *Kosińskiego*. Pierwsza wspinaczka na Kazalnicy miała miejsce dopiero 31 lipca za sprawą **Tadka Grzegorzewskiego** i partnera, którzy zmierzyli się z klasykiem prawej Kazalnicy – *Schodami do Nieba* VI+. Parę dni później na Szałasiska zawitał młody zespół będący objawieniem poprzedniego sezonu: **Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś**, i praktycznie z marszu wbili się w ścianę Kazalnicy, obierając za swój cel *Symfonię Klasyczną*. Droga puściła jednak tylko do kluczowego wyciągu na *Momie*, a zespół donosił o kruszyźnie, mokrej skale i słabych stanowiskach.

Po załamaniu pogody, w połowie sierpnia na taborze w Moku pojawiło się sporo wspinaczy i posypały się przejścia. 17 sierpnia **Marcin Tomaszewski** przeszedł samotnie *Filar Kazalnicy* (brak niestety szczegółów odnośnie do stylu przejścia), a zespół **Xięski–Pallus** podjął bardzo zaawansowaną próbę powtórzenia drogi Andrzeja Marcisza i Wojtka Kurtyki *Gacopyrz Now* VIII+, wycofując się po wyjściu z okapu (mokro). Parę dni później na dobre rozkręcił się zespół **Miler–Hałdaś**, dla którego Kazalnica stała się wręcz drugim taborem. Po próbie na *Pająkach* zakończonej wycofem spod kluczowego wyciągu (komentarz z książki wyjść: „Uwaga! Zabierać haki. Stan asekuracji i stanowisk śmiertelny"), ten sam zespół rozprawił się w końcu z *Symfonią Klasyczną* VII+, a dwa dni później (24 sierpnia) w osiem i pół godziny przeszedł nową kombinację *Sen o Victorii* VIII. Autorski opis przejścia zamieszczony w książce wyjść brzmi następująco:

> *Sen o Victorii*. 12 wyciągów, 8,5 h. Start w ścianę Ostrogą, a stąd pierwszymi wyciągami *Wędrówki*. Następnie z Wielkiego Bloku *Wariantem Mixera* do Rozdzielni. Dalej *Wędrówką* i po pierwszym okapiku VIII ok. trawers do stanowiska pod Małym Okapem. Następnie *Filarem* przez Mały Okap, po czym trawers do kluczowego wyciągu *Kantu Filara* i nim oryginalnie VIII–. Dalej wznoszącym trawersem do wiszącego stanowiska od *Filara* (zaklinowany friend fioletowy) i dalej *Filarem* przez Półkę z Zielonym Lustrem na Siodełko.

Dwa dni później Krzysiek przechodzi samotnie w 8 godzin *Filar Kazalnicy* (A0 w WIk. Okapie). Ściana Zerwy jest już na tyle sucha, że ponowne próby pokonania takich dróg jak *Pająki* (**Miler–Hałdaś**) i *Gacopyrz Now* (**Xięski–Pallus–Adrian Chmiała**) kończą się sukcesem. Ciekawym przejściem jest niewątpliwie wspinaczka zespołu **Myśliwski–Kacper Tekieli**, którzy wspinaczkę *Schodami do Nieba* VI+ kończą na szczycie MSC. Do dawnej tradycji nocnych wyścigów na Zerwie nawiązuje też wspinaczka zespołu **Miler–Hałdaś–Michał Górecki**, którzy w nocy z 31 sierpnia na 1 września przeszli w 5 godzin 40 minut Warianty Malczyka VI+. 9 września **Piotrek Xięski i Robert Pallus**, jako czwarty zespół przechodzą klasycznie na Kazalnicy *Filar* IX+. Jest to kolejna trudna droga na Zerwie pokonana przez ten zespół.

Dzień później **Paweł Kopta i Adam Pieprzycki** popisali się bardzo dobrym przejściem *on-sight* na *Gacopyrz Now*. 11 września na Zerwie przybyła kolejna kombinacja *Piękny Umysł* VII. Jej autorzy **Andrzej Marcisz i Artur Kozak** przedłużyli kombinację *Zaczadzony Umysł* (*Wędrówka Dusz* + *Filar Kazalnicy*) o 140 metrów wspinania na Świecznik Kazalnicy na lewo od linii *Wędrówki Dusz*. Ostatnim naprawdę mocnym akcentem, kto wie, czy nie najlepszym przejściem całego sezonu letniego w Tatrach, było trzecie przejście w ogóle, a pierwsze polskie *Wędrówki Dusz* IX+ na Kazalnicy. Dokonał tego nie kto inny, tylko zespół **Piotr Xięski i Robert Pallus** w 15 godzin w dniu 6 października.

Na Słowacji działał bardzo aktywny eksploratorsko w ostatnich sezonach **Marek Pronobis**, który w tym sezonie samotnie lub z partnerami wytyczył kolejne cztery nowe drogi. Więcej o drogach Marka i ścianach, na których powstały nowości w oddzielnym materiale przygotowanym przez Marka dla A/ZERO.

Podziękowania dla Kacpra Gradonia za materiały, dzięki którym mogło powstać niniejsze opracowanie. ■

Wykaz ciekawszych przejść:

POLSKA:

Kazalnica Mięguszowiecka:

Filar IX+; Piotr Xięski i Robert Pallus (9.9.2012), czwarte przejście klasyczne tej drogi
Adam Pieprzycki i Ł. Migiel
Marcin Tomaszewski (19.8.2012), samotnie w 6h, A0
Krzysztof Miler (26.8.2012), samotnie w 8h RP, A0 na WO

Gacopyrz Now VIII+; Piotr Xięski, Robert Pallus i Adrian Chmiała (29.8.2012) RP
Bartek Sokołowski i Grzegorz Kletschka (9.9.2012), RP
Adam Pieprzycki i Paweł Kopta (10.9.2012), pierwsze przejście drogi OS

Kant Filara VIII; C. Klus i Bartek Sokołowski (16.9.2012), RP wariantem oryginalnym

Pająki VII+; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś (30.8.2012), RP w 7,5 h

Piękny Umysł VII; Andrzej Marcisz i A. Kozak (11.9.2012), nowa kombinacja *Zaczadzony Umysł* + przedłużenie o wejście na Świecznik

Schody do Nieba VI+; Tadek Grzegorzewski + 1 os. (31.7.2012)
P. Pająk i W. Buchta (19.8.2012)
K. Duda i Piotr Poloczek (21.8.2012)
Myśliwski i Kacper Tekieli (31.8.2012) z wejściem na MSC
Robert Rokowski + 2 os. (31.8.2012)
Adam Pieprzycki + 2 os. (31.8.2012)
P. Kos i Ł. Duchnowski (2.9.2012)
Klaudia Tasz i Ewelina Zwijacz-Kozica (11.9.2012)

Sen o Victorii VIII; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś (24.8.2012) – nowa kombinacja łącząca *Wędrówkę Dusz*, *Wariant Miksera*, *Filar* i *Kant Filara*. Łącznie 12 wyciągów w 8,5 godz.

Symfonia Klasyczna VII+; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś (22.8.2012) RP/OS w 8 h 15 min

Warianty Malczyka VI+; Krzysztof Miler, Paweł Hałdaś i Michał Górecki (1.9.2012), przejście nocne RP w 5 h 40 min
M. Pudo i M. Lelito (10.9.2012)
M. Kacprzyk i J. Skiba (10.9.2012)

Warianty Małolata VI+; T. Nowak i Sz. Jarek (22.8.2012)
Piotr Xięski, M. Seweryn i M. Szmajda (31.8.2012)
Ł. Kowalczyk + tow. (5.9.2012)
J. Widera i P. Grela (10.9.2012)
kombinacją Wędrówki Małolata (start Ostrogą + Warianty Małolata)
M. Szymczak i P. Różecki (16.9.2012)

Wędrówka Dusz IX+; Piotr Xięski i Robert Pallus (6.10.2012), trzecie przejście w ogóle i pierwsze polskie, czas 15 h

Zaczadzony Umysł VII; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś (7.8.2012), RP 8,5 h

Mnich

American Beauty VIII+; Rafał Mikler i Andrzej Mikler (30.6.2012), OS
Maciek Ciesielski + 1 os. (24.7.2012), OS
J. Marciniak i M. Gromadzka (19.8.2012)

Fereński VII; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś (2.8.2012), RP

Florecistka z Hotelu Adalbert VIII–; Robert Pallus, Michał Szczepankiewicz i K. Modliszewski (1.8.2012) L1,3,4 OS; L2 RP

Folwark Montano VIII+; Krzysztof Miler i T. Pionka (24.7.2012) L1 RP, reszta OS
Agnieszka Banaszek i Robert Pallus (29.7.2012), OS

Hobrzański VII–; Agnieszka Banaszek, Piotr Xięski i Robert Pallus (30.6.2012), OS
Paweł Hałdaś, Krzysztof Miler i T. Pionka (1.8.2012), RP
M. Górecki + 1 os. (25.8.2012), OS

Kosiński VII; M. Górecki + 1 os. (25.8.2012), OS
Paweł Hałdaś i Krzysztof Miler (1.8.2012), RP

Manifest Czystej Siły VIII; Agnieszka Banaszek, Piotr Xięski i Robert Pallus (30.6.2012), L1,2 i 4 OS, L3 RP

Międzymiastowa VI+; Krzysztof Miler (4.9.2012) bez asekuracji

Rokokowa Kokota IX+; M. Szczepanik i Robert Pallus (31.7.2012), RP
Łukasz Wolf i Eliza Kubarska

Superata Młodości IX–; Agnieszka Banaszek i Grzegorz Poprawa (7.7.2012), L1 Flash, L2 i L3 RP
Adrian Jurecki i Łukasz Dębowski (11.7.2012), RP
Robert Pallus i Michał Szczepankiewicz (1.8.2012), L1, L2 OS; L3 RP
Łukasz Wolf i Eliza Kubarska

Wachowicz VIII; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś (6.8.2012), RP

Wariant R IX–; Łukasz Wolf i Eliza Kubarska (1.9.2012), RP

SŁOWACJA:

Ściana pod limbą (z Dol. Młynickiej)

Longissima IV A1, A2; Marek Pronobis (24.6.2012) nowa droga

Zadnia Liptowska Turnia (z Dol. Furkotnej)

Divertimento IV, A1; Marek Pronobis (8.8.2012) nowa droga

Trio VI; Andrzej Pronobis, Marianna Madry i Marek Pronobis (20.8.2012) nowa droga

Skrajna Soliskowa Turnia (z Dol. Furkotnej)

Szalony Koń IV, A1; Marek Pronobis (10.9.2012) nowa droga

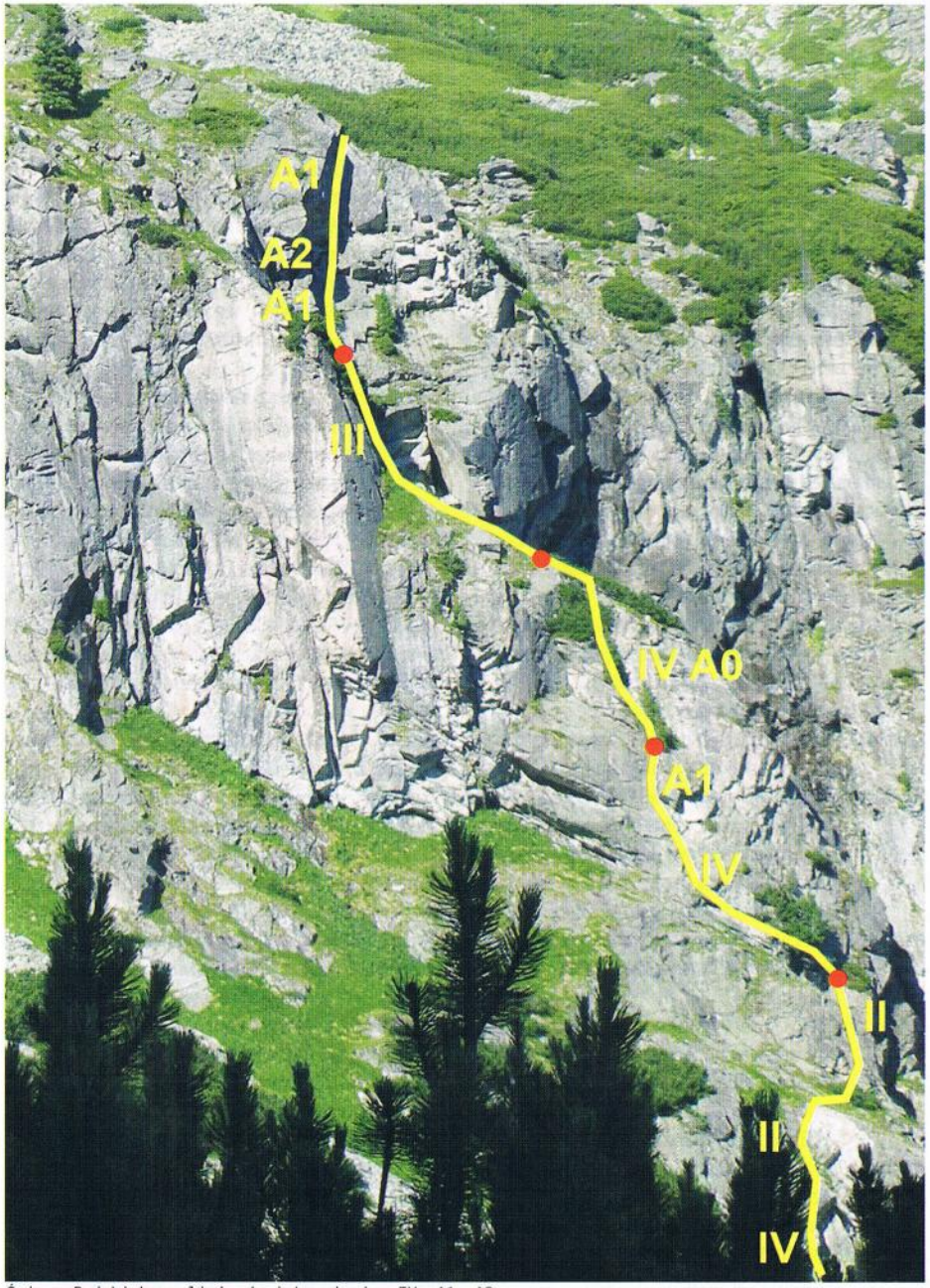

Ściana Pod Limbą – linia drgi *Longissima* IV, A1, A2.

Ściana przed Skokiem i Ściana pod limbą
Marek Pronobis

W zachodnich urwiskach Skrajnej Baszty wyróżniano dotąd dwie formacje: Turnię i Ścianę przed Skokiem (WC 15, BJ*). Wspinając się latem 2010 na Ścianie przed Skokiem zobaczyłem, że po prawej jest jeszcze jedna „nieużywana" dotąd ściana, będąca kontynuacją Ściany przed Skokiem w kierunku południowym, ale oddzieloną od niej szerokim żlebem, którym można zejść do doliny. Jej maksymalna wysokość sięga 120 m, a szerokość – ok. 300 m. Na ścianie tej nie było wówczas żadnej drogi, a ona sama nie dorobiła się nazwy.

W ostatnich dwóch latach udało mi się zrobić na niej dwie drogi, a propozycja, żeby ją nazwać „Ściana pod limbą", przyjęła się i figuruje już w opisach (T. 3/2010, Horolezec 6/2010, Montana 1/2012, www.tatry.nfo.sk). Sama limba jest niezwykle charakterystyczna i doskonale widoczna ze ścieżki.

Ściana jest pięknie skrzesana i ma parę okapów o wysięgu kilku metrów. Skała jest dobra, a położenie poniżej rozległego zbocza Skrajnej Baszty powoduje, że na wklęsłych formacjach tworzą się zimą duże lodospady.

Podejście zimą jest znacznie krótsze niż latem, ponieważ da się iść po przysypanych polach kosówki. Latem trzeba iść prawie pod Skok i trawersować z powrotem piargami pod ścianę. Do tej pory na Ścianie przed Skokiem i Ścianie pod limbą powstało pięć dróg oznaczonych numerami na zdjęciu:

Dzień Świstaka (trudności IV, 2h, Marek Pronobis, 12 sierpnia 2010 – T. 3/2010)
Atak Motyli (trudności VI, 1,5 h, Andrzej i Marek Pronobis, Grzegorz Bębenek 14 lipca 2011 – T.2–3/2011)
Dzień Żaby (trudności IV, 2 p. A1, 1,5 h, Marek Pronobis, 26 czerwca 2011 – T.2–3/2011)
Droga na Limbę (trudności IV, A2, 4 h, Marek Pronobis, 14 września 2010 – T. 3/2010).
Longissima, która jest to próbą znalezienia najdłuższej drogi na tej ścianie (trudności IV, A1, A2, 4 h, Marek Pronobis, 24 czerwca 2012 – T. 3/2012).

Łącznie obie te niezbyt wysokie, ale bardzo oryginalne ściany stanowią doskonały ogródek wspinaczkowy zawierający aktualnie ok. 30 dróg (wliczając sąsiednią Turnię przed Skokiem), z bliskim podejściem. Rozdzielający je żleb pozwala szybko zejść do doliny, dzięki czemu można w ciągu dnia zrobić kilka dróg.

Jeszcze może uwaga dotycząca stopnia trudności w opisach. Ponieważ z przyczyn losowych muszę się wspinać w skorupach także latem (a poza tym dawno przestałem być młody), to drogi solowe mają trudności najwyżej IV – potem muszę już haczyć. Jedynie kiedy wspinam się z bardziej sprawnymi partnerami, to pojawiają się trudności wyższe. Natomiast prawdopodobnie wszystkie odcinki hakowe na moich solówkach da się odhaczyć. ■

* Bobovčák – Jacina – Vyber Tatranskych Stien 2010

Zadnia Liptowska Turnia (Liptovsky Chrbat) z Doliny Furkotnej

Zadnia Liptowska Turnia znajduje się na prawo, tj. na północ, od swej większej sąsiadki – Skrajnej Liptowskiej Turni. Wysokość ściany ok. 130 m.

Linia żółta – *Divertimento*, Marek Pronobis, 8 sierpnia 2012. Trudności IV, A1, 2,5 h.

Droga prowadzi ścianą przewieszonej turni na lewo od żlebu, którym idą drogi AP 30 i 31. Linia przerywana – odcinek niewidoczny na zdjęciu. Stanowiska odpowiadają linie o długości 30 m.

Linia zielona – *Trio*, Andrzej Pronobis, Marianna Madry i Marek Pronobis, 20 sierpnia 2012. Trudności VI, 2,5 h.

Droga prowadzi filarem na prawo od żlebu. Stanowiska odpowiadają linie o długości 45 m.

Po oczyszczeniu z ruchomych bloków w czasie pierwszego przejścia obie drogi oferują ładne wspinanie w dobrej skale. ■

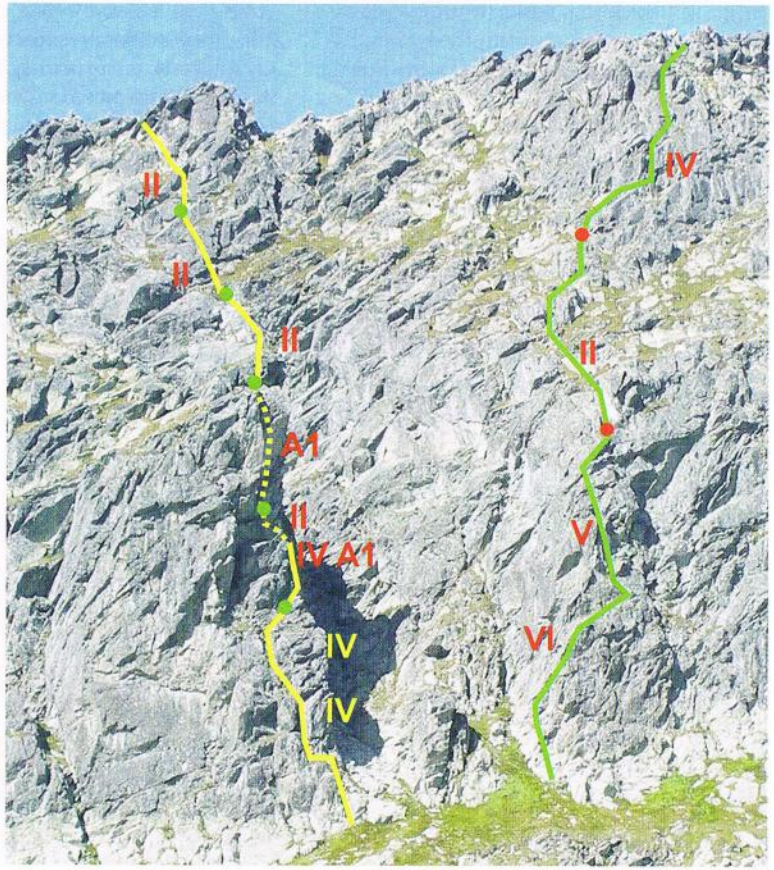

Skrajna Soliskowa Turnia (z Dol. Furkotnej)

Szalony Koń Marek Pronobis, 10.09.2012. Trudności IV, A1, 3 h.

Droga prowadzi środkowym filarem górnej części ściany i oferuje przyjemne wspinanie w dobrej skale. Stanowiska odpowiadają linie o długości 30 m.

A ten Szalony Koń dlatego, że na trzecim wyciągu od końca jest piękny koń skalny zakończony pionową ścianką. ■

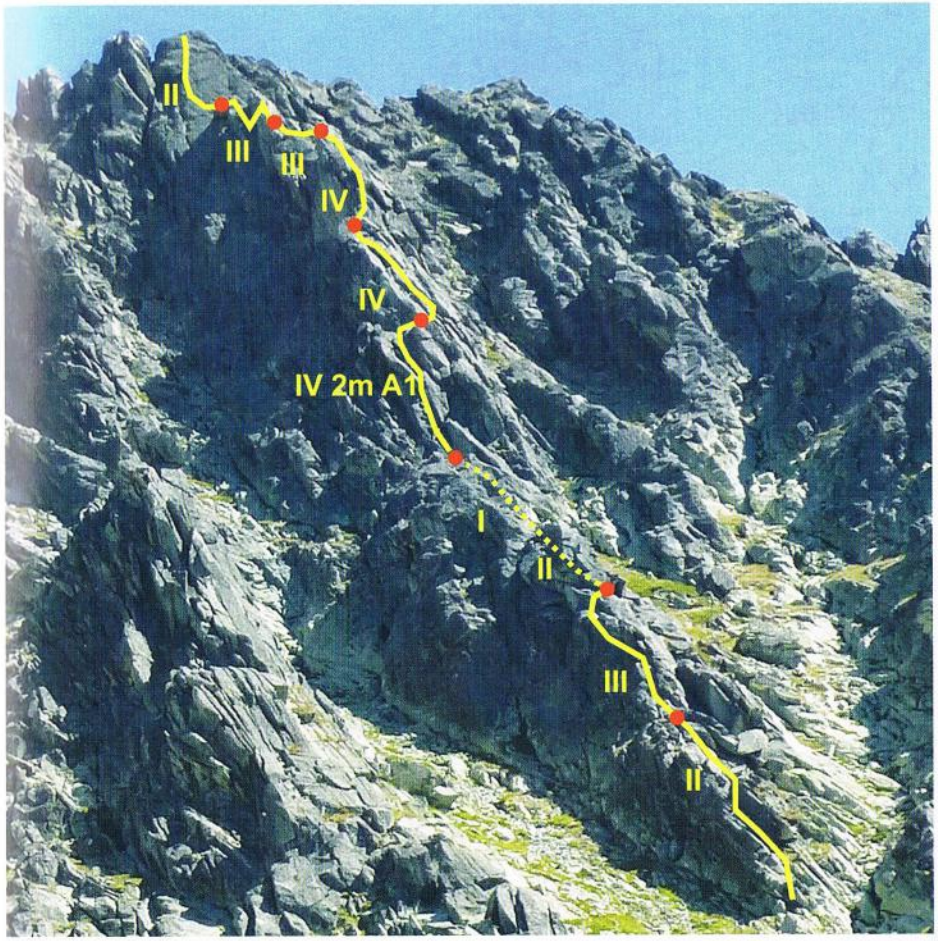

TOPO

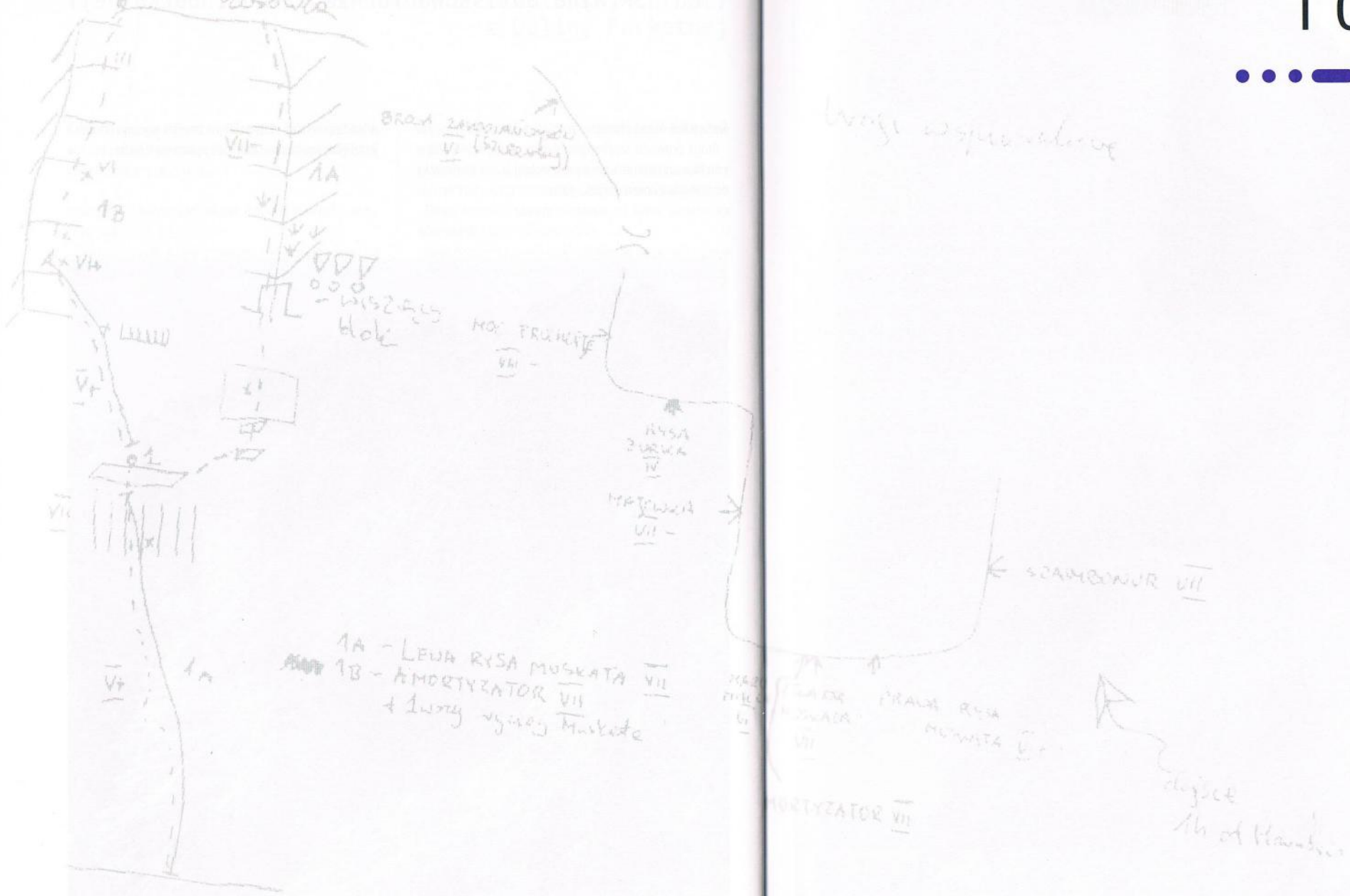

Wyjściowe zacięcie, drugi wyciąg, wspina się Adam. Fot.: A. Paszczak.

Uzupełnienie do topo Galerii Gankowej Drogi *Pająków* i *Studnički*

Oprac. Artur Paszczak

Lewe Pająki

Kontynuując „rozpracowywanie" Galerii, przeszliśmy wspólnie z Adamem Pieprzyckim bardzo rzadko powtarzaną *drogę Pająków*, *Lewe Pająki* (*Prawymi Pająkami* nazywa się niekiedy *Drogę Pochylego*). Nie wiedzieliśmy czego się spodziewać, jednak droga okazała się być piękną wspinaczką i taką samą przygodą. Oczywiście najbardziej spektakularne, jak zresztą w przypadku większości dróg na Galerii, okazało się być wielkie wyjściowe zacięcie, a szczególnie jego pierwszy wyciąg. Te uczciwe 40 metrów wytężającej wspinaczki w stopniu VI+, w zasadzie bez stałych przelotów, z asekuracją wymagającą lekkiego naprężenia przy zakładaniu – obaj odczuliśmy raczej w granicach VII–, a to ze względu na ciąg. Całość drogi zajęła nam ok. 4,5 godziny dostarczając naprawdę dużej przyjemności. Bardzo polecam

Wybór dróg na Galerii Gankowej: 1. Centralny Filar VII, 2. Orłowski VI, 3. Centralne Zacięcie IX-, 4. Studnička VI+/VII-, 5. Wariant Kiełkowskiego, 6. Komin Łapińskiego-Paszuchy VII- (lub wprost VIII-), 7. Zacięcie w Czarnej Płycie VI+, 8. Lewe Pająki VI+/VII- (widoczne od połowy drugiego wyciągu, widok zasłania żebro od drogi klasycznej.

topo A. Paszczak

Droga Pająków
tzw. Lewe Pająki
VI+/VII-
P.Dieška, O. i P.Pochylý,
J.Zrůst 30.8.1967
2 p. M.Grochowski,
K.J.Rusiecki, 26.6.1969

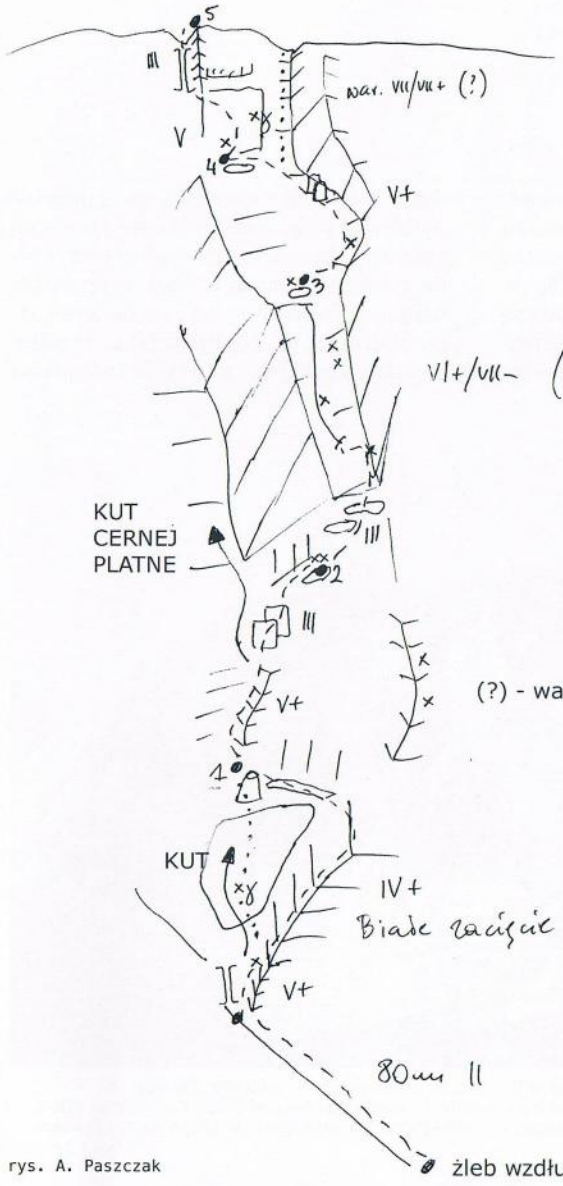

(?) - wariant wprost

żleb wzdłuż drogi klasycznej

rys. A. Paszczak

Galeria Gankowa
Studnička
VI+, 5.5 h

wg przejścia Paszczak-Skierski
01.10.2011, w dość suchych warunkach,
błoto i woda w wyjściowym zacięciu,
słaba asekuracja

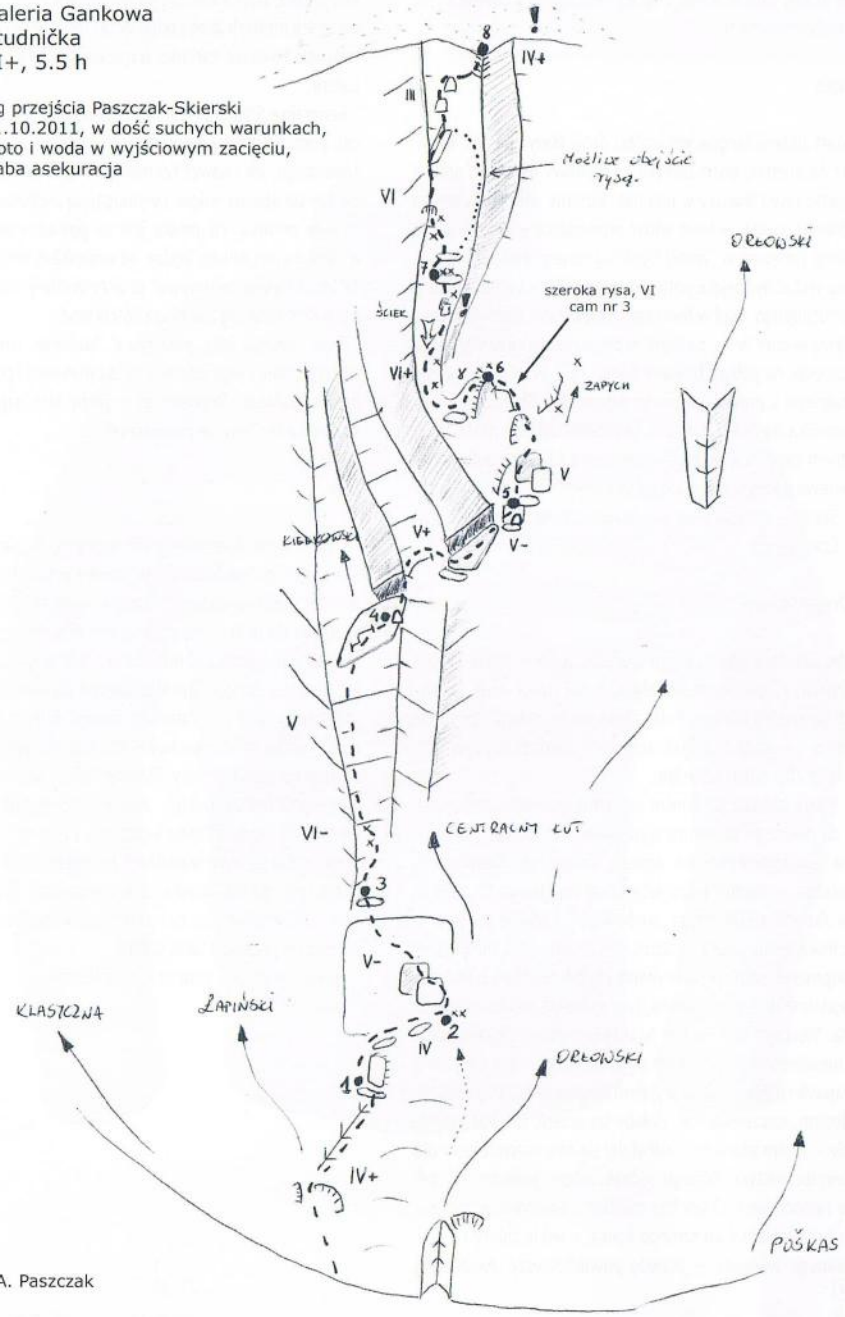

rys A. Paszczak

tę drogę, choć oczywiście raczej tym, którzy z Galerią są już trochę zapoznani.

Opis

Start żlebem biegnącym wzdłuż drogi klasycznej, ok. 80 m, aż do miejsca, gdzie zamyka go pionowy uskok. Po prawej widać rysę i tkwiący w niej hak. Idziemy wprost i w prawo dnem zacięcia (w lewo widać prowadzące w płytę haki od drogi *Zacięciem w Czarnej Płycie*) aż do jego końca. Nad głową widać dyndające pętle od (prawdopodobnie) wariantu prostującego. Stąd w lewo pod potrzaskane, pionowe skały. Teraz w górę (V+), po czym w prawo w kierunku wielkiego zacięcia, na półkę z blokami u jego stóp. W górę zacięciem, najpierw z prawej, potem środkiem, do półwiszącego stanowiska na małej półeczce (przydatne własne haki). Dalej dnem zacięcia w pięknej wspinaczce na kolejną półkę, skąd w lewo do wyjściowego kominka.

Sprzęt – standardowy, warto zabrać kilka haków
Czas: 4–6 h

Droga Studnički

We wrześniu ubiegłego roku udało mi się wreszcie przejść *Studniczkę*. Tym razem nie lały się z niej strugi wody, jak ma to zazwyczaj miejsce, i choć było bardzo zimno (zaledwie ok. 4–5 stopni), to jednak szczęśliwie pokonaliśmy ją wspólnie ze Zbyszkiem Skierskim.

Droga okazała się bardzo przyjemna, z dobrą asekuracją i do pewnego momentu wydawała się zupełnie przystępna. Dopiero wyjściowe zacięcie dostarczyło niezatartych wrażeń – zupełnie jakby zaczęła się inna droga. Na wejściu w zacięcie ciekła struga „wodo-błota", które w połączeniu z niską temperaturą zasadniczo utrudniło i tak niebanalne wspinanie. Sama płyta w swoim charakterze była bliźniaczo podobna do tej od *Pająków*, tyle że mokra i lekko zagloniona. Sterczące tu i ówdzie haki były zupełnie skorodowane i niewiele warte, cieszyłem się więc, że zabrałem swój mały zapasik (jeden z haków wyjąłem ręką ku swemu wielkiemu, dodam, rozczarowaniu). Dałoby się przejść to i bez haków, ale – moim zdaniem – odbyłoby się to z uszczerbkiem dla bezpieczeństwa. Dlatego jednak żelazo polecam (to tak w ramach hasła „Tatry bez młotka"). Trudności w zacięciu trzymają niemal do samego końca, a wiele zależy od wybranego wariantu – prawdę powiedziawszy, ewidentnej linii nie ma, trzeba zdać się na własne wyczucie. Dopiero na ostatnich metrach droga odpuszcza i forsując spektakularne końcowe kominko-zaciątko wyprowadza wreszcie na taras Galerii.

Generalnie *Studnička* jest drogą poważną, w moim odczuciu, pomimo niższej cyfry, ogólnie trudniejszą zarówno od *Łapińskiego*, jak i nawet *Centralnego Filara*, a to ze względu na zawsze obecną wilgoć i wymagającą asekurację na końcowym odcinku. Po prostu jest to poważna wspinaczka, a wiele na niej zależeć będzie od warunków. Przypuszczam, że lepiej byłoby pokonywać ją przy wyższej temperaturze i to nawet licząc się z większą ilością wody.

Tego samego dnia pokonywał *Studniczkę* Janusz Gołąb z przyjaciółmi i jego odczucia co do trudności i powagi były bardzo podobne. Powiem tak – jakby tam napisali VII–, to pewnie też bym nie protestował...

Opis:

Początek nieco nieewidentnym terenem, najpierw wspólnie z *Łapą*, potem odbijając w prawo i przez płytę do góry, do stóp wielkiego zacięcia. Prosto w górę zacięciem (nie iść w prawo do pętli – zapych!) aż otworzy się system półek biegnących w prawo. Nimi w prawo skos w górę, trawersując *Centralne Zacięcie* (spektakularne!) do wielkich bloków. Stamtąd w górę i za załomem mocno w lewo (nie iść do góry – widać pętle zapychowe) do stóp szerokiej rysy, którą w górę na szczyt turnicy. Stamtąd albo poziomy trawers, albo – jeśli bardzo mokro – zejście w dół na półkę i w górę do zacięcia (ogólnie chyba logiczniej). Płytą zacięcia w górę (zapewne w suchych warunkach można też iść dnem – jest dobra rysa) do stanowiska (dość wytężające). Dalej w górę płytą, „już to z lewa, już to z prawa", aż wreszcie łatwiejszym terenem w prawo na taras galerii.

Sprzęt – standard, cam nr 3, kilka haków
Czas: 5–6 h ■

NOWY
WYMIAR
CIEPŁA

yeti®
SZUKAJĄC CIEPŁA

PRODUKTY PUCHOWE
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
WWW.YETI.COM.PL

fb

Mały Kołowy Szczyt, 2276 m
Ściana południowa
Droga Slámy

Oprac. Artur Paszczak

Mały Kołowy Szczyt nie jest zbyt popularnym celem dla polskich wspinaczy, a to ze względu na dość sporą odległość od cywilizacji. W zasadzie jest on dostępny dla osób mieszkających w schronisku nad Zielonym Stawem, albo biwakujących w okolicy, co jest zrozumiałe ze względu na spory tłok panujący latem i trudność z uzyskaniem noclegu.

Jest on częścią wspaniałego muru Jastrzębiej Turni i Kopiniaków, opadającego do Doliny Jastrzębiej ok. 250-metrowym południowym urwiskiem. Urwisko jest całkiem pionowe, „pionu w pionie" na nim nie brakuje, ale skała niestety bywa daleka od doskonałości. Trzeba się z tym liczyć, szczególnie na Małym Kołowym.

Podejście od schroniska jest dość proste. Idziemy najpierw w kierunku wodospadu, a potem grzędą po prawej, wzdłuż łańcuchów, aż w końcu trawersem do Doliny Jastrzębiej. Pod ścianę ok. 1,5 h. Myśmy napierali z samego dołu, podejście zajęło nam ok. 3 h.

Zejście z wierzchołka nie jest skomplikowane. Schodzi się po prostu na drugą stronę, najpierw trochę stromym, potrzaskanym terenem, aż wreszcie w prawo do żlebu, którego prawym orograficznie ograniczeniem do bardzo urokliwej Dol. Jagnięcej. Jagnięca jest ta dolina nie od parady, gdyż grasuje tam spora ilość kozic, które potrafią nawet nagabywać turystów (pamiątek na szczęście jeszcze nie sprzedają). Nie wyglądają na zbyt zalęknione ludzkim towarzystwem i chętnie pozują do zdjęć. My mieliśmy okazję obserwować uroczą scenkę karmienia małych, które dopadły mamę niemal na samej ścieżce.

Południowa Kołowego oferuje wiele dróg, w tym także trudne. Polskie przejście miała *Lewa Depresja* (VII, zespół M. Michałka) i została oceniona jako poważna przygoda. Obserwując ją z dołu nie mieliśmy co do tego wątpliwości. Wyglądała krucho, dość odstręczająco i naprawdę trudno. Zresztą – wszystkie tamtejsze drogi wyglądają z dołu trochę zniechęcająco. Ściana mocno staje dęba, a środkowy pas okapów nie wydaje się dobrze wróżyć. *Droga Motyki*, klasyk ściany, wyczynia jakieś straszne esy-floresy, aby te okapy ominąć, a i tak wydaje się pakować w straszne chęchy i kruszyzny. Nie sprawdziliśmy, więc nie powiemy wam, jak to na niej naprawdę jest.

Pokonaliśmy natomiast *Drogę Slámy*, która okazała się całkiem wymagającą wspinaczką. Co prawda groźniejszą z wyglądu niż w rzeczywistości, ale ten element „odstraszania" jest również składnikiem klasy drogi. Linia śmiało pakuje się w okapy i nawet z odległości pół wyciągu zupełnie nie wiadomo, jakim sposobem pokonuje je za VI+. Trzeba wejść i spróbować, aby potem nie żałować, jak mawiali ojcowie taternictwa, mi tak też my uczyniliśmy. I puściło, aczkolwiek wiszące stanowisko pośrodku przewieszenia dostarczyło nam trochę emocji.

Droga zaczyna się ewidentnie, piękną rysą. Potem wydostaje się na bardzo kruchy taras, z którego najlepiej uciec w prawo. Pnąc się do góry, wchodzimy w płytę, która wydaje się być pozbawiona asekuracji, ale jednak po wejściu w nią udaje się odnaleźć ryski na camy. W przewieszonym zaciątku w środku okapów wypada wspomniane wiszące stanowisko (są stałe haki, ale dość wiekowe – myśmy dobili własne). Trudny start przez przewieszkę wyprowadza do rynny, a ta pod uskok, gdzie łączymy się z *Drogą Motyki*. Ładny wyciąg powyżej wyprowadza w łatwiejszy teren, którym już w parę chwil na wierzchołek.

Widok ze szczytu jest naprawdę imponujący. Warto więc się potrudzić, aby zasiąść na nim z kolegami i spożyć uczciwie zapracowanego batonika. ■

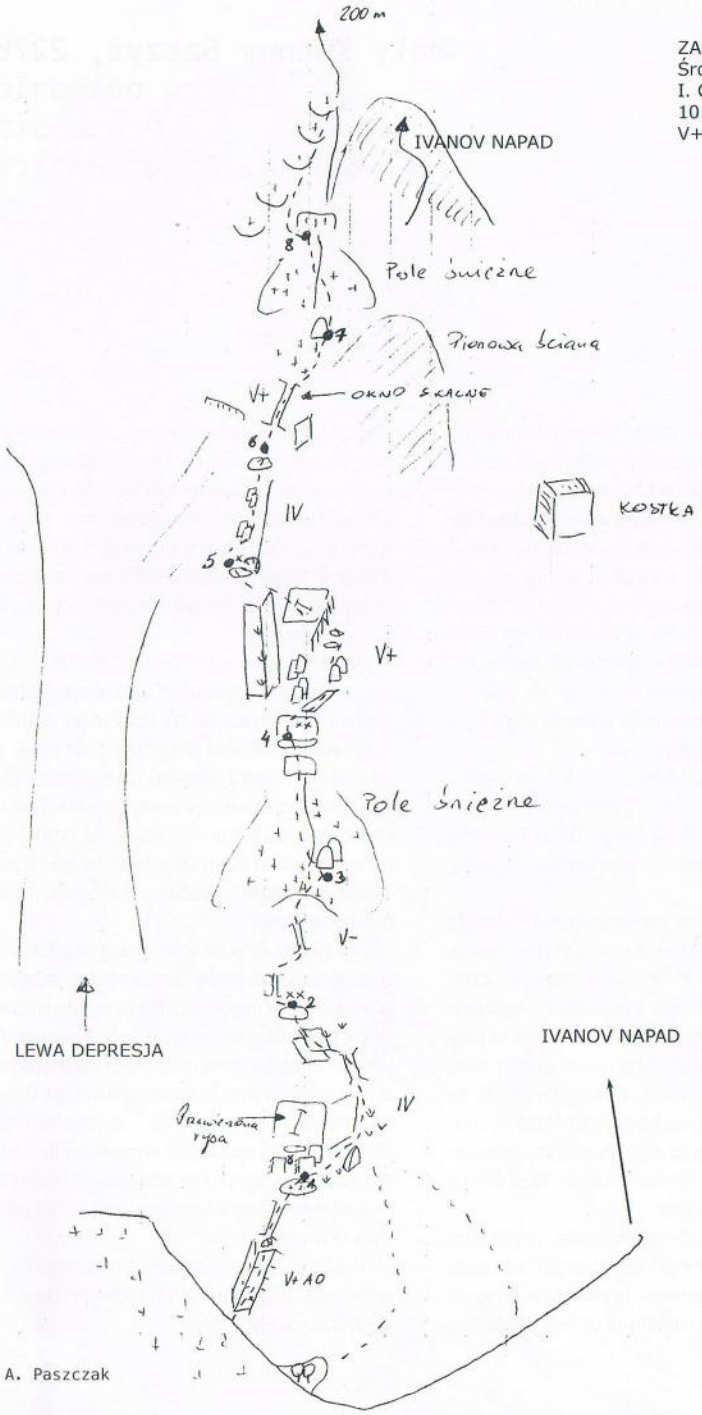

ZADNIA BASZTA,
Środkowy filar,
I. Gálfy, I. Urbanovič,
10. 6. 1958
V+ A0, 7h

rys. A. Paszczak

Zadnia Baszta, 2400 m
Ściana zachodnia, rejon środkowego filara
Oprac. Artur Paszczak

Zadnia Baszta opada do Doliny Mięguszowieckiej imponującą zachodnią ścianą o wysokości sięgającej ok. 500 m. Oferuje jedne z poważniejszych wspinaczek w dolinie ze względu na długość, trudne zejście, a także powagę dróg. Szczególnie słynna jest niedawno uklasyczniona *Ivanov Napad* autorstwa Belicy i Kollera, swego czasu słowacki „vystup roka".

Najbardziej popularny jest *Lewy Filar* (V) oraz prawy, tzw. *Filar Zamkovskiego* (zimą ok. V+). Nieco rzadziej chodzony, acz również popularny jest *Środkowy Filar*, którego topo tu publikujemy. Jest to naprawdę piękna i miejscami całkiem trudna wspinaczka w pewnej skale. Szczególnie pierwszy wyciąg wymaga trochę szarpaniny, i nam nie udało się

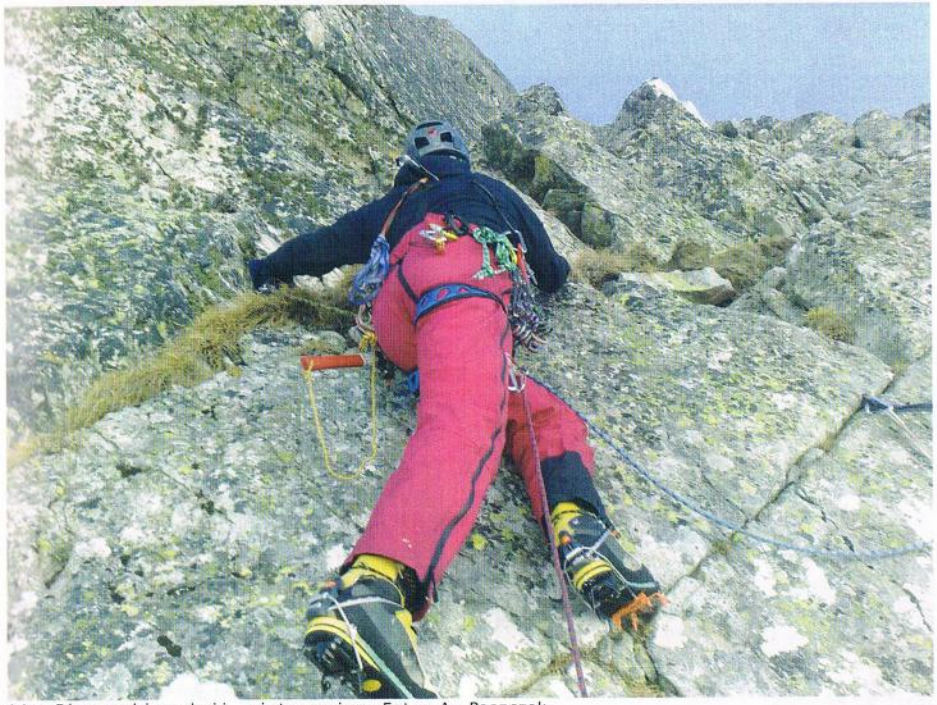

Adam Pieprzycki w akcji, piąty wyciąg. Fot.: A. Paszczak.

Lewa depresja, wspina się Zbyszek Skierski. Fot.: A. Paszczak.

Szósty wyciąg na Środkowym filarze.
Fot.: A. Paszczak.

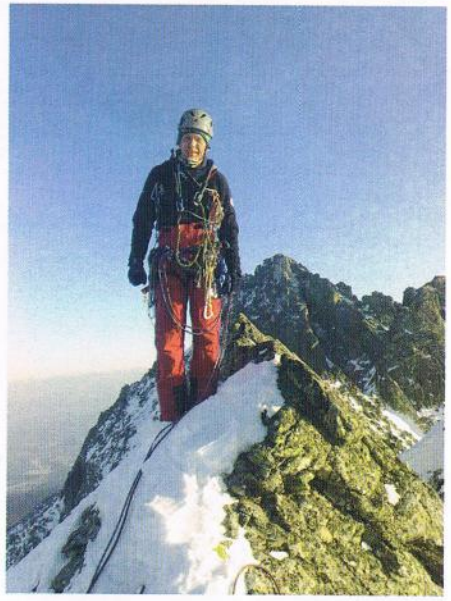

Adam na szczycie Zadniej Baszty.
Fot.: A. Paszczak.

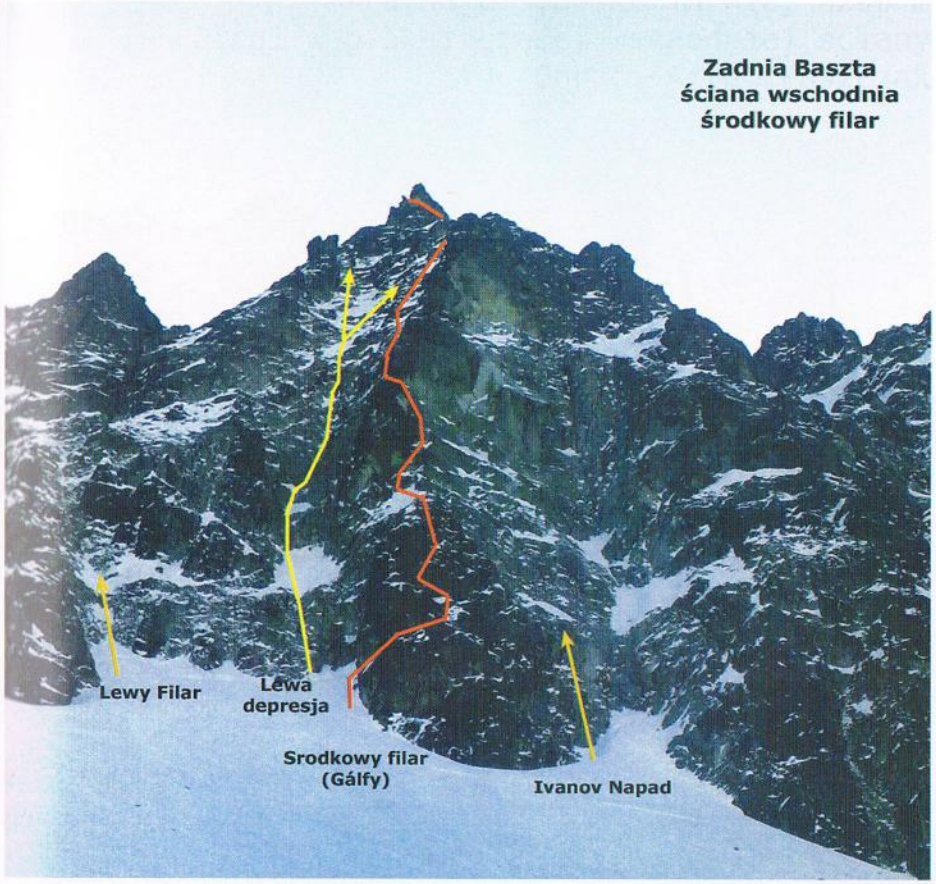

pokonać go klasycznie, a cyzelować stylu po prostu nie było czasu. Droga jest długa i trochę poprzebierać na niej nogami trzeba.

Na lewo od filara biegnie niewinnie wyglądająca i tak wyceniona *Lewa Depresja* (IV). A jednak można się tam zdziwić. Spotkany przeze mnie słowacki ratownik, słysząc o naszym przejściu wybuchnął śmiechem i zawołał „ladna stvorka, co?", jako że droga, przynajmniej zimą, wymaga nieco wyższego poziomu niż IV. Kluczowe dwa wyciągi w środkowym spiętrzeniu sięgają moim zdaniem M5+/M6 i to bez przesadnej ilości asekuracji, aczkolwiek na pewno trudności będą mocno uzależnione od warunków. Podejrzewam, że często tworzy się w tam przyjemny lodzik.

Podejście pod ścianę jest łatwe i bardzo szybkie, w dobrych warunkach ok. godziny. Stok pod ścianą bywa lawiniasty – warto czujnie wybierać teren.

Zejście z wierzchołka jest możliwe na dwa sposoby. Albo do Doliny Młynickiej i w dół do szlaku, raczej bez problemów, ale dość długo, albo żlebem z wierzchołka na stronę Doliny Mięguszowieckiej, po czym trawers w orograficzne prawo do żlebu – polecane tylko w dobrych warunkach. Ten sposób jest niewątpliwie szybszy, ale w zejściu wymaga asekuracji i uwagi.

Generalnie wspinaczki za Zadniej Baszcie dostarczają mnóstwa satysfakcji. Są długie i poważne, akcja górska trwa zazwyczaj od rana do nocy. Naprawdę warto się tam wybrać. ■

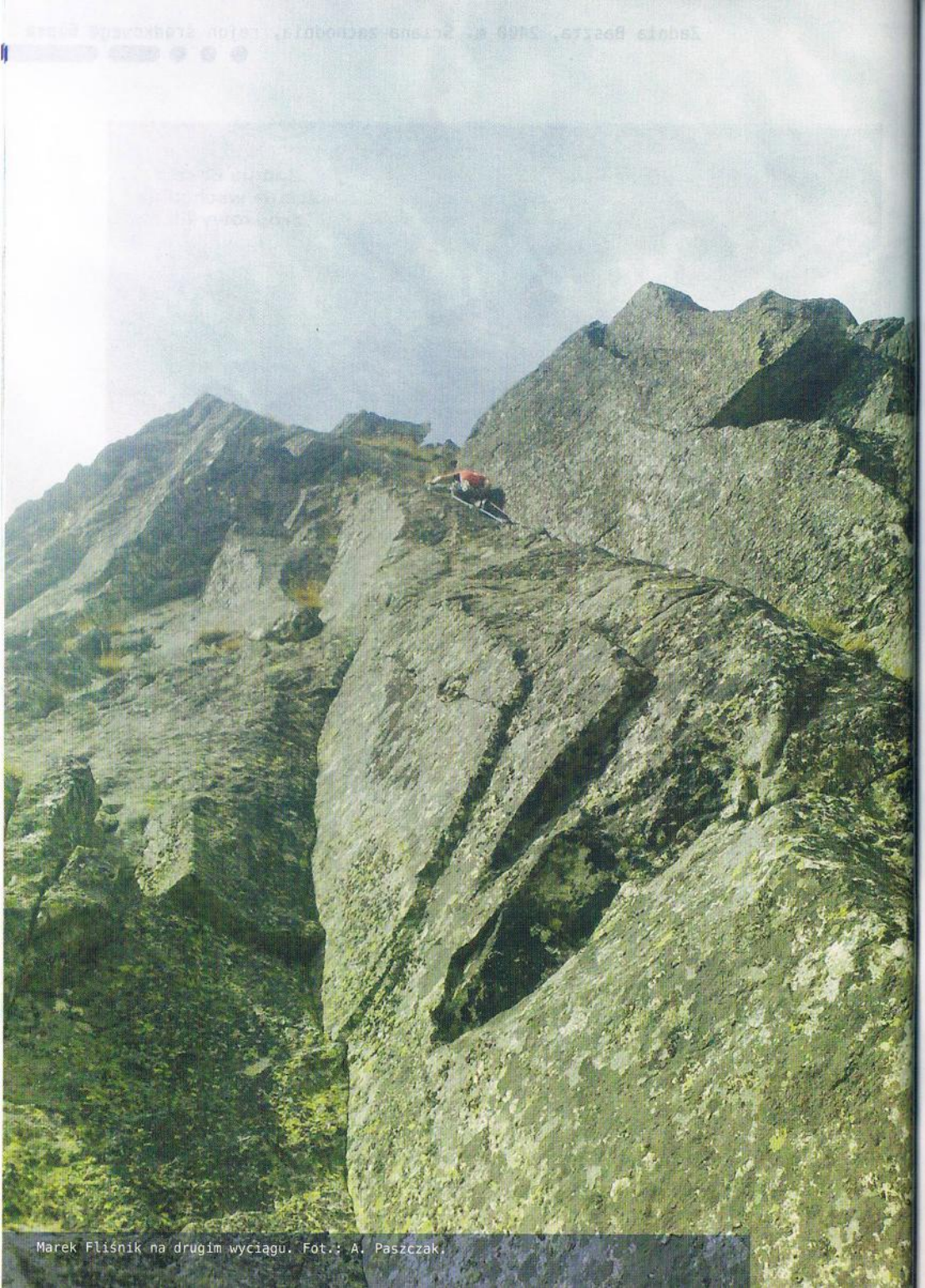

Marek Fliśnik na drugim wyciągu. Fot.: A. Paszczak.

Skrajna Liptowska Turnia, 2200 m
Drogi w prawej części wschodniej ściany
Oprac. Artur Paszczak

Wschodnia ściana S.L. Turni opada do Doliny Furkotnej całkiem stromą ścianą o wysokości dochodzącej do 250 m. W dolnej części oferuje dość dobrą skałę, a nawet ładne, płytowe formacje. W górnej części jest bardziej potrzaskana, nieco krucha i zatrawiona. Niemniej w całości zapewnia bardzo fajne wspinanie o typowo górskim charakterze, z małą ilością stałych przelotów i sporadyczną kruszyzną, co daje odczucie pewnej powagi. Drogi nie są bardzo trudne, rzadko przekraczają VI, ale całość wspinaczki, ze względu na spokój panujący w dolinie i jej niewątpliwą urodę, a także z uwagi na dość długie zejście po stronie pięknej Doliny Suchej pozostawia smak prawdziwych gór.

Podejście

Ze Szczyrbskiego Jeziora albo *per pedes* albo wygodniej, krzesełkowym wyciągiem pod Solisko, skąd najpierw niebieskim, a potem żółtym szlakiem w górę Doliny Furkotnej. Aby dostać się pod prawą część naszej ściany, najlepiej podejść na pierwszą morenę i strawersować poziomo (zazwyczaj jest tam niedaleko woda). Ok. 45 min od wyciągu.

Zejście

Albo granią w kierunku południowym, na przełączkę (jeden zjazd) i dalej po zachodniej stronie na Przełęcz pod Siodełkiem, albo (z prawej części najlepiej) wprost w dół na stronę Dol. Suchej, do szerokiego żlebu, i dalej trawersem na wspomnianą przełęcz.

Z przełęczy wygodną ścieżką do szlaku podejściowego.

Polecane drogi:

Výzva Koze, VI+

Dość fajna, nowa droga słowacka. Trzy naprawdę zajmujące wyciągi w stopniu od V+ do VI. Na trzecim wyciągu bardzo piękny filarek.

Pieta, V

Nieznana mi droga, ale z pewnością oferująca bardzo ładny pierwszy wyciąg. Warto przejść, aby się przekonać. Zaznaczono orientacyjny przebieg.

Suma wszystkich strachów, VI+

Droga z lata 2011, anonsowana już na łamach A/ZERO. Piękna wspinaczka w wielkiej płycie w środku ściany.

Talitha Kum, VI

Najnowsza propozycja na ścianie, autorstwa zespołu Adam Pieprzycki – Łukasz Migiel. Droga w dość logiczny sposób wykorzystująca ładne fragmenty ściany dla zmaksymalizowania trudności.

Lewa ściana prawego filara, VI

Bardzo ładne wspinanie w zacięciach na dwóch pierwszych wyciągach, dalej z grubsza prawym filarem. Ładne i polecane. Pierwszy wyciąg ok. VI, drugi V+, dalej IV.

Prawy Filar, V+

Ostatnio oczyszczony z kruszyzny, oferuje jeden wyciąg piątki, potem łatwiej. Może być w dalszym ciągu kruchy. Osobiście raczej nie polecam.

Linia zacięć Lewej ściany prawego filara. Fot.: A. Paszczak.

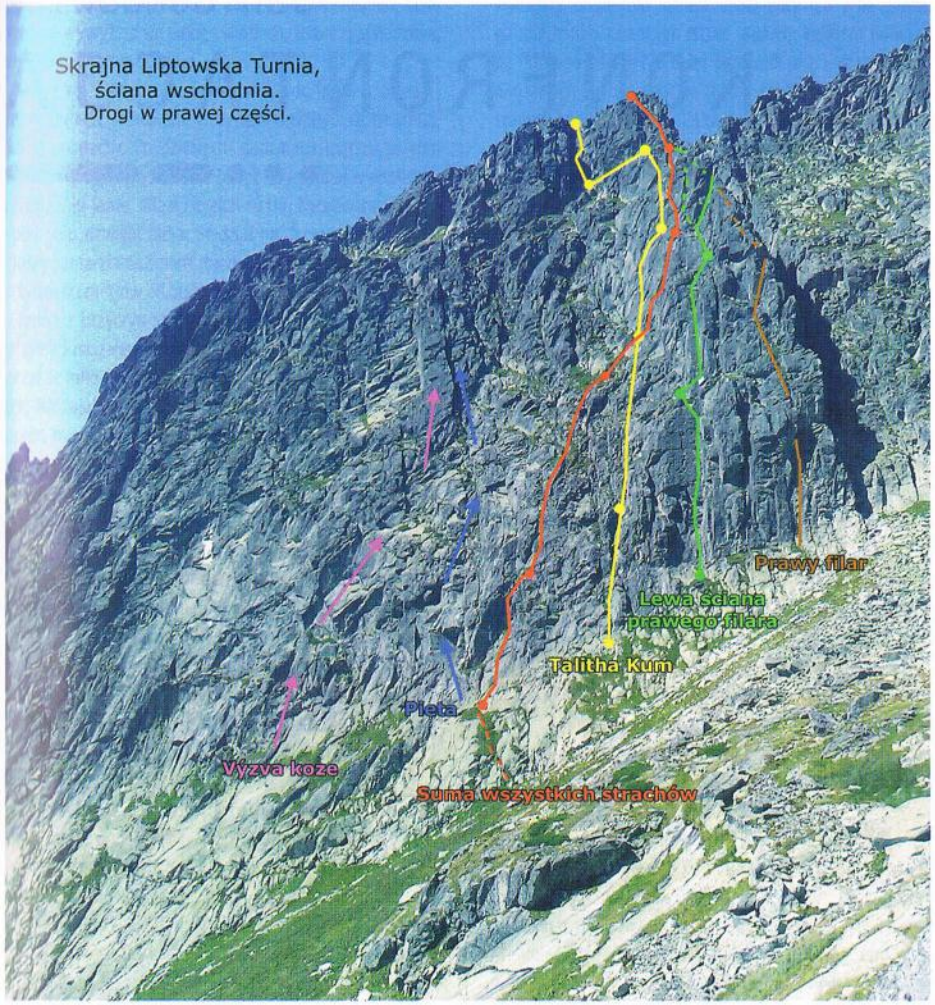

oprac. A. Paszczak.

TO
PO

Jan Gondowicz

KONFRONTACJA

Snobizm należy do zjawisk z zakresu różnicy ciśnień. Ciało wzdęte wywyższa się wobec wiotkich, te zaś żyją nadzieją, że spektakularnie sklęśnie.

Sylwester w Pięciu Stawach należał do imprez szczególnych. Dotrzeć do schroniska bywało niełatwo: dzień krótki, śnieg po pachy. Po dziesięciu godzinach marszu pewien wybitny grafik umyślił sobie biwak. Wygrzebał w pobliskim spiętrzeniu jamę, wlazł i czekał świtu. Niebawem usłyszał spod stóp dźwięki radia. Siedział na dachu! A para nowicjuszy zamarzła na śmierć, biedactwa, pod szopą agregatu, trzydzieści metrów od budynku.

Jedną z przyczyn stanowiły braki w sprzęcie. Ja na ten przykład naszałem czarny, gruby sweter, który obmarzłszy, grzał aż miło. Po użyciu stawiało się go w kącie jak półzbrojek. Nie tajał do wyjazdu: w „dziesiątce", sali na pięćdziesiąt prycz, bywało nad ranem nie cieplej niż na dworze. Budziłem partnerów łykiem likieru bananowego do dzioba: odruch wymiotny wymiatał ze śpiwora każdego. Był to czas takich specyfików: karnawał gierkowski w pełni.

Kto nie miał żelastwa z wypraw, eksplorował rodzinne strychy. Mój partner Knociarz, później w Szwecji, autor obrazu w gamie podbitego oka, który przedstawiać miał Siklawę i wisiał (do góry nogami) w recepcji, posiadał bacowską ciupagę. Kolega Wujo – czekan po Klemensiewiczu, lecz nadłamany. Co do mnie, miałem czekan od starego Bujaka z Krupówek, spawany z łyżwy i osadzony na jesionowym kołku, który z czasem wyboczył się i zzieleniał, gotów wypuścić pączki. Chylę czoło przed wytwórcami lin technicznych z Bielska, które, acz plątliwe i białe jak glisty, pod nikim się jakoś nie urwały. A okazji nie brakło.

Towarzystwo sylwestrowe było z grubsza stałe, począwszy od wielkiego Jana Strzeleckiego, a kończąc na najmłodszym (i najłatwiej strawnym) z braci Karpińskich, Marku. Bywalcy spoza elity koczowali na korytarzach. Tak poznałem wielką prawdę, że na schodach układać się należy u góry. Bo wchodzącego usłyszy się przed nadepnięciem, a schodzący na tobie się potknie, a spadnie na tych niżej. Warunki nie psuły nastrojów. Wciąż spotykam weteranów, co gratulują mi nagrody za gaszenie świecy wydmuchiwaną szufladką pudełka od zapałek (to było naprawdę trudne) lub za sonet jednozgłoskowy.

I oto pewnego wietrznego wieczora, gdy nieświadoma niczego zbiorowość cieszyła się życiem i spożyciem, drzwi jadalni rozwarły się z brzękiem i do wnętrza wkroczył ALPINISTA. Miał na sobie od stóp do głów kombinezon pomidorowy, wydający nieziemski szelest, niżej buty nie z tej ziemi, na łbie haubę z napisem MONT BLANC. Krokiem Robocopa (którego jeszcze nie było) przeszedł izbę i na stół pełen nadżartych kiełbas, skór po serze, słoi smalcu tudzież blaszanych kubków, cisnął CZEKAN. Chromowany, oślepiający cud na modrym, oblanym plastikiem stylisku, ze skaczącym do oczu napisem ALPÉLIT.

Setka luda zamilkła jak gromem rażona. Wyczekawszy stosowną pauzę, przybysz odsłonił oblicze i objawił się jako kolega S., student uczelni o profilu twórczym, mający na naszą zgubę tatę w handlu zagranicznym. Rodzic nadszarpnął widać wsad dewizowy i potomek zadał szyku w porażającym stylu.

Nazajutrz ruszyliśmy w teren. Pierwsze skały przyniosły nam pierwszą pociechę. Przebiwszy lód, cud-czekan palnął w caliznę i w środku coś się urwało. Odtąd każdemu ruchowi towarzyszył odgłos turlania się nitu w duralowej rurze: ciurulululu! do góry i rulululupik! na dół.

Dzień później był transport umrzyka. Na naszych oczach spadł fujara ze Świnicy aż do stawu. Pierwszy raz widziałem śmigłowiec w akcji. Popiołem z pieca wysypaliśmy pod schroniskiem na lodzie wielki prostokąt, przyleciał Augustyniak, spojrzał na mgły buszujące pod Zawratem i orzekł: „Nie lecę!". Po czym odfrunął. Z nocnego spuszczania przez próg, w trakcie czego ofiara rozstała się z życiem, kolega S. wrócił z czekanem-kolczatką. Obciążona toboganem lina poszarpała barwną okrywę styliska, zrobioną, jak się okazało, z włókien szklanych. Nie sposób było wziąć tego do ręki. Po użyciu żyletki efekt był jeszcze gorszy: spod tworzywa wylazł metal. Ulżyło nam.

A potem nastąpił wielki finał. W owiewanym zadymką urwisku Kozich Czub stałem akurat pod kolegą S., forsującym spiętrzenie, gdy nagle coś dźwięknęło i furknęło. Złowieszczy szpikulec przeleciał mi tuż przed nosem. To w konfrontacji z Tatrami prysnął dziób francuskiego czekana. Wykonałem skok w bok, straciłem równowagę. W ostatniej chwili za pagon milicyjnej ortalionowej kurtki z podpinką, nabytej w Rembertowie i wkładanej tylko na najgorsze urwanie torby, złapała mnie koleżanka imieniem Agnieszka Chwyt Buldoga, potrząsnęła w powietrzu i ustawiła do pionu.

Parę godzin później udałem się z Agnieszką Chwyt Buldoga do upatrzonej zaspy za schroniskiem, dobyłem ze śniegu tajemną flaszkę czystej i zdrowo łyknęliśmy oboje. Wódka spływała w przełyk jak oliwa. Świat znów był piękny i nasz. Urwany pagon powiewał jak sztandar. ■

Start biegu. Fot.: arch. Marcin Miotk.

Marcin Miotk

LAGO DI ORTA ULTRA TRAIL, CZYLI „RZEŹNIK" PO WŁOSKU

Za oknem marcowa plucha. Zszyta łękotka i zrekonstruowane więzadło mają się podobno coraz lepiej. Tak przynajmniej twierdzi ortopeda prowadzący. Wiem, że sezon biegowy AD 2012 mam z głowy. Wszelkie plany trzeba odłożyć. Nie będzie maratonu w Paryżu, nie będzie biegów w górach, o których marzyłem od dawna. Trudno – życie nauczyło mnie, że czas jest najlepszym terapeutą, nie można przesadzać ze zbyt szybkim powrotem do sportu. Jakby tego było mało, dowiaduję się, że organizatorzy biegu dookoła Mont Blanc (Ultra Trail du Mont Blanc) zwiększyli liczbę punktów potrzebnych do tego, aby w ogóle zapisać się na losowanie!

Wzrost popularności biegów górskich jest oszałamiający. Tylko czekać jak losowania będą w Biegu Rzeźnika. Tu przypomina mi się start w tych zawodach w Bieszczadach w 2011 roku. Jedziemy z kolegą autobusem szkolnym na start w Komańczy i wdajemy się w miłą pogawędkę z miejscowym kierowcą. W końcu, po przełamaniu pierwszych lodów, kierowca bardzo poważnym tonem pyta: „Panowie, wytłumaczcie mi proszę, co takiego się dzieje, że z roku na rok przejeżdża tutaj coraz więcej osób?". Na to mój kumpel poważnym tonem: "Panie, jak coraz więcej płacą, to wiadomo, że coraz więcej osób przejeżdża!". Proste, nie?

Co tu robić? Noga niesprawna przez kilka miesięcy, potem rehabilitacja, a wszystkie biegi w Polsce, na których można zarobić 2 punkty, są w okresie letnim. Dla mnie zdecydowanie za wcześnie. Trzeba więc szukać za granicą, najlepiej jak najbliżej – Czechy, Słowacja. Niestety, to samo co u nas – wszystko dobre latem. Kombinuję więc dalej. Jak ma być późną jesienią, to chyba gdzieś na południu Europy. No, ale koszty... No to szukamy gdzieś blisko lotnisk tanich linii. Tak powoli zawęża się lista. Obława trwa. W końcu zostaje bieg blisko Barcelony i północne Włochy. Szybkie sprawdzenie lotów, i jest! Pod koniec października ruszam do Bergamo, by wystartować w Lago di Orta Ultra Trail na dystansie 63 km i dość sporym przewyższeniu 3600 m. Można powiedzieć, że to taki młodszy braciszek naszego Biegu Rzeźnika – trochę krótszy, ale o większym przewyższeniu.

Chciałoby się napisać, że przygotowania ruszyły teraz pełną parą, ale nic z tego – pierwsze przebieżki zrobiłem pod koniec maja, a potem biegałem najwyżej raz w tygodniu po parę kilometrów. Ukoronowaniem moich przygotowań był półmaraton i dwudniowa wizyta w Tatrach. Wszystkiego razem mój garmin naliczył przed startem 152 km. Nie za dużo, jak na przygotowanie do 63-kilometrowego trailu. Wmawiałem sobie, że świeżość będzie moim atutem, ale na poważnie nikomu nie polecam takich przygotowań.

Mimo wszystko optymistycznie nastawiony zjawiłem się na starcie w malutkiej miejscowości Pongo (448 m n.p.m.) w północnych Włoszech. Zaletą tej lokalizacji było to, że cała miejscowość żyła biegiem. Co ciekawe, mocno zaangażowana w jego organizację była miejscowa parafia z przebojowym proboszczem na czele. Start i meta odbywały się na placu... Karola Wojtyły.

W przeddzień biegu odbyło się małe pasta party w budynkach parafii. Cały czas czułem, że jestem w jakiejś oazie religijnej, a nie na biegu. Było po prostu domowo, ciepło, z uśmiechem, życzliwie.

Dzień startu przywitał nas piękną, słoneczną pogodą. Do biegu stanęło ponad 400 osób, z tego tylko nieliczni z zagranicy. Ciekawostką była dość wysoka średnia wieku zawodników. Ruszyliśmy. Moja taktyka po tak długiej przerwie od biegania była prosta i mało ambitna. Chciałem po prostu ukończyć bieg, zgarnąć 2 punkty do UTMB. Wiedziałem jednak, że jak nie przyplącze się jakaś kontuzja, to dusza ścigacza wygra z rozsądkiem. Rozpędzałem się powoli, bo nie byłem pewny jak moje nowe kolano zareaguje na tak długi bieg.

Początkowy tłok ustąpił już po 7–8 kilometrach. Zdziwiony byłem, że praktycznie nie ma płaskich odcinków, nawet krótkich. Swoją drogą, mogłem się tego spodziewać, bo przewyższenie 3600 m na 63 km drogi mówi samo za siebie. Trochę mnie martwił brak kijków, bo płacenie za nie dodatkowo w tanich liniach mija się z celem. Na pomoc przyszła mi natura. Jako że większość trasy prowadziła leśnymi duktami, nie brakowało tu zalegających na ziemi gałęzi. Biegnąc w pięcioosobowej grupie, zostałem przez swoich towarzyszy nazwany Mr. Leki – na cześć tego, że zawsze jak zaczynała się górka brałem nowe gałęzie. Szybko znalazłem wielu naśladowców, którzy przekonali się, że jest to pomocne. Polecam jednak zabranie rękawiczek, ponieważ mocno pokaleczyłem sobie dłonie od ciągle pracujących gałęzi.

Punkty odżywcze były dość często. Łącznie około 6–7, co powodowało, że biegło się komfortowo. Punkty znajdowały się w totalnej dziczy lub w małych wioskach, gdzie prawdopodobnie dzień biegu jest najważniejszym dniem roku. Uśmiech obsługujących, ich zaangażowanie i życzliwość dawały wielką motywację, by biec dalej.

Trasa prowadziła bardzo malowniczymi rejonami. W początkowej fazie biegu mieliśmy przepiękny widok na jezioro Lago di Orta; w połowie dystansu osiągnęliśmy najwyższy punkt biegu (1379 m n.p.m.), z którego podziwialiśmy ośnieżone szczyty alpejskie z Monte Rosą na czele.

Moja początkowa ostrożność sprawiła, że dobrze rozłożyłem siły i od czterdziestego kilometra wyraźnie zacząłem nadrabiać początkowe wolne tempo. Przez ostatnie dziesięć kilometrów prawie leciałem na skrzydłach, mijając tych, którzy nie docenili trudów biegu. Wszystkim dodawałem otuchy włosko brzmiącym okrzykiem: „Dajesz! Dajesz!".

Na metę wbiegłem tuż przed zmrokiem, po 8 godzinach i 40 minutach od startu. Nie miałem zielonego pojęcia, ile osób przybiegło przede mną, toteż ucieszyło mnie zdobycie 35. miejsca. After party było małym włoskim weselem – biesiada przy stole, ludowa muzyka, piwo, gorąca gestykulacja. Przy rozdawaniu nagród mile mnie zaskoczyło, gdy razem z pewnym Brazylijczykiem zostaliśmy wywołani na scenę jako zwycięzcy w kategorii „Ile drogi musiałem pokonać, aby tu przyjechać?". Ja wygrałem kategorię europejską, a Brazylijczyk światową. Mam nadzieję, że uświadomi to wam, jak niesamowita, radosna, spontaniczna i życzliwa jest tam atmosfera.

W przyszłym roku organizatorzy planują rozegranie dwóch biegów: dłuższego na około 80 km i krótszego. Szczegóły możecie śledzić na ich stronie internetowej: www.trail-running.it. Gorąco wszystkich zachęcam do udziału w tym biegu. To jak? Biegniecie?

Logistyka:

- Loty do Bergamo można w tym okresie kupić nawet za 100 zł w obie strony.
- Na miejscu zdecydowałem się na wersję komfort i wypożyczyłem na dwa dni samochód za 40 euro. Można też dojechać pociągiem z Mediolanu.
- Wpisowe: 40 euro.
- Nocleg: na sali wieloosobowej w łóżku 15 euro (tylko kilka miejsc), można też spać za darmo na karimacie w wielkiej stołówce.

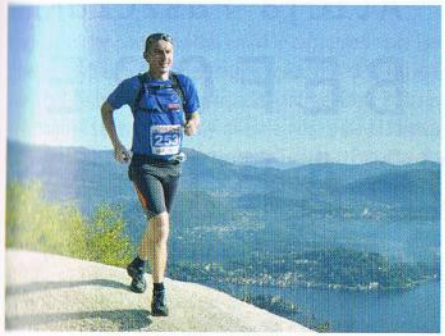

Włoska pogoda, włoskie krajobrazy.
Fot.: arch. Marcin Miotk.

Mr. Leki i jego kijki.
Fot.: arch. Marcin Miotk.

Zwycięzca kategorii „Ile drogi musiałem pokonać, aby tu przyjechać?"
Fot.: arch. Marcin Miotk.

Alicja Paszczak

BEFORE AND AFTER

Odc. 1 – siła biegowa

Before. Fot.: arch. Alicja Paszczak.

Niniejszym artykułem rozpoczynamy cykl porad treningowych z tak ostatnio modnym akcentem kulinarnym. Wychodzimy bowiem z założenia, że trening bez nagrody nie zapewnia odpowiedniej motywacji, ponadto wyznajemy pogląd, że należy łączyć przyjemne z pożytecznym.

Autorka zastrzega, aby nie traktować jej tekstu zbyt dosłownie. Jest to jedynie propozycja, a Waszej inwencji pozostawiamy jej twórcze rozwinięcie.

BEFORE

Jako pierwsze postanowiłam omówić zagadnienie siły biegowej, gdyż z moich obserwacji wynika, że jest to najważniejszy i najbardziej efektywny element treningu. Podczas treningów SB wzmacniamy mięśnie nóg, pasa biodrowo-krzyżowego, a także stawy skokowe i kolana. Ponadto dla nas, wspinaczy, wzmacnianie organizmu od tej strony na pewno będzie przydatne, choćby na podejściach w górach.

Wiedząc, iż dla wspinaczy bieganie jest tylko treningiem uzupełniającym, proponuję pracować nad SB raz w tygodniu. Najlepiej znaleźć gdzieś w pobliżu domu górkę o nachyleniu do 5%, czyli taką, gdzie na 100 m różnica poziomów wynosi do 5 m. Długość pokonywanego odcinka to 200–400 m. Sam podbieg powinien być wykonywany dynamicznie i żywo, aby prędkość nie malała, lecz także nie była maksymalna. Nie należy wydłużać kroku, wręcz przeciwnie, lekko skracać, zwiększając częstotliwość. Dynamika tego ćwiczenia wymusza aktywną pracę rąk i głębokie oddychanie. Wraz z kolejnymi podbiegami tętno powinno wzrastać i zbliżać się do maksymalnego. W ramach ciekawostki dodam, że SB można wykonywać pod postacią skipów, wieloskoków, a nawet biegu z oponą. Moim zdaniem jednak jest to forma przeznaczona raczej dla zawodników, wymagająca również naprawdę dobrej techniki biegu, o którą trudno u wielu biegaczy-amatorów. Takie zbyt trudne i obciążające ćwiczenia prędzej doprowadzą do kontuzji, a nie wysokiej formy. Obowiązkowym wstępem jest rozbieganie, które można zakończyć stumetrową przebieżką dogrzewającą (niekoniecznie). Następnie 10 minut ćwiczeń rozciągających i można przystępować do podbiegów. A teraz przykład treningu skupiającego się właśnie na sile biegowej:

1. trucht: 20–30 min;
2. rozciąganie: 10 min;
3. od 10 do 15 podbiegów (zaczynamy od mniejszej ilości, stopniowo ją zwiększając), przerwa to luźny i lekki zbieg z górki, który powinien trwać przynajmniej dwa razy dłużej niż podbieg. Na dole przed rozpoczęciem następnego odcinka weź kilka głębokich oddechów, aby zbić tętno. Czas podbiegu powinien trwać tyle samo;
4. schłodzenie: 15 min truchtu.

Po takim treningu czekają nas same przyjemności, jak wydzielające się obficie endorfiny lub spożycie napoju izotonicznego pod postacią piwka.

AFTER

Chociaż jestem gorącą orędowniczką kasz, to jednak na pierwszy raz zaproponuję makaron, jako bardziej popularny i po prostu łatwiejszy do przyrządzenia. Dodatkowo po treningu siłowym makaron dobrze uzupełni węglowodany. Na początek zatem coś, co prawdopodobnie trafi w gusta większości, czyli rigatoni z bakłażanem i pomidorami.

Składniki: makaron, bakłażan (dojrzały), 2–3 ząbki czosnku, cebula, puszka pomidorów, łyżka aceto balsamico, papryczka peperoncini (opcjonalnie), śmietana, mozzarella, sól , pieprz.

Postaw na ogniu duży rondel, wlej oliwę z oliwek, wrzuć kostki bakłażana, następnie posiekaną cebulę, plasterki czosnku i ewentualnie papryczkę. Kiedy się wszystko zarumieni i zacznie wydawać intensywny zapach, dodaj puszkę pomidorów (w sezonie zdecydowanie polecam świeże) i spokojnie gotuj przez ok. 15 minut, aż powstanie kremowa, pomidorowa papka. W międzyczasie ugotuj makaron rigatoni (mogą też być zwykłe penne). Na koniec do sosu dodaj śmietanę, łyżkę octu balsamicznego, przypraw solą i pieprzem. Wrzuć makaron do pomidorowej papki, pokrusz mozzarellę, energicznie wymieszaj i natychmiast podawaj. Zanim zasiądziecie, mozzarella lekko się rozpuści, stanie się włóknista i będzie miała cudowny, mleczny smak. Palce lizać.

Do tego, dla amatorów nieco szlachetniejszych trunków, proponuję lekkie, czerwone wino. Oczywiście włoskie, a aby konsekwentnie pozostać w kręgu toskańskim, postarajcie się najlepiej o zwykłe Morellino di Scansano. Apelacja ta oferuje wiele lekkich, owocowych win, które doskonale uzupełnią nasze rigatoni, a zawarty w nich resweratrol usunie powstałe po treningu wolne rodniki. A przynajmniej taka jest teoria... ■

After. Fot.: arch. Alicja Paszczak.

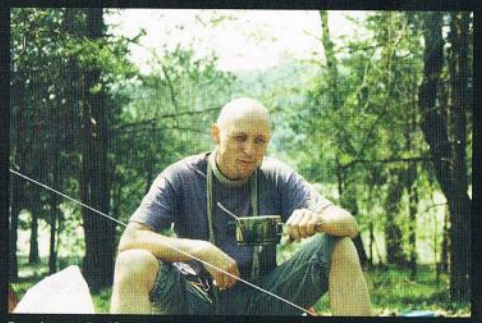

Rysio w Podlesicach. Fot.: Piotr Pawłowski.

Ryszard Gos 1951–2011

Rysiaczek

Przez ostatnie dziesięć lat rzadko bywał w kraju. Warszawa była wypełnionym intensywną pracą przystankiem między jedną a drugą podróżą. W pogoni za nieznanym, za zabytkami, historią, gnany ciekawością, starał się dotrzeć do każdego miejsca wartego obejrzenia – czy było to fotografowanie rekinów Zambezi na Mauritiusie, czy też eksploracja świątyń Majów w Gwatemali. Obrazy przesuwają się jak w fotooptikonie: Chiny, Jordania, Egipt, nurkowanie w cenotach Meksyku... Gdzie Rysio nie był? Czego nie robił? Na pewno nigdy nie dosięgnęła go nuda. Cierpiał raczej na brak czasu.

Wielu z nas zna go tylko z działalności górskiej i instruktorskiej, a przecież był również speleologiem, żeglarzem – sternikiem morskim, biorącym czynny udział w regatach bałtyckich, płetwonurkiem, fotografem i globtroterem. Był przede wszystkim dobrym człowiekiem. Wielokrotnie ratował mnie i moją rodzinę od śmierci głodowej, zabierając mnie a to na olkity, a to na malowanie komina, a to na inną robotę. Kiedyśmy z Markiem Niecieckim w 1989 roku mieli komin do pomalowania, poszliśmy do Rysiaczka, bo komin był, ale nie było lin. Rysio pożyczył nam dwa 40-metrowe bezaliny. Ci, którzy pamiętają owe czasy, wiedzą, że lina bezalin była wówczas na wagę złota. Oddaliśmy je uświnione chlorokauczukiem i silikonem – nawet się nie skrzywił. Dzięki Rysiu.

Dzięki za maszynę do szycia, którą pożyczyłeś, gdy Ewa szyła ubrania dla dziecka, bo byliśmy biedni i żyło się z dnia na dzień. Niektórzy uważali Cię za mojego ojca, jak tubylcy na Mauritiusie, gdzie chcieliśmy wytropić rekiny tygrysie. Każdy wyjazd z Tobą kończył się beką. Albo prawie spaliliśmy razem z Pesonkiem łąkę w Rzędkowicach eksplodującym juwlem, albo po słynnej ekspertyzie komina w browarze żywieckim zamiast w Warszawie, obudziliśmy się w stodole u Stachowej. A pamiętasz nieszczęsnego kursanta, którego zostawiłeś na wieży, uciekając w pole? Krzyczał za Tobą:

– Ryyysiuuuu, k...aaaa, co mam zrobić, nie zostawiaj mnieeeeeee!

– Mnie tu nie ma, kursant, mnie tu nie ma – hahaha!

Chłopak na zawsze zapamiętał, jak należy asekurować się na konstrukcji.

Pomogłeś mi przerobić mój pierwszy młotek górski, wzmacniając go nitem. Operacji dokonałeś, kiedyśmy siedzieli przy desce kreślarskiej w Twoim pokoju, pomiędzy stosami książek, albumów fotograficznych i sprzętu nurkowego. Wszystko to piętrzyło się na podłodze, pozostawiając tylko wąską, krętą ścieżkę przejściową do kuchni. Podawałeś zieloną herbatę – gorzką, chociaż w tapczanie miałeś te 8 kg cukru, kupionego przez pomyłkę w latach 80. Pożyczałem od Ciebie komiksy z Asteriksem dla Bartka – uwielbiał je, a Ty uwielbiałeś zjadać jego przecierane zupki w skałkach. Miałeś, podobnie jak i ja, całą kolekcję książek i filmów z cyklu „Gwiezdne wojny". Byliśmy właśnie jak Jedi – mistrz Qui-Gon Jinn i uczeń, padawan Obi-Wan Kenobi. W nieskończoność analizowaliśmy ostatnią walkę Qui-Gon Jinna z Darth Maulem, dochodząc do słusznego wniosku, że jako Jedi nie mógł zginąć. Bo obaj wiemy, Rysiu, że Jedi nie umierają, po prostu żyją wśród nas, przyobleczeni w inną formę Mocy.

Rysiu, Kochany, Drogi Przyjacielu, odszedłeś od nas w kolejną podróż – jak zwykle – przy dźwiękach flamenco.

Maciek Kubera „Pastor"

Joanna Wolf-Szczerba 1960–2012

21 lutego 2012 roku w zakopiańskim szpitalu zmarła Joanna Wolf-Szczerba. Dwa dni wcześniej uległa wypadkowi lawinowemu, kiedy wraz z dwójką innych narciarzy przekraczała Żleb Marcinowskich w masywie Kondratowego Wierchu w Tatrach.

Joanna rozpoczęła swoją przygodę ze wspinaniem na początku lat osiemdziesiątych podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim i była mocno związana ze środowiskiem krakowskim. W połowie lat osiemdziesiątych należała do kobiecej czołówki wspinania sportowego w Polsce. Do niej należał w 1985 roku kobiecy rekord pokonanych trudności (VI.2+). Wspinała się w Tatrach i Alpach, gdzie zrobiła kilka ciekawych przejść, w tym pierwsze przejścia kobiece. Po przeprowadzce do Warszawy w 1988 roku związała się z tutejszym środowiskiem. Została instruktorem taternictwa Polskiego Związku Alpinizmu, a w latach 1993–1997 pełniła funkcję prezesa Klubu Wysokogórskiego Warszawa. W połowie lat dziewięćdziesiątych Joanna odkryła rower górski i skitury, poświęcając się coraz bardziej nowej pasji i związanymi z nią treningami i zawodami. By być bliżej swoich ukochanych Tatr, przeprowadziła się w 2011 roku na Podhale. Pracując zawodowo i poświęcając czas rodzinie, wykorzystywała każdą wolną chwilę, by realizować swoje pasje. Niestety, jedna z nich kosztowała ją życie.

Henryk Mierzejewski 1948–2012

W wieku 64 lat 2 lutego 2012 roku zmarł Henryk Mierzejewski, znany taternik, pedagog, konstruktor i długoletni członek naszego klubu. Urodzony w 1948 roku, od początku był związany z warszawskim środowiskiem wspinaczkowym; najpierw z Akademickim Klubem Alpinistycznym przy Politechnice Warszawskiej, później z Klubem Wysokogórskim Warszawa. Wywodził się ze znanej i zasłużonej dla taternictwa rodziny Mierzejewskich. Zarówno jego brat, ojciec, jak i dziadek aktywnie wspinali się w Tatrach. Ojciec Jerzy to jeden z autorów pierwszego w warunkach zimowych (kwiecień 1954 roku) przejścia północno-wschodniej grzędy Mięguszowieckiego Szczytu Wielkiego. Henryk w latach siedemdziesiątych był jednym z najaktywniejszych warszawskich taterników, miał już wówczas na swoim koncie liczne nowe drogi i pierwsze przejścia zimowe. Poza Tatrami Henryk wspinał się w bułgarskiej Rile, w Alpach i na Kaukazie. Był aktywnym członkiem KW Warszawa, prowadził jako instruktor liczne kursy na podwarszawskich bunkrach, w skałkach Jury i Tatrach.

Jego drugą pasją po wspinaniu było projektowanie i konstruowanie maszyn, w szczególności obrabiarek. Z tym była związana jego kariera naukowa i zawodowa. Swoje doświadczenia na tym polu przenosił później do wspinania i zajął się atestowaniem sprzętu wspinaczkowego. Był współautorem (wraz z Markiem Pokszanem) publikacji o tematyce wspinaczkowej „Fly by... Stanowisko". Działał w Komisji Bezpieczeństwa Górskiego PZA jako kierownik Zespołu Rzeczoznawców.

Gdyby to nie była Annapurna... Walka o pierwszy ośmiotysięcznik

Autor recenzji: Jagoda Mytych

Maurice Herzog (1919–2012) nawet bez sukcesów górskich zasłużyłby na tytuł jednego z dwudziestowiecznych bohaterów Francji. Odznaczony za działalność w ruchu oporu, był za życia także ministrem sportu i merem francuskiej mekki wspinaczkowej – Chamonix. Miał też podobno coś, czego nie da się wartościować ani medalami, ani stanowiskami – urok Clarke'a Gable'a. Ale to góry, a zwłaszcza jedna sprawiły, że przeszedł do historii i nigdy o nim nie zapomnimy.

Annapurna, pierwszy ośmiotysięcznik, na którym 3 czerwca 1950 roku stanęła ludzka stopa. Taki tytuł nosi także bestsellerowa relacja Maurice'a z walki, podczas której towarzyszył mu Louis Lachenal. Książka na całym świecie sprzedała się w 12 milionach egzemplarzy. Sięgam po nią w hołdzie zmarłemu pod koniec zeszłego roku Maurice'owi Herzogowi, ale nie oszczędzę mu przy tym kontrowersji, jakie ta publikacja wywołała.

Opowieść Maurice'a Herzoga rozpoczyna się w kwietniu 1950 roku. Wtedy jeszcze nie jest jasne, czy celem będzie Dhaulagiri czy Annapurna. Jasne jest natomiast to, że francuska wyprawa ma znacznie mniej czasu na swoją działalność niż poprzednie ekipy i musi osiągnąć sukces, których tamte nie osiągnęły. Po raz pierwszy w historii podboju Himalajów wyprawa ma w ciągu jednego lata zbadać masyw górski i zdobyć szczyt. Wcześniejsze wyprawy rozpracowywały swoje cele nawet dwa lata, zanim przyszło do szturmu ośmiotysięcznika, a i tak żaden z nich nie zakończył się sukcesem.

> Człowiek nie postawił jeszcze nogi na żadnym ze szczytów przekraczających zaczarowaną wysokość 8000 metrów, stanowiącą jakby „barierę dźwięku" dla alpinistów. Mamy dwa lub trzy razy mniej czasu niż nasi poprzednicy, Anglicy, Amerykanie, Niemcy, i chcemy osiągnąć sukces tam, gdzie im się nie powiodło. Czy nie jesteśmy zbyt ambitni? Dziś, u stóp tych olbrzymich mastodontów, których podstawy stanowią cały świat, zamyślam się. Tak, musimy zdobyć szczyt i damy z siebie wszystko. Ale czy to zadanie nie jest nadludzkie? – pyta Maurice Herzog.

Wyprawa dzieli się na mniejsze zespoły, które szukają dogodnej drogi czy to na Dhaulagiri, czy na Annapurnę. Każdy rekonesans kończy się tym samym wnioskiem: To wszystko jest ogromne, znacznie większe niż sobie wyobrażaliśmy. Alpejski dream team – poza Herzogiem w Himalaje pojechali także Lionel Terray, Louis Lachenal, Jean Couzy, Marcel Schatz, Gaston Rébuffat, Jaques Oudot (lekarz) i Marcel Ichac (operator) – musi działać razem. Indywidualna przygoda alpejska ustępuje tu miejsca wspólnemu działaniu, a fantazje indyjskiej mapy zupełnie nieznanej rzeczywistości geograficznej. Gdzie jest Annapurna? Wielka tajemnica. Nikt jej tutaj nie zna. To może być pewna trudność czytelnicza. Chciałoby się śledzić poczynania wyprawy w jakimś porządku, z palcem na mapie. Tymczasem oni najczęściej sami nie wiedzą, gdzie się znajdują i przede wszystkim, gdzie ukrywa się Annapurna (Dhaulagiri uznano za cel zbyt trudny).

> Jest już noc, gdy przybywamy nareszcie do stóp wielkiej ściany lodowej, gdzie nasi towarzysze założyli obóz, późniejszy obóz I, na wysokości około 5100 metrów. Witają nas z nieukrywaną radością. O tej porze nie widzimy nic, lecz zapewniają nas:
> – Nie ma wątpliwości: Annapurna musi być zwyciężona!

Tę nieuniknioność zwycięstwa jeszcze lepiej oddaje treść jednego z listów:

> Atakujemy Annapurnę stop droga lodowa trudna lecz pozwalająca na szybki marsz stop niebezpieczeństwa obiektywne lawiny śnieg i niepewne seraki stop obozy I/5100 II/5900 III/6600 IV/7150 założone stop spodziewamy się odnieść zwycięstwo stop forma i samopoczucie wszystkich doskonałe. Maurice Herzog.

Ostatecznie do ataku szczytowego wyjdą właśnie Herzog i Louis Lachenal.

> Ryzykujemy odmrożenie nóg!... Myślisz, że warto?
> – pyta w trakcie akcji ten drugi. Ogarnia mnie trwoga. Odpowiedzialność spada na mnie, muszę myśleć i przewidywać za wszystkich. Niebezpieczeństwo jest realne. Czy Annapurna usprawiedliwia takie ryzyko? To pytanie nurtuje mnie i niepokoi – pisze Herzog.

A dalej pojawia jeden z najbardziej znanych dialogów z książki:

> Nagle Lachenal zwraca się do mnie:
> – Co zrobisz, jeśli zawrócę?
> W jednej chwili przebiegam myślą całą serię obrazów: upalne dni marszu, ciężkie wspinaczki, niezwykłe trudy pokonywane przez wszystkich podczas oblężenia szczytu, codzienne bohaterstwo moich towarzyszy zakładających i zaopatrywujących obozy... Jesteśmy o krok od celu. Za godzinę, może za dwie... zwyciężymy!
> I mielibyśmy odstąpić?
> To niemożliwe.
> Nie mogę się na to zgodzić. Jestem zdecydowany, absolutnie zdecydowany!
> Dziś sięgamy po ideał. Nie ma rzeczy równie wielkiej.
> Mówię stanowczo:
> – Pójdę dalej sam!
> Pójdę sam.
> Jeżeli chce zawrócić, nie mogę go zatrzymać.
> Musi mieć swobodę wyboru.
> Mój towarzysz potrzebował tego potwierdzenia.
> Nie jest wcale zniechęcony; tylko ostrożność wobec ryzyka podyktowała mu te słowa. Wybiera bez wahania:
> – W takim razie idę z tobą!
> Kości są rzucone.

Jest to droga przez krainę snów, opisane przez Herzoga doświadczenia przypominają trans. Ten przejrzysty krajobraz to nie są moje góry. To góry moich snów. (...) Jestem zupełnie odcięty od świata. Poruszam się w innej przestrzeni: pustynnej, bez życia, wysuszonej. Przestrzeń fantastyczna, w której obecność człowieka nie jest ani przewidziana, ani – być może – pożądana. Łamiemy zakazy, przekraczamy dozwolone granice, a jednak idziemy w górę bez żadnego lęku. A na szczycie: Jestem wzruszony. Nigdy jeszcze nie odczuwałem tak wielkiej i czystej radości.Ta najważniejsza brunatna skała... lodowa grań... czyż to jest cel całego życia? Granica dumy? Maurice Herzog przymocowuje francuską flagę do styliska czekana i prosi Lachenala, żeby zrobił mu zdjęcie. Będzie to obraz ikona, który nie tylko obiegnie potem świat, ale ozdobi także okładkę „Annapurny".

W drodze powrotnej Herzog gubi rękawiczki, zapomina też niestety o skarpetkach, które ma w plecaku i które mógłby nałożyć na ręce. W efekcie po zejściu do obozu radość jego kompanów szybko przechodzi w rozpacz nad stanem biało-fioletowych palców zdobywcy. W nie lepszym stanie jest Lachenal, który uległ szokowi po poważnym upadku. To oznacza, że zarówno Rébuffat, jak i Terray nie mają już szans walczyć o szczyt, jeśli chcą ratować swoich kolegów. Powrót to kluczenie w burzy śnieżnej. Herzog i Lachenal mają odmrożenia, Terray i Rebuffat śnieżną ślepotę. Gdyby nie wsparcie pozostałych uczestników wyprawy, którzy otoczyli czwórkę opieką i towarzyszyli im na każdym kroku heroicznego zejścia – doszłoby do tragedii. Wiele osób zwraca uwagę na drastyczne opisy odmrożeń uwiecznione w Annapurnie. Widmo odmrożeń krąży nad wspinaczami niejako od początku – przeraża ich, a jednocześnie się z nim liczą. Jeszcze większy grymas wywołują na mojej twarzy te fragmenty, w których lekarz wyprawowy walczy o zdrowie Herzoga. Próba opisania tzw. bólu nie do opisania. Przez całe godziny znoszę to cierpienie; nigdy nie będę miał siły wytrzymać więcej. Obóz upodabnia się coraz bardziej do szpitala: stan rannych kieruje myślami i czynami każdego. Wszyscy zawiśli wzrokiem na ustach chirurga [Oudota], który jest teraz pierwszy po Bogu. Potem szpital staje się mobilny, a amputacje dokonywane są nawet w czasie postojów pociągu.

Książkę zamykają sceny zupełnie odmienne – uroczyste przyjęcie u maharadży Nepalu w ociekającej przepychem scenerii, która nawet w roku 1950 wydawała się wspinaczom archaiczna, a cóż dopiero współczesnemu czytelnikowi. Najwyższy szczyt zdobyty przez człowieka znalazł się wówczas na terenie Nepalu – nie mogło więc zabraknąć oficjalnych ceremonii. Będzie jeszcze jedna uroczystość – skromnie opisane lądowanie na lotnisku Orly; nie ma tu słowa o dumie, jaka musiała rozpierać powojenną Francję złaknioną takich sukcesów, jest za to przerażenie przyjaciół na widok stanu zdrowia zdobywców.

> Annapurna, ku której poszliśmy wszyscy bez grosza przy duszy, jest dla nas skarbem, którym będziemy żyć... Z urzeczywistnieniem tego marzenia odwraca się karta... Zaczyna się nowe życie. Są inne Annapurny w życiu ludzkim...

Byłyby pewnie też inne wersje tej historii, gdyby Herzog nie zabronił kolegom opisywania zdobycia Annapurny i nie zmusił ich do podpisania kontraktu, że nigdy się tego nie podejmą. W ten sposób do historii przeszły tylko jego pełne patetyzmu wspomnienia. Zarzucało mu się wręcz, że wychwalając swój heroizm i determinację, nie docenił roli towarzyszy, którzy bądź co bądź uratowali mu życie i zrzekli się własnej sławy. Dopiero z wydanych po latach wspomnień poszczególnych wspinaczy wyłonił się obraz bardziej egalitarnie rozłożonych zasług. Niezależnie od tych kontrowersji „Annapurna" wciąż inspiruje kolejne pokolenia wspinaczy i – tym razem w sprawiedliwym stopniu – oddaje zarówno piękno, jak i grozę gór. Czytając ją, ma się wrażenie, że też było się na Annapurnie z pierwszymi zdobywcami, też doświadczyło się czegoś prawdziwego. „Annapurna" to powieść, ale powieść prawdziwa – mówił w 1996 roku o swojej książce sam autor.

Cytaty z „Annapurna" Maurice Herzog, Iskry Warszawa 1960

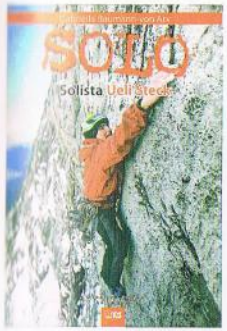

Solista przepytany – Ueli Steck o (swoim) życiu

Autor recenzji: Jagoda Mytych

Rekordowy czas. Solo. Ogromne trudności. Wszystko, co robi Ueli Steck, nadaje się na krzykliwe nagłówki gazet. Wszystko poza nim samym, bo jak sprzedać taką skromność?

Ludzie, którzy potrafią żyć tak jakby ich osiągnięcia nie robiły na nich wrażenia, a były jedynie dobrze wykonaną pracą, fascynują tym bardziej. Aż chce się wejść im do głowy i sprawdzić, co zadecydowało o ich bardzo indywidualnej drodze życia. Za próbę takiego wejścia i zrozumienia myśli Ueliego Stecka można uznać wywiad-rzekę „Solo. Solista Ueli Steck", który ze wspinaczem przeprowadziła Gabriella Baumann-von Arx.

Rozmowy, które składają się na tę książkę, przeprowadzone zostały przed rokiem 2006, więc zanim Ueli Steck rozpoczął swój himalajski projekt na dobre. Za to drobiazgowo dokumentują początki solowej działalności Stecka, poprowadzenie drogi *The Young Spider* na Eigerze (2001) oraz *Khumbu-Express*.

W pomyśle, żeby ze znanym wspinaczem rozmawiała osoba, która o wspinaczce ma niewielkie pojęcie, widzę i plusy i minusy. Jest to na pewno z korzyścią dla czytelników, którzy podobnie jak Baumann-von Arx będą potrzebowali dodatkowych wyjaśnień. Ueli z dużą cierpliwością wszystko tłumaczy, choć pewnie osoby w temacie gór obeznane wolałaby, żeby na stronach niedużej publikacji opowiadał o zupełnie czymś innym. Irytować może, gdy ciekawe wątki są przerywane, by objaśnić zagadnienie techniczne czy terminologię, i nie zawsze potem są dokańczane.

Gabriella i jej rozmówca patrzą na wspinaczkę z dwóch różnych perspektyw. Dla niej góry to przede wszystkim coś materialnego, namacalnego. Miejsce, w którym wycenić można nie tylko drogi, lecz także poziom strachu. I właśnie przez pryzmat lęku chce o nich rozmawiać. Dla Ueliego góry to droga rozwoju, coś co rozpoczyna się w jego głowie, a kończy na szczycie. A między jednym i drugim punktem należy skoncentrować się na tu i teraz, nie ma miejsca na strach.

Myśli, które biegną naprzód, to stracone myśli, bo niepotrzebne. Przyszłość i tak nadejdzie. Bardzo często jest zależna od teraźniejszości. Im świadomiej postępujemy teraz, tym lepiej wygląda przyszłość. To, co robię dzisiaj, określa to, co będzie jutro. Jeśli teraz się przestraszę, spadnę. Gdy się nie boję, wspinam się – mówi Steck. To filozofia, która mogłaby pomóc odnaleźć się nie tylko w ścianie, lecz także w życiu. I w takim duchu utrzymana jest prawie połowa odpowiedzi Stecka – są życiowe.

Są marzenia, dla których warto coś zaryzykować. Uważam, że życie jest marzeniem – takich cytatów perełek jest w książce więcej i warto je wyławiać. Mam nawet wrażenie, że zadaniowo nastawiona pisarka mniej wyniosła z tych rozmów, niż wynieść może z jej książki uważny czytelnik, zwłaszcza jeśli jest przy okazji człowiekiem gór. A od samego „gadania" nikt się nim nigdy nie staje, może dlatego pytania Baumann-von Arx nie ewoluują. Nie czuję, żeby Ueli Steck pozwolił odkryć całą prawdę o sobie, ale nie mam też wrażenia, że walczył mocno, żeby jej nie ujawniać. Powiedział tyle, żeby być w zgodzie ze sobą i... dał do myślenia.

Gabriella Baumann-von Arx „Solo. Solista Ueli Steck", Wydawnictwo Stapis 2012

PO-SŁOWIE PO-PREZESA

Rozpuszczanie czasu

Istnienie czasu nierozerwalnie związane jest z przestrzenią. Nie ma czasu – nie ma przestrzeni. Nie ma przestrzeni – czas nie istnieje. Ludzka rzeczywistość, która na poziomie zwykłej percepcji ulokowana jest w przestrzeni, bezwarunkowo podlega czasowi.

W jaki sposób doświadczamy czasu?

Można go podzielić na czas zegarowy oraz czas psychiczny. Odnośnie do czasu zegarowego (pomijając kwestię jego względności), nie ma wątpliwości czym on jest. Łatwo go mierzyć, gdyż wyznacza go przestrzeń, a w niej punkty odniesienia. Czas psychiczny jest czymś trudnym do uchwycenia i zmierzenia... Niewątpliwie doświadczamy i jednego i drugiego, przy czym ten drugi, zbytnio nawarstwiony, może stanowić poważny problem, a nawet zagrożenie w naszym życiu.

Zgadzamy się z obserwacją, że małemu dziecku czas płynie „wolno". Im jesteśmy starsi, wydaje się, że czas płynie coraz szybciej, chociaż zegarowo licząc, upływa go dokładnie tyle samo. Jaki jest mechanizm takiego stanu rzeczy?

Otóż czas psychiczny gromadzimy w naszym umyśle za pomocą pamięci rzeczy i zdarzeń minionych, a następnie projektujemy nasze przeszłe doświadczenia w przyszłość, snując różne wyrachowane plany, które mają nam zapewnić lepsze życie. W odróżnieniu od nas, małe dziecko nie ma za sobą bagażu doświadczeń, nie jest też jeszcze na tyle „sprytne", aby planować swoją przyszłość. Małe dziecko żyje chwilą obecną „tu i teraz". Przeżywa intensywnie chwilę bieżącą, która pochłania jego całą uwagę. Ono JEST OBECNE w teraźniejszości. Jakość naszego życia zależy właśnie od tej dziecięcej zdolności przebywania i przeżywania teraźniejszości. Niestety w życiu codziennym zbyt często zapominamy o tym darze, który posiadamy. Planowanie życia i dalszych naszych działań w oparciu o przeszłe doświadczenia skutecznie wyłącza nas z teraźniejszości, którą zaczynamy traktować tylko jako środek do osiągnięcia jakiegoś wyimaginowanego celu leżącego w przyszłości. Zaczynamy żyć w świecie iluzji i obłędu, przeoczając to co najcenniejsze – chwilę teraźniejszą. Tak naprawdę nie istnieje nic poza nią. Wszystko co się dzieje w naszym życiu, wszelkie nasze działania, mogą nastąpić tylko i wyłącznie tu i teraz. Od jakości chwili bieżącej zależy każda kolejna chwila naszego życia. Poziom naszej świadomości przesądza o tym, jaki kształt przybierze przyszłość – którą możemy oczywiście przeżyć wyłącznie jako teraźniejszość.

Kiedy wyznaczamy sobie cel i do niego dążymy, posługujemy się czasem zegarowym. Wiedząc, dokąd zmierzamy, zarazem z szacunkiem i z możliwie największą uwagą śledzimy każdy krok, jaki stawiamy w danej chwili. Jeśli zaś nadmiernie skupiamy się na wytyczonym celu (ponieważ szukamy szczęścia, samourzeczywistnienia, a może mamy nadzieję, że gdy spełnimy zamiar, zyskamy pełniejsze poczucie własnego „ja"), już nie szanujemy teraźniejszości, lecz sprowadzamy ją do roli szczebla na drodze w przyszłość – szczebla, który sam w sobie nic nie jest wart. Czas zegarowy staje się wtedy czasem psychicznym. Nasza podróż przez życie nie jest już przygodą, tylko obsesyjnym pędem do tego, żeby gdzieś dotrzeć, coś osiągnąć, odnieść sukces. Nie widzimy już przydrożnych kwiatów, ani nie czujemy ich zapachu, nie dostrzegamy też piękna i cudowności życia, które rozkwita wszędzie wokół nas, kiedy jesteśmy tu i teraz.

Chodząc po górach, mamy okazję delektować się każdą chwilą w nich spędzoną. To co najcenniejsze dla wspinacza, podobnie, jak w życiu codziennym, to dążenie do celu. Czyż nie sprawia nam największej satysfakcji sam fakt wspinania, gdzie osiągnięcie celu jest tylko zwieńczeniem naszego wysiłku? Wspinanie i uważna koncentracja na każdym, nawet najdrobniejszym ruchu, jest esencją BYCIA, intensywnym przeżywaniem chwili obecnej.

Wydaje się, że ludzie gór są w szczególnie uprzywilejowanej sytuacji. Bliski kontakt z naturą połączony niejednokrotnie z pełnym zaangażowaniem wynikającym z uprawiania wspinaczki, umożliwia nam takie pełne doświadczanie obecności. Znikają problemy i pamięć różnych zdarzeń, które przytłaczają na co dzień. Nie ma też miejsca na planowanie przyszłości. Jesteśmy całkowicie uwolnieni i pochłonięci tym, co się dzieje Teraz.

Rozpuśćmy czas psychiczny. Niech nasze życie wreszcie się zatrzyma, trwa i rozkwita w pełni nieskończonej teraźniejszości.

Zbigniew Skierski „Siekiera"

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status członka zwyczajnego (nie musisz nam przysyłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:
Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, w godz. 20.00–22.00) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przesyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wyślemy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

1. uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
2. osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 80 PLN + 80 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 80 PLN,
3. instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
4. dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
5. dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
6. członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
7. Emeryci i renciści – 10 PLN.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie" na ul. Nowowiejskiej 37B. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też z odpowiednio mniejszymi opłatami wchodzić na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight" na ul. Obozowej 60.

Bulderownia:

Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12. Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16.00–22.00 (opłata 5 PLN za wejście). Dla osób należących do sekcji bulderowej – bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8–22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:

Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedzin topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczany na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy
ul. Noakowskiego 10/12
Warszawa

Korespondencja
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

Sekretariat
Wtorki, godz. 20.00–21:30
ul. Nowowiejska 37B

Internet
http://kw.warszawa.pl

NIP
526 16 90 727

REGON
000987911

KRS
0000122453

Konto
Bank Zachodni WBK SA
48 1090 1694 0000 0001 1506 5257
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

SALEWA
www.salewa.com
www.salewa.pl
www.salewa.de

Dla członków KWW z opłaconymi składkami zniżki na produkty firmy SALEWA.

Zamówienia i szczegółowe informacje należy składać na adres **salewa@kw.warszawa.pl** podając nazwę, numer katalogowy, ilość, rozmiar, kolorystykę.

Zamówienia koordynuje **Mikołaj Hotówko**

Minimalne zamówienie: 2100 PLN brutto (po zniżce)

Cenniki z cenami sugerowanymi przez producenta znajdują się na stronie KWW, w dziale „zasoby".

KANFOR do 30%
www.kanfor.pl

Osoba do kontaktu pani **Barbara Siudak**: shop@kanfor.pl

Producent rękawic oraz odzieży z Polartec, Windbloc, Windstopper, No-Wind, Softshell i in.

Własny sklep internetowy.

Zniżki:
10%: 1–999 PLN
20%: 1000–1999 PLN
25%: 2000–2999 PLN
30%: 3000 PLN

ul. Dąbrowskiego 113
93-208 Łódź
tel.: +48 42 642 71 28 (38)

MJSPORT do 30%
www.mjsport.pl
pawel.mielcarek@mjsport.pl

Dystrybutor **Arc`teryx i Bergans of Norway**.

Cennik dostępny na stronie KWW, w dziale „zasoby".

Zniżki:
10%: 0–1000 PLN
15%: 1000 pln – 20 000 PLN
20%: 20 000 pln – 40 000 PLN
25%: 40000 pln – 60 000 PLN
30%: 60 000+ PLN

Jedna osoba odpowiedzialna za zebranie całego zamówienia. Istnieje możliwość przesłania kilku wzorów do siedziby klubu celem ustalenia rozmiarów.

Procedura:
- zebranie zamówienia wstępnego
- sprawdzenie dostępności
- wystawienie faktury proforma i opłacenie jej przez KWW
- wysyłka do siedziby KWW na koszt dystrybutora (lub bezpośrednio do członka KWW pocztą za dopłatą)
- przy zamówieniu większej ilości tego samego modelu istnieje możliwość dodania logotypu KWW na produkcie

Maciej Czajkowski
Mielcar Paweł Mielcarek
ul. Katowicka 89C/19
61-131 Poznań
tel./fax.: +48 61 623 18 36
fax: +48 61 623 18 37
tel.: +48 666 359 9066

NAMASTE do 30%
www.namaste.pl
biuro@namaste.pl

Dystrybutor **Camp, Cassin, Rock Empire, Kask, Gregory**.

Cennik dostępny na stronie KWW, w dziale „zasoby".

Zniżki:
10%: 0–1999 PLN
15%: 2000–5999 PLN
20%: 6000–9999 PLN
25%: 10 000–14999 PLN
30%: 15 000+ PLN

Wymagana koordynacja całego zamówienia przez jednego członka klubu.

Kolejność działań: wysłanie zapytania ofertowego, Namaste sprawdza dostępność i wystawia fakturę pro-forma, po zapłaceniu faktury Namaste wysyła zamówienie pod wskazany adres na swój koszt.

Zamówienia indywidualne:

Koszt wysyłki 14,90 PLN przy zamówieniu do 500 PLN, powyżej gratis.

NAMASTE sc
Dąbrowskiego 291 B
60-406 Poznań
tel.: +48 61 841 15 33
tel.: +48 609 910 090
tel.: +48 600 213 611
czynne: 9:00–17:00

www.skialpinizm.eu do 30%
www.skialpinizm.eu
www.merino.com.pl
biuro@skialpinizm.eu
biuro@merino.com.pl

Zniżka na produkty firmy **Icebreaker 10%**.

Zniżka sumuje się z aktualną promocją co daje sumaryczną zniżkę 35%.

Przy zakupach powyżej 3000 PLN dodatkowa zniżka 5%.

tel.: +48 881 707 188

YETI do 30%
www.yeti.com.pl
sales@yeti.com.pl

Producent kurtek i śpiworów puchowych.

Zakupy można realizować:
Yeti R. Krawczyk sp. j.
03-774 Warszawa
ul.Wojnicka 2
tel.: +48 22 670 12 53
fax.: +48 22 618 33 01

Godziny otwarcia sklepu:
pon., wt., czw.: 10:00–18:00,
śr., pt.: 9:00–17:00.

Osobą kontaktową jest Pani **Elżbieta Malicka** (tel:. +48 663 870 112).

Na produkty YETI są następujące zasady zniżek (produkty nieprzecenione, wartości brutto):
- 30% upustu przy zakupach powyżej 6 tys. PLN
- 25% upustu przy zakupach powyżej 4 tys. PLN
- 20% upustu przy zakupach powyżej 2 tys. PLN
- 15% upustu przy zakupach poniżej 2 tys. PLN

Istotna uwaga dotycząca zamówień grupowych. Warunkiem koniecznym w celu uzyskania powyższych widełek rabatowych jest zebranie minimum 5 produktów w każdej z 3 niniejszych kategorii produktowych producenta:
- śpiwory
- odzież
- akcesoria

Warunkiem standardowym jest również posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

M-ARTE
Agent Sklepu Podróżnika do 25%
martastarosolska@gmail.com

Wysyłkowa sprzedaż publikacji **Sklepu Podróżnika** i innych książek, map.

Szczegółowe warunki sprzedaży i cennik dostępne są na stronie KWW, w dziale „zasoby".

Zamówienia:
M-ARTE Oficjalny Agent Sklepu Podróżnika
Marta Starosolska
tel.: +48 608 575 002

MONKEY'S GRIP do 25%
www.monkeysgrip.com
kontakt@monkeysgrip.com

Polski producent technicznej odzieży, w tym przypadku – rękawiczek. Forma upustu od indywidualnego zamówienia po model progresywny.

Poniższe widełki cenowe liczone są od cen brutto, nieprzecenionych produktów, obejmują cały asortyment producenta dostępny na stronie.

10%: 1–1499 PLN
15%: 1500–19 999 PLN
20%: 20 000–29 999 PLN
25%: 30 000+ PLN

Procedura zamówienia grupowego:
Jedna osoba odpowiedzialna za zebranie **całego zamówienia.**

- zebranie zamówienia wstępnego i wysłanie na mail kontakt@monkeysgrip.com
- sprawdzenie dostępności
- wystawienie faktury proforma i opłacenie jej przez KWW
- wysyłka do siedziby klubu na koszt dystrybutora (lub bezpośrednio do członka KWW pocztą za dopłatą).

Sklep internetowy:

- użytkownik rejestruje się w sklepie
- wysyła maila ze skanem legitymacji na adres kontakt@monkeysgrip.com
- osoba jest dodawana do grupy klientów KWW, po czym zniżka będzie automatycznie naliczana w koszyku podczas składania zamówienia.

Istnieje możliwość przesłania kilku wzorów do siedziby klubu w celu ustalenia rozmiarów etc.

upt design Wojciech Krzyżowski
Jędrzychów, ul. Wiejska 29
48-300 Nysa, Polska
tel.: +48 784 348 770

CUMULUS do 20%
www.cumulus.pl
info@cumulus.pl

Producent profesjonalnych śpiworów i akcesoriów rowerowych.

Ustalony poniższy pułap zniżek dotyczy jedynie śpiworów:

5%: 1–1999 PLN
10%: 2000–2999 PLN
15%: 3000–3999 PLN
20%: 4000+ PLN

Możliwe jest uzyskanie również upustu w wysokości 10% od cen brutto na pozostały asortyment, w tym maty **Therm-A-Rest'a**, jednak uzależnione jest to od wielkości zamówienia.

Wymagana koordynacja zamówienia grupowego przez klubowicza. Zamówienia indywidualne realizowane po przesłaniu skanu ważnej legitymacji.

Wysyłka 19 PLN (przelew), 25 PLN (pobranie).

Cumulus
ul. Szyprów 4
81-561 Gdynia
tel.: +48 58 620 94 12

MAŁACHOWSKI do 20%
www.malachowski.com.pl
info@malachowski.com.pl

Pracownia Sprzętu Alpinistycznego
43-426 Dębowiec
ul. Skoczowska 49
tel.: +48 33 856 22 61

Dla członków KWW 20% zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

MARABUT do 20%
www.namioty.pl
biuro@marabut.pl

Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.

32-070 Czernichów 451 k. Krakowa
tel.: +48 12 270 24 24

Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

MONTANO do 20%
www.montano.pl
primo@montano.pl

Montano – ceniony, polski producent technicznej odzieży, śpiworów oraz akcesoriów outdoorowych.

Ustalona zniżka jest w wysokości 20% na zakup wszystkich produktów (odzież, śpiwory, akcesoria) z wyjątkiem worów transportowych.

Rabat ten liczony jest od nieprzecenionych kwot brutto, widniejących na stronie producenta.

Obowiązuje jednak tylko dla oferty stałej, tj. przedstawionej na stronie Montano, widniejącej na zdjęciach.

W przypadku zamówienia niestandardowego, tj. użycia innej kolorystyki (suwaki itp.) niż przedstawione jest to na stronie producenta czy też szycia na miarę – klient traci wspomnianą zniżkę 20% i do ceny detalicznej (sklepowej) doliczane jest wówczas 10% wartości.

W przypadku szycia na miarę klient jest zawsze proszony o stawiennictwo w Nowym Targu w celu zdjęcia miary przez krawcową. W przypadku ściągnięcia miary przez klienta we własnym zakresie – zakup jest na własną odpowiedzialność i, co istotne, nie podlega zwrotowi.

W celu uzyskania upustu należy skontaktować się z producentem za pośrednictwem powyższego maila, zakomunikować, iż jest się członkiem KWW oraz przesłać skan ważnej legitymacji klubowej. Od tej pory system e-sklepu będzie naliczał automatycznie wyżej wspomniany rabat. Produkty Montano dostępne są również z klubowym logo.

Montano
ul. Tetmajera 10
34-400 Nowy Targ
tel./fax.: +48 18 266 56 32
tel.: +48 604 167 293; +48 795 129 743

NEGRA Sport do 20%
www.sklep.negrasport.com

Dystrybutor następujących marek: **Marker, Ternua, Northland, Nordcap, Sunvaley**

W swojej ofercie sklep posiada oprócz powyższych sprzęt marek: **Asolo, Suunto, Keen, Asics, Mammut, Lowe Alpine, Lorpen**

10% zniżki przy zakupach do 2000 PLN
15% zniżki przy zakupach od 2000 do 4000 PLN
20% zniżki przy zakupach od 4000 pln

Przy zakupach powyżej 300 pln – transport gratis

Sklep stacjonarny i sklep internetowy:
NEGRA SPORT
Robert Jastrzębski
ul. Sobieskiego 44 a
32-400 Myślenice
pon. – pt.: 11.00–19.00
sob.: 9.00–15. 00

PeKa PAKA do 20%
allegro.pl/my_page.php?uid=23118315

Producent worków transportowych, toreb wyprawowych, pokrowców na koła rowerowe.

Przy zamówieniu:
do 2500 PLN – 12% zniżki,
powyżej 4000 PLN – 20% zniżki

PK GROUP Panfil Krzysztof
Szkoły Orląt 4/120
03-984 Warszawa

PLUS Mountain Bike Shop do 20%
www.rowery.com.pl
sklep@rowery.com.pl

Rowery górskie, części, akcesoria
10% zniżki na zakup rowerów i akcesoriów
20% zniżki na serwis
przy płatności gotówką

Warszawa Ursynów
ul. Zamiany 12
tel.: +48 22 644 29 02
Godziny otwarcia:
pon. – pt.: 11.00–19.00,
sob.: 10.00–14.00

Schronisko PIĘĆ STAWÓW do 20%
www.piecstawow.pl
schronisko@piecstawow.pl

Za okazaniem legitymacji klubowej 20% zniżki na nocleg w schronisku.

34-500 Zakopane 1
Skr. poczt.196
tel.: +48 18 207 76 07
tel.: +48 781 055 555

SKALNIK do 20%
www.skalnik.pl
sklep@skalnik.pl

Wrocławski sklep Skalnik oferuje 15% upustu na cały asortyment z wyjątkiem firmy Petzl, na który to obowiązuje 10% rabat.

Powyższe upusty dotyczą cen brutto produktów – nieprzecenionych, nieobjętych innymi promocjami.

Przy zamówieniach internetowych – w komentarzu wpisujemy „KW Warszawa", równolegle załączając skan ważnej legitymacji klubowej na adres mailowy sklepu.

UWAGA: Do **15.06.2012 na cały nieprzeceniony asortyment dla klubowiczów 20% rabatu w sklepie internetowym.**

Wrocław
- ul. Bogusławskiego 45: sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysokościach, odzież buty, militaria, namioty i śpiwory
- ul. Ładna 1A: Buty, sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokościach, namioty i śpiwory
- ul. Ładna 4/6: odzież, drobne akcesoria turystyczne
- ul. Polaka 18: Odzież, buty , sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokościach, akcesoria turystyczne, namioty i śpiwory
- ul. Polaka 20: Sprzęt kempingowy, drobne akcesoria turystyczne, odzież i buty,namioty i śpiwory.

Sklepy czynne:
pon. – pt.: 10:00–19:00
sob: 10:00–17:00

suszarkidobutow.pl do 20%
www.suszarkidobutow.pl
info@suszarkidobutow.pl

Producent suszarek do butów. Szczególnie przydatne zimą do butów skiturowych czy też wspinaczkowych.

10% zniżki przy zamówieniach indywidualnych, 20% przy zamówieniach powyżej 1000 PLN brutto (wg cen detalicznych).

F.H.P.U EPS Piotr Senkowski
ul. Bukietowa 14
43-302 Bielsko-Biała
tel./fax: +48 33 816 99 27
tel.: +48 605 601 120; +48 605 601 110

taniewspinanie.pl do 20%
www.taniewspinanie.pl
sklep@taniewspinanie.pl

Sklep internetowy i stacjonarny.

20% zniżki na liny marki **Gilmonte** – zniżka obowiązuje do końca 2012 r.

Na pozostały asortyment 10% zniżki.

Górski Sklep Sportowy
ul.Kościuszki 15
34-500 Zakopane
tel.: +48 18 201 15 75

ALPAMAYO do 15%
www.alpamayo.eu
sklep@alpamayo.eu

Sklep stacjonarny w Krakowie i sklep internetowy ze sprzętem górskim

Zniżka 15% dla członków KWW, na wszystkie zakupy z wyjątkiem promocji i rzeczy z przeceny.

Alpamajo s.c.
ul. Sławkowska 18
31-014 Kraków
Polska
tel: +48 12 422 11 62
fax: +48 12 422 11 62

e-BUSOLA do 15%
www.e-busola.pl
sklep@e-busola.pl

Szeroki wybór artykułów outdoor, sportowych i bagażników samochodowych

15% zniżki na marki turystyczne z wyjątkiem **Aku, Karrimor, Trej mates, Therm-a-rest, MSR, Packtowl, Platypus, Petzl, Beal** na które zniżka wynosi 12%

10% zniżki na kartografię
7% zniżki na bagażniki samochodowe i pozostały asortyment

Sklep stacjonarny i internetowy
www.e-busola.pl
ul. Hiszpańska 13/3
54-409, Wrocław
tel.: +48 510 396 073; +48 504 101 764

EcoBe do 15%
www.ecobe.com.pl
biuro@ecobe.com.pl

Dystrybutor jednorazowych ogrzewaczy do ciała firmy **Heat Factory** i wszelkich akcesoriów tej firmy (czapki, maski narciarskie, rękawiczki, skarpety, wkładki do butów), ogrzewaczy wielorazowych firmy **ABC-N** System oraz krzesiw. Dla członków KWW z opłaconymi składkami 15% zniżki na cały asortyment oferowany w sklepie internetowym.

Przy zamówieniu w rubryce dodatkowe informacje prosimy wpisać KWW celem identyfikacji. Istnieje możliwość osobistego odbioru zamówienia w Warszawie.

tel./fax: +48 22 635 25 30
tel. kom.: +48 601 29 46 37

HORSEWAY do 15%
www.horseway.pl
sklep@horseway.pl

10% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu do 1000 PLN
15% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu powyżej 1000 PLN
10% na środek do prania odzieży technicznej **Bense&Eicke Textile Wash**

MOUNTAINTOOLS do 15%
www.mountaintools.com
toolman@mountaintools.com

Zniżka w amerykańskim sklepie internetowym www.mountaintools.com

10% zniżki przy płatności kartą kredytową
15% zniżki przy płatności WTX (opłata 20 USD)

NATURAL BORN RUNNERS do 15%
www.natural-born-runners.pl
kontakt@natural-born-runners.pl

Sklep internetowy ze sprzętem do biegania.

5% zniżki przy zamówieniach indywidualnych
15% zniżki przy zamówieniach powyżej 2000 PLN

kod rabatowy: „KW Warszawa" + skan legitymacji

outdoorpro.pl do 15%
www.outdoorpro.pl
przeszowski@outdoorpro.pl

Sklep internetowy

Zniżka 15% na asortyment firm **Black Diamond, Hanwag, Arc`teryx, Marmot, Salomon, Smartwool, Mactronic**

Zniżka 10% na pozostały asortyment (nie dotyczy wyprzedaży)

Zniżki na podstawie skanu legitymacji KWW

POLAR SPORT do 15%
www.polarsport.pl
info@polarsport.pl

Sklep górski POLAR SPORT oferuje duży wybór odzieży i sprzętu do turystyki, wspinaczki, alpinizmu, skituringu.

Najlepsze marki, konkurencyjne ceny, częste promocje.

Zniżka obowiązuje na wszystkie produkty nieobjęte wyprzedażą lub promocją.

Procedura zakupu:

- założenie konta w sklepie internetowym,
- przesłanie mailem skanu legitymacji,
- na koncie zostanie aktywowany rabat 15%.

Możliwa jest większa zniżka przy zamówieniach grupowych. Wysokość zniżki jest ustalana w drodze negocjacji.

ul. Siennej 15
31-041 Kraków
tel.: +48 12 422 42 49; +48 801 000 362

SKLEP PODRÓŻNIKA do 15%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
UWAGA: zniżka nie dotyczy zakupów w księgarni!
Zniżka 15% sprzęt wspinaczkowy
Zniżka 10% sprzęt turystyczny, narty.
Warszawa
ul. Grójecka 46/50
tel.: +48 22 668 66 08
K1
ul. Kaliska 8/10
tel.: +48 22 822 64 81
K2
ul. Kaliska 8/10
tel.: +48 22 822 54 87

STREFA GÓR do 15%
www.strefagor.pl
strefa@strefagor.pl
Sklep internetowy.
15% zniżki dla klubowiczów na cały asortyment nieobjęty promocją lub wyprzedażą.
Warunkiem jest przesłanie skanu/zdjęcia ważnej legitymacji klubowej na adres: rejestracja@strefagor.pl
Katarzyna Wojtusik Strefa Gór
ul. Kapelanka 6a/167
30-347 Kraków
tel.: +48 783 968 368
Skype: strefa_gor
Gadu-Gadu: 344 111 77

trango.pl do 15%
www.trango.pl
sklep@trango.pl
Dystrybutor firmy BCA, sklep internetowy.
Sprzęt lawinowy BCA, skiturowy, wspinaczkowy m.in. liny Sterling, Linkcamy Omega Pacyfic, buty Madrock i szereg innych produktów uznanych producentów.
Przy okazji zimowych obozów klubowych, przy większym zapotrzebowaniu produktowym, istnieje możliwość uzyskania konkurencyjnych cen na wypożyczenie sprzętu lawinowego firmy BCA.
Kvapi Products Ltd
Bogusław Pęgiel
ul. Prądnicka 65
31-203 Kraków
tel./fax: +48 12 415 28 18
tel.: +48 609 533 95
Skype: altec3

WELD Sklep Górski do 15%
www.weld.pl
sklep@weld.pl
WELD Sklep Górski działający w formie stacjonarnej jak i internetowej.
Rabat dotyczy cen brutto, nieprzecenionych produktów, i ustalony został w wysokości 10%.
Przy zamówieniach na kwoty powyżej 10 000 PLN brutto, pułap wspomnianego upustu zwiększony zostanie do 15%.
Przy składaniu zamówienia w sklepie stacjonarnym należy okazać ważną legitymację klubową, w przypadku sklepu internetowego, należy na adres mailowy sklepu przesłać jej skan.
Weld Sklep Górski
ul. Jana III Sobieskiego 4A
41-300 Dąbrowa Górnicza
Sklep:
tel./fax: +48 32 260 11 88
tel.: +48 513 088 829 Bogdan i Marcin
Biuro:
tel.: +48 500 165 100 Arek

alpenski.pl do 10%
www.alpenski.pl
biuro@alpenski.pl
Sklep internetowy.
Oferta sklepu składa się z następujących marek: **Berghaus, Marmot, Salewa, Husky, Smartwool, Larrimor, Therm-a-rest, MSR, Eureka, Trek n Eat, Optimus, Rockland, Outwell, Robens.**
W formularzu zamówienia należy wpisać „członek KWW" i przesłać skan legitymacji
Romad Group
Al. Korfantego 9
40-951 Katowice
tel.: +48 667 980 813

ALPINSPORT & HIMOUNTAIN Zakopane do 10%
www.alpinsport.pl
ealp@ealp.pl
Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka.
Sklepy zlokalizowane w Zakopanem 34-500
ul. Krupówki 11 – alp1@ealp.pl
tel.: +48 18 20 170 95
ul. Krupówki 28 – alp16@ealp.pl
tel.: +48 18 20 144 41
ul. Krupówki 65 – alp2@ealp.pl
tel.: +48 18 20 172 84
ul.Krupówki 43 – alp5@ealp.pl
tel.: +48 18 20 142 18
ul.Krupówki 48 – alp4@ealp.pl
tel.: +48 18 20 130 08
Droga na Bystre 2A – alp3@ealp.pl
tel.: +48 18 20 127 36
Kasprowy Wierch – alp19@ealp.pl
tel.: +48 18 20 142 18
Sklepy czynne:
pon.–czw.: 11:00–18:00
pt. i sob.: 11:00–19:00
niedz.: 11:00–16:00

ALPINSKLEP do 10%
www.alpinsklep.pl
bomar@alpinsklep.pl
Turystyka, wspinaczka, trekking
Sklep firmowy **HiMountain**
02-591 Warszawa
ul. Batorego 39,
Metro Pole Mokotowskie
tel.: +48 22 825 81 61
Sklep otwarty:
pn.–pt. 11:00–19:00,
sob. 10:00–16:00,
od listopada do marca w niedz. 11:00–15:00

AZYMUT do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery, akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
Przemyśl
ul. 3-go Maja 12
tel.: +48 16 679 02 10
Godziny otwarcia:
pn.–pt. 10:00–18:00, sob. 10:00–14:00
Ustrzyki Dolne
ul. 29-go listopada 26
tel.: +48 13 461 34 74
Godziny otwarcia:
pn.–pt.: 9:00–17:00, sob.: 9:00–14:00
Jarosław
Pl. Mickiewicza 11
tel.: +48 16 621 67 68
Godziny otwarcia:
pn.–pt.: 9:00–17:00, sob.: 9:00–14:00

BERGSON do 10%
www.bergson.pl
www.rgsport.pl
biuro@rgsport.pl
Warszawa
Galeria Ursynów ul. KEN 36 lok. 33
tel.: +48 22 649 13 54

CHATA PRI ZELENOM PLESE do 10%
www.zelenepleso.sk
zelenepleso@zelenepleso.sk
Zniżka 10% dla członków KWW
Rezerwacja mailem lub dzwoniąc na poniższy numer telefonu:
+42 19 034 674 20

e-biwak.pl do 10%
www.e-biwak.pl
sklep@e-biwak.pl
Internetowy sklep turystyczny.
Dla członków Klubu z opłaconymi składkami 10% zniżki na produkty.
W rubryce uwagi wpisywać „KWW" celem identyfikacji
Maral Sport
ul. Zielna 8
82-103 Stegna
tel.: +48 606 707 102, +48 55 245 00 32
fax: +48 55 245 00 33

EKSPLO do 10%
www.eksplo.com.pl
eksplo@tlen.pl
Zniżka dotyczy wszystkich produktów w ofercie producenta, liczona jest od cen brutto, nieprzecenionych produktów.
Firma Eksplo z Krakowa została założona w roku 1985. Specjalizuje się w produkcji wyrobów puchowych stosowanych w turystyce wysokogórskiej i powszechnej, odzieży turystycznej oraz odzieży promocyjno-reklamowej.
Firma prowadzi również pełny serwis napraw i przeróbek wyrobów puchowych i odzieży turystycznej wszystkich znanych firm.
PHU EKSPLO s.c. Zakład Produkcyjny i sklep firmowy
ul. Zyblikiewicza 8/5
31-029 Kraków
Zakład czynny w godzinach:
pn.: 8:00–15:00, wt.–pt.: 9:00–18:00
sob.: 11:00–15:00
tel/fax: +48 12 421 89 32
tel.: Jerzy Czoch +48 600 27 66 82
Upust przysługuje po przedstawieniu skanu ważnej legitymacji klubowej.

HIMAL SPORT do 10%
www.himalsport.com.pl
himal@himalsport.com.pl
Dystrybutor sprzętu firm: **Grivel, Scarpa, Julbo.**
Zamówienia grupowe koordynuje jedna osoba. W przypadku większych zamówień klubowych - możliwa negocjacja pułapu zniżki.
Sprzedaż hurtowa:
- Himal Sport
  ul. Przemysłowa 60
  43-100 Tychy
  tel./fax: +48 32 227 83 42
- Sklep firmowy
  Himal Sport
  Al. Jana Pawła II nr 10
  43-100 Tychy
  tel./fax: +48 32 217 59 75

HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl
HiMountain to marka odzieży i sprzętu służącego do uprawiania sportów przestrzennych: turystyki górskiej, wspinaczki, narciarstwa, snowboardu, żeglarstwa, skitouringu.
Sklepy zlokalizowane w Warszawie:
- C. H. Reduta
  Al. Jerozolimskie 148
  tel.: +48 22 823 91 04, sfpl-nr10@sfpl.pl
- ul. Królewska 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia),
  tel.: +48 22-827-17-11,
  mount30@himountain.pl
- C. H. Arkadia
  Al. Jana Pawła II 82
Mount Sp. z o.o.
ul. Ceramiczna 1
41-600 Świętochłowice

MAMMUT do 10%
www.climbrock.pl
Sklepy firmowe Mammut:
- **Ludzie Gór s.c.**
  ul. Nowotarska 23b
  34-500 Zakopane
  tel.: +48 18 541 61 00
  pn. – pt. 10.00–18.00, sob. 10.00–15.00
  biuro@ludziegor.pl
- **WEB WORKS s.c.**
  ul. Niepodległości 227/233
  02-087 Warszawa
  tel.: +48 22 382 17 26, +48 530 021 954
  pn. – pt. 11.00–19.00, sob. 11.00–15.00
  sklep@climbrock.pl

MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.pl
info@multanex.pl
Na cały nieprzeceniony asortyment sklepu, po okazaniu ważnej legitymacji klubowej, przysługuje 10% rabat.
Warszawa
Al. Jana Pawła II 32
tel.: +48 22 620 36 76, +48 22 652 31 56
Godziny otwarcia:
pn.–pt.: 10.00–20.00, sob.: 10.00–16.00

QUICKSILVER-ROSSIGNOL do 10%
www.pmsport.pl
pmsport@pmsport.com.pl
Dla członków klubu za okazaniem legitymacji klubowej z opłaconymi składkami 10% zniżki na wszystkie produkty w sklepach:
Gdańsk
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet, ul. Przywidzka 8
Gdynia
QUICKSILVER-ROSSIGNOL C. H. Klif, Al. Zwycięstwa 256
Kraków
ROSSIGNOL PRO SHOP
Pasaż Handlowy RYNEK 13, ul. Rynek Główny 12
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Galeria Kazimierz ul. Podgórska 34
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Galeria Krakowska, ul. Pawia 5
Poznań
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Stary Browar, ul. Półwiejska 42
Sosnowiec
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet, ul. Orlat Lwowskich 138
Warszawa
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12
QUICKSILVER-ROSSIGNOL C. H. Złote Tarasy, ul. Złota 59,
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Sadyba Best Mall, ul. Powsińska 31
ROXY-ROSSIGNOL C. H. Arkadia, Al. Jana Pawła II 82
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet, ul. Puławska 42E
Wrocław
QUICKSILVER-ROSSIGNOL C. H. Arkady Wrocławskie, ul. Powstańców Śląskich 2–4

ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl
roberts@roberts.pl
Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów wypełnianych naturalnym puchem. Nasze produkty to m.in.: puchowe kurtki, kamizelki, spodnie, kombinezony, botki i rękawice puchowe oraz profesjonalne śpiwory puchowe – letnie i zimowe, jedno i wielosezonowe, turystyczne, outdoorowe i wspinaczkowe, trekkingowe i wyprawowe, himalajskie, polarne i ekspedycyjne, myśliwskie, survivalowe i wojskowe. Nasza odzież puchowa tworzona jest tak, aby sprostać najróżnorodniejszym warunkom klimatycznym.
Gdynia
ul. Nowodworcowa 15
tel.: +48 58 629 42 98; +48 58 352 08 97

SHERPA do 10%
www.sherpa.pl
Sklep górski o szerokiej gamie asortymentu. Właścicielem sklepu firma Bakosport S. C. – dystrybutor takich firm jak: Deuter, La Sportiva etc.

Sprzedaż stacjonarna jak i internetowa.
Warszawa
ul. Łucka 18/8
tel.: +48 22 251 20 03
warszawa@sherpa.pl
pn. – pt.: 10.00–19.00, sob. 11.00–17.00
Wrocław
ul. Szczytnicka 50/52
tel. +48 71 394 54 47
wroclaw@sherpa.pl
pn. – pt.: 10.00–19.00, sob. 11.00–17.00
sprzedaż internetowa
pn. – pt.: 9.00–17.00
tel.: +48 22 245 08 05; +48 606 633 596
sklep@sherpa.pl
Dla członków KWW z ważną legitymacją i opłaconą składką obowiązują następujące zniżki:
- 10% w warszawskim sklepie stacjonarnym jak i sklepie internetowym.
- 15% we wrocławskim sklepie stacjonarnym.

Upusty liczone są od nieprzecenionych cen brutto.

SKI-TUR sprzęt turystyczny i ratowniczy do 10%
www.arva.pl
sklep@ski-tur.pl
Sprzęt lawinowy francuskiej firmy ARVA, sondy lawinowe, łopaty, detektory najnowszej generacji oraz specjalistyczne plecaki do uprawiania narciarstwa wysokogórskiego.
VacuMed Krzysztof Wasilewski
ul. Fertnera1/65
31-424 Kraków
tel. : +48 607 696 993

sportsklep.com do 10%
www.sportsklep.com
info@sportsklep.com
Sklep ze sprzętem wspinaczkowym, turystycznym, narciarskim jak również rowery i sprzęt pływacki
Warszawa
ul. Domaniecka 48
godz. otwarcia: 10.00–20.00
tel.: +48 606 444 507

Szkoła Języków Obcych SOKRATES do 10%
www.tesokrates.com.pl
kabaty@tesokrates.com.pl
Dla członków KWW 10% zniżki na popołudniowe kursy grupowe.
Szkoła Języków Obcych SOKRATES, (Towarzystwo Edukacyjne SOKRATES)
ul. Wąwozowa 20,
02-796 Warszawa,
kabaty@tesokrates.com.pl
tel.: +48 22 448 03 34
Szkoła Języków Obcych SOKRATES
ul. Belgradzka 44 lok. 5
02-793 Warszawa,
natolin@tesokrates.com.pl
tel.: +48 22 436 57 50

taternicki.pl do 10%
www.taternicki.pl
sklep@taternicki.pl
Sklep internetowy i sklep stacjonarny.
Zniżki negocjowane od 10% do 30%.
Specjalistyczny sklep górski
ul.Dekabrystów 80 (Marcpol)
42-200 Częstochowa
tel.: +48 603 623 824; +48 603 422 468

EXTREME SPORT
– Zakopane do 7%
www.bzyk-extreme.netidea.pl
extreme36@interia.pl
Zakopane
ul. Krupówki 36
pn. – sob.: 10.00-18.00
tel.: +48 18 206 29 99

Sklepy Turystyczne HORYZONT do 7%
www.e-horyzont.pl
Sklepy Turystyczne i sklep internetowy oferują członkom KWW zniżkę 7%.
- C. H. Targówek
  lokal nr 120
  ul. Głębocka 15
  03-287 Warszawa
  tel.: +48 22 674 15 77
  targowek@e-horyzont.pl
- ul. Mariensztat 8
  00-302 Warszawa
  tel.: +48 22 538 92 05
  mariensztat@e-horyzont.pl
- Plac Konstytucji 5
  00-657 WARSZAWA
  tel.: +48 22 628 36 73
  mdm@e-horyzont.pl

TUTTU do 7%
www.tuttu.pl
info@tuttu.pl
Sklepy stacjonarne i sklep internetowy ze sprzętem turystycznym, wspinaczkowym i skiturowym (dawniej Horyzont)
Gdańsk
ul. Grunwaldzka 45/47,
tel.: +48 58 341 42 05
pn. – pt.: 10:30–19:00, czw.: 10:30–19:30, sob.: 10:30–15:00
Katowice
ul. Kościuszki 8,
tel. +48 32 257 22 90
pn. – pt.: 10:00–18:30, czw.: 10:00–19:30, sob.: 10:00–14:30
Poznań
ul. Dąbrowskiego 54,
tel.: +48 61 847 54 57
pn. – pt.: 10:00–18:30, czw.: 10:00–19:30, sob.: 10:00–14:30

WORK SPORT do 5%
www.worksport.com.pl
worksport@go2.pl
Sklep internetowy.
Sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysokości, fitness i cardio.
Zniżka dotyczy całego asortymentu również w promocji i przecenie.
Warszawa-Wesoła 05-075
Plac wojska Polskiego 152 lok. 39
fax.: +48 22 773 40 63
tel.: +48 603 960 090

KWARK
www.kwark.pl
kwark@kwark.pl
Producent odzieży termoaktywnej – bazującej na wielu odmianach **Polartec'a Malden'a Mills'a.**
Wspiera klub w wybranych, ambitnych przedsięwzięciach/wyprawach.
KWARK S. C.
ul. Parkowa 12 Załom
70-896 Szczecin
tel.: +48 91 431 23 23
fax: +48 91 461 73 89

WSZYSTKIE ZNIŻKI ZA OKAZANIEM LEGITYMACJI Z OPŁACONYMI SKŁADKAMI ZA BIEŻĄCY ROK.